

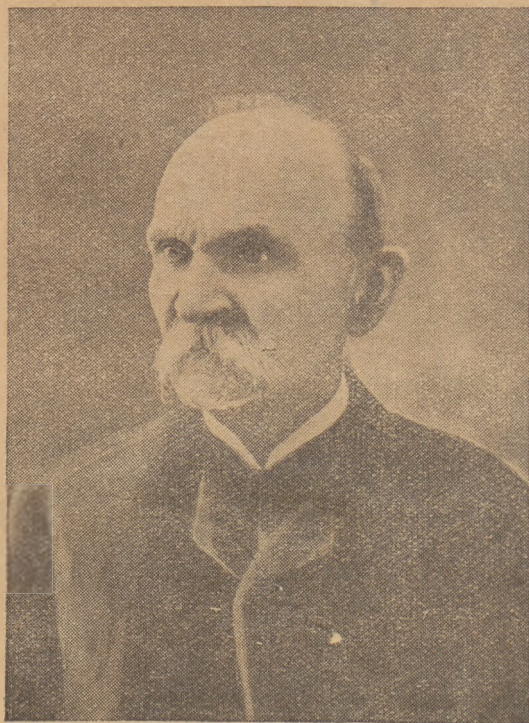


BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA
10 TOMÓW KWARTALNIE

HRYHOR SERDECZNY

2333
4543

Wydawnictwo
Zakład Wydawniczy



Z. Milkowski.

T. T. JEŻ.
(ZYGMUNT MILKOWSKI)
1824—1915

686720

WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA — TOM XIII

T. T. JEŻ

HRYHOR
S E R D E C Z N Y

Z POWSTANIA CHŁOPSKIEGO NA UKRAINIE W 1856r.

CZEŚĆ I



1930

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



Biblioteka Główna

UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO



1100556354

Nie pożyczają się do domu



IX 4d

090755/13/1

z pienn.
myśl.

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

P-I-023

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Na inw 9103 12/1950

9, -

I.

Żyjemy w epoce zmian szybkich, dotykających wszystkiego. Dawniej uskarżaliśmy się na modę; nie stałość jej w przysłowie się zmieniła; i dziś uskarżamy się na nią, lecz przez nawyk, dlatego jedynie, że przysłowia wyrzucić nie można z dykcjonarza, nie dlatego zaś bynajmniej, ażeby stać ono miało w odosobnieniu, jak za czasów pokolenia tego, które obecnie siwizna przyprószyła. Moda znalazła naśladowców we wszystkich życia objawach. Nie ostało się nic po dawnemu. Ludzie nie ci, rzeczy nie te, fizjognomje krajów nawet nie takie, jakie były lat temu dwadzieścia.

Żyją jeszcze ludzie, co sobie przypominają, jaka była przed laty dwudziestu Ukraina nasza.

Obecnie w roku od Narodzenia Chrystusa 1873 wymów wobec obywatela gubernij litewskich i gubernij nadwiślańskich, wobec szczęśliwca, cieszącego się wolnością konstytucyjną, zaoktrojowaną dla Królestw Galicji i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, wobec mieszkańca dawnych dziedzin piastowskich, przerabianego na Niemca, wymów dziś wobec którego z nich wyraz: Ukraina.

— To mit... — powie. Mam o nim wiadomość, niebardzo jednak jasną... Coś mi się po głowie kręci: Ukraina?... Ukraina?

Lat temu dziesięć Kongresowiacy, którym wypadało jechać nad Dniepr lub nad Dniestr, po przeprawieniu za Bug natychmiast zaczęli przemawiać

do ludzi po moskiewsku i dziwili się mocno, gdy ci ich lepiej po polsku rozumieli. Dziesięć lat więc już temu zaczęto Ukrainę gubić z uwagi powszechnej, cóż dopiero dziś? Czy wie kto co o niej? Czy wielu z wyżej wymienionych obywateli, szczęśliwców i mieszkańców nie uważa jej za wspomnienie zamarłe?

Zamiarem moim powieściowym jest wspomnienie to wskrzesić, wywołać je najaw i pokazać Ukrainę w tajniku jej bytowania duszowego.

Biorę ją w momencie, dla którego cofam się w przeszłość niedawną, kiedy to jeszcze jednak pola ukraińskie brzęczały podzwiękiem ech dawniejszych. Dziś podobno tego już niema. Lat dwadzieścia temu wałęsały się jeszcze echa przeszłości, wionęły stepami, czepiały się mogił, zasiadały na krzyżach obok sokołów białozorów, grały w burzanach i przemawiały do ludzi tamecznych językiem zrozumiałym. Sadzono już wprawdzie kartofle i uprawiano buraki, każda niemal wieś posiadała gorzelnię parową, a tu i owdzie powstawały fabryki cukrowe, zboża nie młócono już cepami, mimo to pozostawało coś jeszcze z czasów onych, o których opowiadały dumy ludowe; pozostawało pojęcie lepszej jakiejś przeszłości, połączone z wiarą, że taka wskrzeszona być może.

Lepsza przeszłość, nie było to pojęcie żadne wyraźne. Chłop nic o niej powiedzieć nie umiał; pomiędzy szlachtą zaś zrzadka jeno przerzucali się tacy uczeni, co znali dzieje zamieszkiwanego przez nich kraju. Dla pierwszych przyświecało u niej wyobrażenie „swoboda“; drudzy wiedzieli na pewno, że Ukraina należała niegdyś do Polski, której byli oni przedstawicielami. We wskrzeszeniu przeto „lepszej przeszłości“ ci widzieli swobodę, ci Polskę; w sobie zaś tak ci, jak ci, czuli węzły pokrewne, które czyniły z nich rodzinę jedną wielką, pozostającą pod opieką, dozorem i nauką *stanowych prystawów, sprawników i gubernatorów*.

Czy rodzina ta żyła w harmonji, w zgodzie, jak na rodzinę przystało?

Oto pytanie!

Czy się wzajemnie podtrzymywała, wspomagała i pocieszała?

Chłop pańszczyznę odrabiał, szlachcic go sprężyście dozorował: oto, jak wyrażał się stosunek ich wzajemny.

Ten wzdychał do swobody, ten do Polski.

Wzdychali i tyle.

Nie bez tego jednak, żeby niekiedy westchnienia nie tłumaczyły się i wyrazami, i czynami. Tłumaczenia zdarzały się często nawet. Można było spotkać się z nimi na gładkiej drodze, zwłaszcza po roku 1847, w którym rząd moskiewski ogłosił tak zwane „prawidła inwentarne“, regulujące stosunek poddańczy. Prawidła te poddaństwa nie znosiły i samowoli dziedziców nie ukrócały, — regulowały jeno stosunki o tyle, że dozorcóm regulacji tej, członkom policji ziemskiej otwierały nowe dochodów źródła. Obudziły wszakże wzdychających — obudziły ich przez to, że pokazały im, iż jest coś przecie do zrobienia, kiedy poprawia sam siebie rząd, który się za nieomylny podaje i w nieomylność własną religijnie wierzyć każe.

— Hej, hej!... — wywoływali chłopci. — Byle ino nie przeczekać świętego Jura!...

Święty Jur tkwił im ówiekiem w głowach, przychodził, mijał — rocznica jego przypada na wiosnę — oni wciąż czekali.

Czekali, aż powołają ich do wpisywania się w rejestr.

Czekali cierpliwie. Chłopa ukraińskiego cierpliwość odznacza.

Schodzili się jeno przy okazji po karczmach, jedy-nych miejscach zgromadzeń publicznych chłopskich, i tam świętego Jura wspominali.

Jedno ze zgromadzeń takich posłuży nam za punkt wyjścia w opowiadaniu, któreśmy spisać zamierzeli.

Działo się to w roku 1853 na wiosnę. Śniegi leżały jeszcze po polach płachtami białymi, odbijającymi rzeško od ról tu czarnych, owdzie zielonych, stosow-

nie do tego, czy były to role zasiane z jesieni oziminą, czyli też zorane na ziębl pod jarzynę. Oziminy wychodziły z pod śniegów świetnie. Szmaragdowe kobierce zalegały przestrzenie okiem nie objęte, uśmiechając się do słońca, pod którego wpływem tajały płachty białe i za którego sprawą drogi przesychały, tężały i stawały się takie, jakby na sobie obicie skórzane miały. Drogi takie nazywają na Ukrainie rzemiennymi. Ani kurzu na nich, ani grudy, ani błota, uginają się pod kołami i jedzie się po nich wozem prostym jak karetą na resorach. Nieszczęściem, trwanie ich jest jak żywot motyla. Kilka dni, tydzień najdłużej i już po nich.

Owóz, drogą taką rzemienną, wśród łąnów czerniejących i zieleniejących podążali ludzie w ilości nie małej. Słońce miało się już z południa. Godziny półtorej najwięcej, a zapadnie za widnokrąg siniejący na lewo. W powietrzu czuć się dawał przymrozek leciuchny, od którego dziewczętom jagody kraśniały.

Podążali ludzie w ilości nie małej z pośpiechem, który był różny. Jedni ciągnęli zakładem — jak to się mówi — po gospodarsku, bez zrywania nóg sobie i bydłom. Wozy literne i wasągowe, zaprzężone bądźto wołami, bądź hetkami, toczyły się powoli, po największej części próżne; ci bowiem, coby na nich siedzieć mogli, woleli iść piechotą, mężczyźni obok zaprzęgów, kobiety bokiem drogi, ostatnie na bosaka, odświętnie ubrane w swity białe i w namitki, niosąc w ręku buty czerwone lub żółte. Drudzy pędzili, jakby ich co gnało, bądź konno, bądź na wózkach, oplatanych i nieoplatanych, zwykle koniem jednym zaprzężonych. Różnica w pośpiechu odpowiadała różnicy dwóch ras, zamieszkujących Ukrainę. Ci, co ciągnęli powolnie, byli to chłopci; pędzącymi z sił całych byli Żydzi.

Ostatni wymijać musieli pierwszych, co stawało się powodem wypadków zabawnych. Tu wózek się wywrócił i Żydków kupa w rów się wysypała; owdzie koniowi sprzykrzyło się cwałować, więc stanął i razy zadawane mu przez właściciela batogiem oddaje te-

muż nogami tylnemi; tam znów kołek z osi lub sworzeń wyskoczył, koło spadło, Żydzi lamentują, zaklinając idących i jadących mimo chłopów, ażeby im pomoc dawali.

Mimo jednego wózka, któremu się ostatni przytrafił wypadek, przeszło wozów chłopskich kilka. Żydów trzech i Żydówka jedna naprzóżno stawali wśród drogi i przemawiali:

— Zmiłujcie się, zlitujcie się, gospodarzu! jechać dalej nie możemy, kołek nam wyskoczył!...

— A mnie co tam do tego!... — taką dawał niezmiennie odpowiedź proszony każdy.

— Kołek nam wypadł!... — lamentowali Żydzi.

— To zacieszcie sobie inny... — odpowiadał ten i ów.

— Jak to zaciesać!... Co to zaciesać!... Ja nie umiem ciesać... Bądźcie łaskawi, panie gospodarzu, zlitujcie się nad nami... Bóg to wam wynagrodzi...

Błagali, jakby doprawdy chodziło o rzecz nadzwyczajnie ważną i niesłychanie trudną. Błagali jednak nadaremnie. Przeciągnęło mimo wozów pięć i pieszych ilość spora, nikt się litością nie poruszył.

Aż nadciągnęła paronica — wóz literny dobry, na wozie dziewczyna, jak malina, bokiem drogi młodyca czerstwa i zdrowa, niby dynia dojrzała, w jarzmie woły siwe, jak sokoły, a obok nich dziad krzepki w czuchaju z kapturem wyszywany suto na kołnierzu i w stanie, w czapie nowej z manszestrowem denkiem, w butach pasowych, czerwonym pasem przepasany.

— Hou-ho... — krzyknął na woły.

Woły stanęły.

Żydzi do dziada. Nie proszą, tylko skarżą się.

— Trafilo się nam takie nieszczęście, Hryhore, takie wielkie nieszczęście! Aj waj!

— I czegoż ajwajkujecie, Żydowiny?

— Kołek z osi wypadł i koło spadło... koło potrafilimy założyć, ale dalej jechać niesposób, bo bez koł-

ka znów spadnie... A tu słońko zachodzi i szabas za pasem.

— Czemuż sobie kołka nie wystrużecie?

— Albo to my kiedy strugali!... Gdzie nam do kołków!... My Żydzi...

— Oj, wy Żydzi!... — zawołał starzec, dobywając topór z wozu i zabierając się wnet do roboty. — Nosów sobie ucierać sami nie umiecie...

Zawinał się, drzewa kawałek znalazł i ciesać począł.

A podczas kiedy ciesał, słyszeć się dał odgłos dzwonka. I dziad, i Żydzi uszów nastawili.

— Moskala licho niesie... Trzeba mu z drogi ustąpić zawczasu, żeby do zaczepki powodu nie dać...

Zawiesił ciesanie, wóz na bok odprowadził; Żydzi zrobili z wózkiem to samo i uszykowali się w postawie uszanowania pełnej, przysłuchując się zbliżaniu się odgłosu dzwonka i czepiąc palcami koło uszów własnych poprawki jakieś zagadkowe.

Chłop do ciesania wziął się napowrót. Żydzi półgłosem o coś jeden drugiego zapytywali i pilnie się jeden drugiemu przypatrywali, jakby chodziło im o to, ażeby się Moskalowi sprezentować należycie.

Dzwonek odzywał się coraz to bliżej i bliżej, pojękiwał coraz to głośniej, aż wtórować mu zaczął turkot bryczki, a i pokazała się bryczka sama — w niej cztery konie w poręcz, na niej, na koźle kuczer w jermaku i czworograniastej aksamitnej czapie, na siedzeniu z lewej strony pop, z prawej człek czerwony, w płaszczu z czerwonym kołnierzem, w czapce z czerwoną obwódką, z fajką w zębach, przykrytą od wiatru srebrną nakrywką i ustrojona w rodzaj sukienki czerwonej.

Dziad, ciesąc, zerknął z pod oka i mruknął pod nosem:

— Djabli niosą dwa licha naraz: Moskala i popa. I splunął trzykrotnie, mówiąc półgłosem:

— *Cur ta pek...*

A głos podnosząc, odezwał się do dziewczyny:

— Odwróć się, Mokryno, a i ty, Nastjo (to się do młodycy stosowało), nie leż Moskałowi w oczy... Moskałowi niby psu wściekłemu z drogi umykać potrzeba...

Kobiety się poodwracały, bryczka nadjechała i zatrzymała się.

— He, *Jewrej!*... — zabrzmiał głos rozkazujący.

Żydzi wszyscy trzej razem do bryczki podeszli.

— Skąd wy?

— Z Bortniczanki, wasze wysokobłahorodje...

— Cóż tam robicie?

— Ny... handele... jedno kupujemy, drugie sprzedajemy.

— Wszyscy trzej?

— My wspólnicy, wasze wysokobłahorodje.

— Do wódki?

— Niechże nas Pan Bóg broni! Wódki my się ani dotykamy od czasu, jak zakaz nastął.

— Gdzie wy byli?

— W mieście na jarmarku.

— I wracacie do domu na szabas. To dobrze. A co wy tam w mieście słyszeli?

— Co?... Nic... My nic nie słyszeli...

— Pamiętajcież sobie, żeście nic nie słyszeli i powiedzcie to Żydom wszystkim... — prawil Moskał tonem rozkazującym. — Pogłoski fałszywe przez Żydów się rozchodzą, jeżeli przeto jaka w ucho mi wpadnie, to ja się natychmiast do was wezmę i będę was dusił, *sukinsyny!*

Żydzi słuchali, stojąc wyprostowani z czapkami w rękach.

— A pejsy!... — odezwał się Moskał.

Żydom oczy zamigotały.

— Pochowaliście za uszy... o!... widzę wyglądające ztyłu kosmyki. Ja was, gołabki, nauczę, jak to się szanuje ukaz *hosudarski!* Zaraz tu kozacy nadbiegną. Będziecie wy szabasowali bez świeczek i bez rybki.

Żydzi stali prosto i nieruchomo niby mrowiem

ścięci i patrzyli Moskalowi w oczy. Trwało to chwilę, po której jeden z nich bliżej do bryczki przystąpił.

— Czego ty? — zapytał Moskał groźnie.

— Niczego, wasze wysokobłahorodje. Ja tylko mam wam słówko jedno powiedzieć...

— Nu?

— Słoweczko jedno...

Tu pop odwrócił się w stronę przeciwną i począł się niby pilnie robocie Hryhora przypatrywać, Moskał zaś z bryczki się przechylił, niby to ucho nadstawiał, w rzeczy samej jednak okiem zukosa spoglądał w ręce Żydowi, który mu rubla na dłoni pokazał.

— Co ty, *maszennik?!... skwiernawiec!...*

Żyd pośpiesznie drugiego dołożył rubla.

— Wot czto? *skatina!*

Żyd dodał trzeciego.

— To tak... Pamiętajże sobie!... Nie rozpuszczać mi pogłosek fałszywych, bo będę z was pasy darł!...

To mówiąc, schował trzy ruble do kieszeni i zawołał na kuczera: *Paszol!...*

Kuczera emoknął na konie. Bryczka ruszyła.

Przez czas rozmowy Moskala z Żydami dziad kołek zaciesał i czekać musiał. Doczekawszy się odjazdu bryczki moskiewskiej, podszedł do żydowskiego wózka, rzucił okiem znawcy na oś, kołek wbił w dziurkę i rzekł:

— Macie... Jedźcież z Bogiem, lżej wam teraz, bo wam coś tam trochę *stanowy* nadebrał...

— A bodajby mu ręce pokurczyło! — odezwała się Żydówka.

— Dobrze, że się na tem skończyło... — odrzekł Hryhor. — Jakem tylko popa zoczył, natychmiast pomyślałem sobie: o, będzie źle... Ale ja splunął i odezwał się, to mnie licho ominęło...

— A bodajby mu nogi połamało!...

— Ta nie klnij — perswadował stary. — Komuś tam będzie gorzej jeszcze, aniżeli wam, bo kiedy *stanowy* z popem jedzie, to nie poco innego, tylko na śledztwo...

Żydzi śpieszyli się. W roztargnieniu, jakie im stanowy sprawił, zapomnieli nawet starcowi podziękować, powsiadali na wózek i popędzili, Hryhor zaś kiwnął ku wołom batogiem, zawołał na nie i te, nastawiwszy się w jarzmie, ruszyły z miejsca wóz z dziewczyną.

— K'sobi... k'sobi... hej!... — przemówił do nich starzec, uszedłszy zaś kroków kilkanaście w milczeniu, tak sobie monologował: — Patrzcie... Moskał jedzie szlakiem i karbowanie zbiera... Nie chciałbym teraz w żydowskiej być skórze, przyszła i na nich zła godzina... Kaftany im obrzynają, jarmułki pozrucąc kazali, pejsy im obcinają... tfu!... Biedni oni!... Ta coś to ono jednak jest... Niedarmo ludzie o czemś gadają... Trzeba będzie koło Malowanej stanąć na moment.

Zwracając się do idącej piechotą kobiety, odezwał się głośno:

— Stanę ja koło Malowanej i zajdę, a wy siedzicie na wozie, żeby, broń, Boże, nie ściągnął kto z wózka siekiery, maźnicy, albo czego innego... Bo to wiadomo, pomiędzy jarmarkowymi trafia się wszelka wszelakość... Ja nie zabawię długo.

Nazwę Malowanej nosiła karczma traktowa. Nazwę tę nadano jej dlatego chyba, że gdy ją stawiano, miano może zamiar nadać jej barwę jakąś. Zamiaru tego jednak śnać zaniechano i ona pozostała *in naturalibus*, malowaniem bowiem nazwać nie można smarowania gliną białą, dopuszczanego się względem niej raz na rok. A miała ona i zajazd, ale nie do zajezdzania, a to dlatego, że stała w punkcie pomiędzy miasteczkiem K. a wsią Motylnica, w którym nikomu ani popas, ani nocleg wypadać nie mógł. Kto jechał tym traktem a nocował w miasteczku K., popasał w Motylnicy, gdzie się znajdowało domostwo zajezdne naprawdę. Kto zaś popasał w miasteczku K., ciągnął na nocleg do Motylnicy. Zimą chyba tylko, w zawięnię snieżną, zdarzało się Malowanej wędrowca jakiego na dłużej dostać, zwykle zaś służyła za miejsce odpoczynku chwilowego dla jarmarkowiczów, którzy

się zatrzymali dla wypicia wódki kieliszka i pobalania z ludźmi.

Nie dla czego innego i Hryhor się zatrzymał.

Dojeżdżając, zdaleka już widział wozów huk. Woły gdzie niektóre leżały i przeżuwały; konięta gryzły podrzucone im siano lub też gmerały w plewach, odgrywających rolę obroku.

— Hej! narodu émia... — rzekł stary do siebie.

Zjechał z drogi i zatrzymał wóz tak, ażeby nie tamował przystępu do karczmy.

— Siedźcie i nie ruszajcie się... — przemówił do kobiet.

— Może wy, dziadusiu, weźmiecie pieróg z grochem? — odezwało się dziewczę głosikiem dźwięcznym, jak dzwonek loretański.

— Zabawiaj się ty pierogiem... Ja tam zajrzę tylko.

Izba szynkowna, acz obszerna i w długie dokoła zaopatrzona stoły, nabita była ludem, tak że połowa stać na środku musiała. Za stołami miejsca zajęte. — Szynkarz chrześcijanin — ukaz bowiem Mikołajja oddalił plemię Izraela od handlu wódeczanego — miał do czynienia dużo, rozdając kwaterki i zbierając grosze, i przeciskać mu się było trudno. Wszakże, gdy się stary na progu ukazał, ludzie mu się rozstąpili z oznakami uszanowania: doszedł do stołu i przy stole znalazło się miejsce dla niego. Siedzący ścisnęli się, pozdrawiając go uprzejmie wedle zwyczaju w imię Boże.

— I cóż ty na to, Hrehore? — odezwał się jeden.

— A na co?... Na to, że widzę ciebie nad kwaterką! Powiem ci: Na zdrowie! — odparł stary wesóło.

— Ta bo to nie o to idzie przyczyna.

— O cóż?

— O to, co ludzie na jarmarku gadali...

— Spotkał ja tylko co *stanowego prystawa*, śpieszył na jakieś śledztwo, bo z popem jechał — i słyzałem, jak nakazywał, ażeby fałszywych nie szerzyć pogłosek...

— Komuż to on nakazywał?... — zapytał ktoś z tłumu.

— Żydom.

— Ihi na Żydów!... Co Żydzi to nie naród chrześcijański.

— Ale pogłoska, jak fałszywa, to fałszywa jest zarówno ze strony chrześcijańskiej, jak żydowskiej.

Zauważyć tu musimy, że od czasu zaboru moskiewskiego wyraz „chrześcijanin“ nabrał osobliwego w ustach ludu znaczenia. Chrześcijanin — *krestianin* — po moskiewsku znaczy „chłop“. Szlachcic, człek dobrze urodzony — *blagorodny* — nie jest chrześcijaninem. Osobliwość ta ma swoją logikę dziejowo-społeczną, o której w powieści rozwodzić się nie możemy. Zaznaczamy ją tylko dla nadania rozmowom z ust chłopów ukraińskich wyjętym właściwego ich znaczenia.

— Fałszywa!... — bąknął ktoś tym tonem, którym się wątpliwość wyraża.

— Hi! — odparł stary — wiedzieć o tem na pewna niesposób, bo stanowemu wierzyć nie można.

— Moskal... — wtrącił ktoś zboku.

— Gadzina... — poprawił inny.

— Gadają o Białym Harabie. Z którejże on nadciągnie strony?

— Z którejże jak nie z tej, z której szarańcza przychodzi... — odpowiedział starzec.

— To znaczy stamtąd, jak Zwinogródka, Humań?

— Ono to tak niby wypada... zawsze z za Dunaju!

— Z za Dunaju! — podchwyciło głosów kilka i wyraz „Dunaj“ obiegił z ust do ust, wypływając z niektórych z akompanjamentem właściwego ukraińskim chłopom wykrzyknika:

— Hej, ha!...

Z pośrodku tłumu odezwał się niekoniecznie czysto śpiewany początek dumki:

Jichau kozak za Dunaj,

Skazau diwczyni proszczaj...

Zgromadzenie atoli nie okazało usposobienia do słuchania dumek, zawrzała bowiem rozmowa, która śpiew zagłuszyła. Za stołem jeden z siedzących na przeciw starca zaczął go zapytaniem:

— Wy, diad'ku, za Dunajem bywali?...

— Kiedyś-to! ciebie na świecie jeszcze nie było.

— Aleście Białego Haraba na własne widzieli oczy?...

— Widzieć nie widziałem... słyszałem o nim tylko; gdzieś on dalej jeszcze przebywa, za dziesięciu górami i za siedmiu wodami, ale gdyby tu szedł, to musiałby przez Dunaj przechodzić, bo Dunaj tak płynie, że w którąś się zwrócił stronę, w tę czy w ową, tak czy siak, nie obejdiesz go...

Słuchacze podziw okazywali, wyrażając go zapomocą kiwania głowami.

— I cóż?... no?... — odzywali się niektórzy.

— Ta była tam — ciągnął starzec — Sicz, co się z ostrowów przeniosła i...

Tu dziad ręką machnął.

— Jeżeli była, toć i być musi... — odezwał się ktoś.

— Bóg to wie... Ja tam po rybę z nieboszczykiem ojcem moim chodził i widzieliśmy Siczowców na własne oczy nasze... Pamiętam jak dziś, ojciec im wódki postawił, a oni się rozgadali, ta obiecywali, że przyjdą do nas razem z Białym Harabem, ale nie przyszli. Ludzie biegają wprawdzie za Dunaj, nie wracają jednak stamtąd, to i nic wiedzieć nie można. Spodziewaliśmy się ich... będzie temu... lat (tu się stary namyślał)... bodaj czy nie trzydzieści... Jakoś w czasie tym Nastję wydałem, a jak ona wydana, to już temu lat dwadzieścia pięć... Otże, spodziewaliśmy się ich wówczas; zagadali byli ludzi, jak teraz oto, o Białym Harabie; ale ani Biały Harab nie przyszedł, ani Siczowcy... Moskał tylko rekruta brał, naród nękał podwodami i w pohańce ludzi pędził.

— Zawsze ten Moskał przeklęty na przeszkodzie!... — wtrącił chłop jakiś.

— Chciałżebyś, ażeby Biały Harab przyszedł ko-

niecznie? — odrzucił mu inny. — A wieszże ty, czy to naród chrzczony, czy nie chrzczony?

— Ale z nim Siczowcy, a tym, słyszałeś, co Serdeczny rozpowiada, i wódki postawić, i rozmówić się z nimi po ludzku można...

— I o *lejestrach* coś tam oni wiedzą... — odezwał się inny.

— Ehe... — zawtórowało kilku chórem. Taj powiedzieliby przynajmniej, kiedy nadejdzie święty Jur, o którego się nie dopytasz nikogo: dziedzic ramionami ściska, pop gadać nie chce, stanowy nie odpowiada człowiekowi inaczej jak łajaniem... a *hramota*, słyszę, leży...

— Ta jeszcze jaka!... — bąknął chłop, oparty na stole łokciami. Czystem złotem pisana.

Słowa te sprawiły wrażenie niemałe. Hramota, czystem złotem pisana, stała się przedmiotem gwarnej rozmowy, związanej z wniosków, które ostatecznie oparły się o dziada i ten na nie odpowiedział w ten sposób, że wstał, ręką machnął, czapki na głowie poprawił i rzekł:

— At!... Pora już do domu... My tu bałakamy, a tam baby czekają z miszeniem pasch wielkanocnych... Pozostawajcie zdrowi, panowie...

Kiwnął głową, od czego mu czapka głębiej na łeb wpadła, ruszył i z nim ruszyli wszyscy. Tłum z karczmy wylał się nazewnątrz, a każdy, co wychodził, zatrzymywał się na chwilkę i rozglądał, ulegając nawykowi rolnika badania stanu nieba, ilekroć z pod dachu na wolne wynurza się powietrze. Rozglądali się więc chłopci, zwracając baczną uwagę na słońce i na zachodni nieboskłon, jaśniejący złotawem odbiciem.

— Pogoda na jutro... — bąknął ten i ów.

— Jeżeli się w nocy nie zmieni... — zauważyło paru.

Stali jeszcze kupą gęstą, kiedy przed karczmą zatrzymała się zgrabna nejtyczanka z fartuchami i bronzowemi ozdobami; w nejtyczance cztery tęgie różnej

maści konie u lic założone; na koźle dwóch ludzi w dworskiej kozaczey odzieży; w siedzeniu młody człowiek, szlachcic, jak to świadczyły mina i czupryna, bardzo przystojny i na zucha wyglądający. Konie mocno były spędzone, bokami ciężko robiły, nozdrzami kłęby pary ciskały i od potu się kurzyły. Młody człowiek dziwnem jakimś, pełnem wyrazu zakłopotania okiem na gromadę chłopską spoglądał.

II.

Posuwając się z Motylnicy w kierunku południowym, przejeżdżało się naprzód przez miasteczko K..., w którem w Wielki Piątek odbywał się jarmark wzmiankowany w rozdziale poprzednim; przejeżdżało się następnie przez miasto L..., będące w tej stronie stolicą tak zwanych „wojennych posielenij“ — kolonij wojskowych — sformowanych z majątków szlachy polskiej przy różnych okazjach, mianowicie zaś za należenie do powstania 1831 przez rząd pokonfiskowanych. Od K... do L... liczyło się mil sześć opętanych. K... było to miasteczko. L... zaliczało się do miast na większą skalę, posiadało bowiem i lepszych rzemieślników i sklepy nie źle zaopatrzone, i aptekę, i lekarzy kilku, i rynek obszerny, i domostw zajazdowych w rynku kilkanaście, pomiędzy któremi znajdowały się i takie, w których znaleźć było można wygodę nie nominalną tylko, nie taką zapewne jak po hotelach na Zachodzie, bardzo jednak wystarczającą dla Ukraińców, nie mających zwyczaju wyjeżdżać z domu bez pościeli własnej, kucharza i samowara.

Owóz do miasta tego (którego nazwę prawdziwą dla wiadomych mi przyczyn ukrywam pod przybraną literą L.) z czwartku na piątek późnym wieczorem wjechała nejtyczanka czterema w lic końmi zaprzężona, wtoczyła się na rynek i zwróciła się wprost do jednego z domostw, przepuszczającego światło przez okiennice pozamykane. Wrota jednak domostwa tego

zamknięte były. Nejtyczanka zatrzymała się i z koźła zeskoczył Kozak w celu domagania się o otworzenie wrót. Udał się do środka domostwa, powrócił jednak po chwili z oznajmieniem, że:

— Miejsca niema...

— Miejsca niema?!... — zawołał głos z siedzenia tonem zdumienia. — Mówiżesz, że to ja, z Motylnicy?

— I mówić nie potrzebowałem, Żydzi mnie poznali... Ja do nich: Otwórzcie wrota, panicz przyjechał! a oni na to: Miejsca niema ani dla koni, ani dla panicza... bitkiem nabito...

— Jedź dalej — odezwał się panicz.

Nejtyczanka podjechała do domostwa sąsiedniego, lecz i w tem miejsca nie było. Toż samo w trzeciem, w czwartem, w dziesiątem; podróżni objechali rynek dokoła, kołatali do wszystkich domów zajezdnych i wszędzie naprzekór radzie ewangelicznej: „kołaczcie, a będzie wam otworzono“, znaleźli wrota zamknięte.

— Cóżby to znaczyć miał!... — rzekł panicz napół do siebie. Moskale chyba tak zajechali dla rewji jakiejś... Przecież ani jechać dalej, ani też nocować pod gołym niebem nie możemy... Mam przytem w L... sprawunki do zrobienia.

Przez miasto L. przechodziła droga pocztowa, będąca jednym z traktów główniejszych wewnętrznej na Ukrainie komunikacji. Przy drodze tej po jednej stronie znajdowały się duże karczmisska, postawione ku wygodzie ludu pospolitego. Nie znalazłszy przytuliska w mieście, nie pozostało podróżnym naszym nic innego jak poszukać go za miastem, zrzucając, jak to powiadają, pychę z serca i udając się do karczmissk tych. Dotarli do jednej z nich — ciemno. Kozak kołatać począł we wrota i w okna i dokołatał się. Wyszedł człek zaspany.

— Otwieraj wrota!

— Naco?

— Panicz z Motylnicy na nocleg chce zajechać.

— A czemuż nie jedzie do miasta?

— Byliśmy w mieście, ale tam miejsca niema.

— Miejsca w mieście niema — rzekł człowiek zaspány, drapiąc się dłonią w krzyże. — Miejsca niema... hm...

— A tu, czy jest?

— Tu... jest...

— Otwierajże wrota!

— Zaraz, zaraz... poczekajcie trochę...

Karczma owa, postawiona ku wygodzie ludu popolitego, posiadała prawo wyszynku gorzałki, a zatem pozostawała w arendzie u chrześcijanina. Rząd w punktach podobnych osadzał propagatorów moskwi-cyzmu, wynajdywanych w tej sferze, w której się kwintesencjonuje idea władzy takiej, jak moskiewska, turecka i im podobne, w sferze wojskowej. Na karcz-mie przeto owej siedział dymisjonowany unteroficer, człowiek piśmienny, bo z kantonistów wykształcony, bo grał w preferansa i umiał sztosą ciągnąć i pojmu-jący ideę władzy, bo znaczący chłopom kredą podwój-ną. Mąż ów spał, gdy podróżni nasi o gościnność za-kołotali, klucze trzymał pod poduszką i dlatego też stróż karczenny czekanie zalecał. Czekali. Upłynęło czasu kawał spory, zanim się wrota nareszcie otwo-rzyły i panicz z Motylnicy przytulisko znalazł dla sie-bie, służących swoich, koni i bryczki.

Znalazła się izba brudna; znalazło się łóżko z okło-tem zamiast materaca; znalazł się i świecy kawałek; można więc było urządzić się na nocleg jako tako. Pa-nicz z Motylnicy ciekaw był dowiedzieć się powodu, dla którego pozapełniały się domostwa miejskie, lecz nie było komu ciekawości jego zaspokoić. Arendarz nie pofatygował się na przyjęcie jego we własnej swej oso-bie, stróż zaś takie na zapytania wszelkie odpowiedzi dawał, iż podejrzenie wzbudzał, że mu jednej klepki brak, inne zaś pozostają w stanie nadwerężenia. Mło-dy człowiek zadał mu pytań parę i rozwiązanie osta-teczne zagadki pozostawił do jutra.

Czy dla znużenia, czy też dlatego poprostu, że mło-dy podróżny nasz, jak sobie chrapnął, tak się nie obu-

dził nazajutrz aż około dziewiątej. Spojrzał na zegarek.

— Hm... Spało mi się niezle... — rzekł sam do siebie. — Do dwunastej załatwię się ze sprawunkami i pojedę do Bierowatej; u wujaszka przenocuję a jutro będę w domu.

Zawołał na służącego, od którego dowiedział się, że samowar kipi; kazał sobie podać herbaty, ubrał się, herbaty szklanek dwie obowiązkowych wypił, fajkę wypalił i do miasta piechotą poszedł, zostawiwszy furmanowi rozporządzenie, ażeby ten, równo o dwunastej, zajechał do Kisielki. Kisielka był to obywatel miasta L., utrzymujący najpierwszą restaurację, najpierwszą kawiarnię i najpierwszą cukiernię. U niego nasz młody podróżny zamierzał zrobić skład główny sprawunków, posilić się i od niego w dalszą puścić się podróż.

Okolo dziesiątej wyszedł z karczmy nocležnej, około kwadransu na jedenastą zaszedł na rynek. Na rynku zdjęła go ciekawość dowiedzieć się, dlaczego też to w domostwach zajezdnych miejsca nie było. Skręcając do domostwa znajomego, tego samego, co mu najpierwsze przytułku odmówiło, zdaleka już widział je napełnione nie żadnymi Moskalami, ale fizjognomjami znajomemi sobie służących obywateli, sąsiadów swoich. Wpadł mu w oczy najpierw woźnica prezesa X., dalej pokojówka marszałkowej Y., potem lokaj sędziego Z., następnie foryś marszałka W. i t. d. Zdziwiło go to wielce. Wielki Piątek, Wielkanoc pojutrze, na uroczystość tę każdy dobry chrześcijanin zwykł w domu siedzieć, gospodyni zaś każda dla bab, placków i mazurków wywalić się na krok nie może.

— Świat się chyba wywrócił nogami do góry — pomyślał sobie, wchodząc na podsień i zamierzając zaczepić kogo zapytaniem, mogącym mu zagadkę tę rozwiązać, gdy wtem otworzyło się drzwi parę od izb gościnnych i wysunęły przez nie postacie własne prezesa, marszałka, sędziego, drugiego marszałka i kilku

jeszcze innych szlachciców, tytułowanych poprostu panami dobrodziejami.

NB. Na Ukrainie zwyczaj taki: kto tytułu innego nie posiada, ten się tytułuje „dobrodziejem“.

Wysypali się dobrodziejcie i wołać poczęli na naszego panicza, jedni „panie Michale!“ drudzy „Michale!“ trzeci „Michasiu!“

Otoczyli go kołem i ramion wieńcem. Całowali go, ściskali a byli i tacy, co tylko podawaniem dłoni witali. Jedni trzymali fajki w ręku na długich cybuchach, drudzy byli z rękami gołymi.

Mówili do niego wszyscy razem i każdy z osobna i on tyle tylko zrozumiał, że zjawienie się jego cieszy ich niewypowiedzianie.

— Ależ, przecie... co panowie w Wielki Piątek w L... porabiacie?

— Co porabiamy?... — odparł jeden. — Rozłożyliśmy sobie wista i preferansika na tydzień cały, boć inaczej człekby się na śmierć zanudził.

— Na tydzień cały?!... — krzyknął pan Michał. — A toć to Wielkanoc!...

— Dlatego też właśnie.

— Czemuż panowie Wielkiejnocy po domach własnych nie spędzacie?

— Chodźno do izby, tam się dowiesz o wszystkim... O tem się na podsieniu nie mówi... — odrzekł jeden z obywateli tonem tajemniczym i z miną tajemniczą.

Udali się do izby i nasz Michał z nimi.

W izbie przygotowane już stały do kart stoliki w liczbie czterech. Przy jednym dobrodziej jakiś siedział i talje tasował. Inne wyglądały dziewiczo: sukno zielone czyste, karty w banderolach opieczętowanych, kredki ostro zastrugane, szczoteczki na miejscach swoich. Prezes X. drzwi zamknął i, zwracając się do młodego człowieka, tak zaczął:

— Zjechaliśmy się tu z żonami, z dziećmi, nie bez przyczyny, jak miarkować możesz, a przyczyna, co nas do L... sprowadziła na święta wielkanocne i każe

nam je nie w domach własnych a pod żydowskim spędzać dachem, wiesz w czym?

— Nie... — podnosząc dłonie, odparł pan Michał — dalibóg, nie wiem...

— Gdzieżeś ty był?

— Byłem w Lipkoniczczyźnie, u stryjaszka...

— I o niczem tam nie słyszałeś?

— Słyszałem o wojnie... coś o tem gadają...

— Ta i tu o tem gadają... Ale o (tu głos zniżył)... rzezi?

Pan Michał ramionami ścisnął.

— Nie słyhać tam?

— Nie...

— A przecie, to rzecz pewna, jak dwa a dwa są cztery... Chłoptwo się gotuje na drugi dzień Wielkiej-nocy zrobić *kiesym* szlachcie całej, żeby ani na nasienie nie zostało...

— Pogłoski te rok w rok od lat kilku się powtarzają... — zauważył pan Michał.

— Więc cóż z tego!... — odezwał się ten, co karty tasował. — Pogłoska jest tak, jak zapowiedź gry: siedem w pik... osiem bez atu. Zapowiadam na to, żeby grać... Zapowiadają na to, żeby rznąć... Gdyby rznąć nie mieli, to na kiego lichaby zapowiadali!...

Argument ten, zdaje się, i do pana Michała przekonania trafił, powstrzymał go bowiem na drodze czynienia objeekcyj jakichkolwiek. Prezes głos zabrał:

— To pewne, jak amen w pacierzu... Dam ci dowód najlepszy: Dowiedziawszy się o tem, marszałek, sędzia i ja pojechaliśmy do generała i wyciągnęliśmy go na gawędkę poufną, pokadziwszy naprzód Moskowi... to nie Moskal nawet a Niemiec... pokadziwszy mu naprzód, ile wlażło... Z początku okoniem się stał: „*Czto wy, gaspada!... wzdor!... czepucha!*“ Udobruchał się jednak Niemczysko i powiedział nam w zaufaniu: „Komu życie miłe, niech do L... przybywa. Mamy rozporządzenie trzymania się wpogotowiu...“ O (tu prezes palec demonstracyjnie podniósł)... Czyż trzeba dowodu lepszego!...

Młody człowiek i zagadkę sobie rozwiązał, i przekonany został ostatecznie. Jakżebo się przekonaćby nie miał, widząc przed sobą powagi powiatowe, jednogłośnie fakt potwierdzające. Przekonanie odbiło się mu w oczach wyrazem frasunku, następnie wyraziło się przez usta okrzykiem:

— A rodziceż moi!...

— Twój stary uparty... — podchwycił prezes. — Byłem u niego sam osobiście... przedstawiałem... prosiłem... zaklinałem... Mówiłem mu: Strzeżonego Pan Bóg strzeże...

— Cóż?... — zapytał pan Michał.

— Uparł się i koniec... Na upór lekarstwa niema... chyba, że go tam jeszcze kobiety przełamią... Gdyby jednak przełamać miały, to jużby tu był... Kalasanty, wuj twój, tydzień temu, jak do Odesy drapnął, a przed wyjazdem był u ojca twego i chciał siostrę — matkę twoją i siostry twoje ze sobą zabrać...

— Stary nie pozwolił?... — podchwycił pan Michał z akcentem oburzenia lekkiego.

— Nie, matka twoja odstępować męża nie chciała.

— A! to kobieta, panie!... — zawołał ten, co karty tasował, podnosząc dłoń do góry i wstrząsając nią lekko.

W chwili tej wkroczyło do izby dam kilka, wzrostu i tuszy przedstawiających różnicę wielką, wieku mniej więcej jednego. Były to matrony, małżonki prezesów, marszałków i poważnych dobrodziejów. Zoczywszy młodzieńca, panie posunęły ku niemu i po przywitaniu zarzuciły go oskarżeniami, wymierzonymi przeciwko ojcu jego.

— To się nie godzi!... — mówiły. — To nie wiedzieć do czego podobne!... To nie do przebaczenia! To, dalipan, o pomstę do nieba woła!

— Bo nie mówię — zabrała głos jedna — igrać życiem własnym, ale, mając żonę i dzieci, jest się za nie odpowiedzialnym... Porucznik ciężką na siebie odpowiedzialność bierze za żonę, za...

— Przecież żona do Odesy jechać nie chciała... — przerwał tasujący karty.

— Każdaby na jej miejscu to samo zrobiła... — odparła dama. — Tem też większa odpowiedzialność na porucznika spada... Pocierplam, gdy myślę, co się stanie, jeżeli cud jaki Motylnicy nie osłoni...

Pan Michał nie słuchał już dalej. Ku drzwiom się kwapił.

— Panie Michale! — uderzyło mu o słuch razem głosów kilka niewieścich.

Młody człowiek kłaniał się z roztargnieniem, mówiąc:

— Żegnam... Dowidzenia...

— Pozostań nam pan przynajmniej!

Pan Michał nie odpowiedział na to nic, znajdował się już bowiem za drzwiami, które otworem za sobą pozostawił i, wypadłszy na podsień, wypadł następnie z podsieni, wyrócił Żydziątko, co mu się pod nogi nawinęło, i krokiem zdwojonym udał się do karczmy, w której konie z bryczką zostawił.

Kierunek pochodu jego, wyprowadzając go za miasto, przeciwny był wręcz temu, jaki do Motylnicy prowadził. To zdziwiło i zastanowiło sąsiadów, obserwujących go przez drzwi otwarte a nie wiedzących o tem, że pod miastem nocował.

— Ph... — odezwał się jeden i głową pokręcił.

— Hm... — odezwał się drugi i głową pokręcił.

— Zdaje się, że nie tędy do Mogilnicy droga... — zauważył brzuchaty szlachcic, zatykający sobie wielkie usta ogromnym bursztynem, zdobiącym prawdziwą antypkę.

— Alboż mu tam teraz Motylnica w głowie!... — odrzekł na to papinkowaty jeden podżyły obywatel, ucierając batystową chustką nos ostrożnie, jakby się lękał, ażeby mu się nie oderwała ta oblicza jego ozdoba, gdyby mocniej nieco targnął. — Przyznaję mu rację... Byłby głupi... Wie on, że starego ani przekona, ani uprosi... woli więc w Lipkowieczczyźnie przecze-kać...

— Stara się tam podobno... — odezwała się z pań jedna.

— Podobno... — odpowiedział tenże papinecik — jak powiadają, o Pakościńską... Pachnie mu tam miljonik, który papa dobrodziej w pogotowiu trzyma, i liczy na zasługę, jaka mu stąd spłynie, gdy papę dobrodziej, pannę i miljonik z pod rąk rezuniów umknie.

— Pan dobrodziej tak bo czarno na świat się zapatrujesz! — zawołała z dwóch marszałkowych jedna.

— Pani dobrodziejko!... — odparł papinecik, kłaniając się. — Zapatruję się na świat czarno, ale zdrowo... To darmo... Ludźmi jesteśmy, nie zaś aniołami... Przysłowie, wyraz filozofji praktycznej, powiada: „*Myły otec, myła maty, diwczyna myliszcza...*“ i, o ileż miłsza, jeżeli ma posagu gotówką miljon!

— Przecieżbyś pan sam, zamiast do miljonowej dziewczyny, do rodziców w niebezpieczeństwie pośpieszył.

— W razie takim, — tłumaczył papinecik flegmatycznie — gdybym i rodziców z niebezpieczeństwa uratował, i na utratę miljonowej panny się nie naraził... Tu zachodzi kazualność taka, że Michał nie tylko pannę, ale i głowę własną postradać może... a to, *c'est grave*, pani dobrodziejko... Michał, o ile go znam, jest to chłopiec rozważny, umiejący stawiać sobie za i przeciw i rozpatrywać się w nich... Zresztą, rozprawiać niema o czem, pani dobrodziejka widziała sama, nie poszedł tędy, ale tędy... przez co dowiódł, że „niema złej drogi do mojej niebogi“.

Jeszcze o Michale czas jakiś trwała rozmowa i zakończyła się tem, że część niewieścia towarzystwa, pomnożywszy się wyszłemi z rąk panien służących prezesównami, marszałkównami, sędziankami i dobrodziejkównami (wyraz ten na sumieniu mi ciąży, nie mogę jednak dobrać innego), udała się do kościoła z książeczkami w rękach, część zaś męska wzięła się do wista i preferansa.

Całe atoli, zdrowe, papinecikowatego obywatela

na świat zapatrywanie się mylnie się okazało w odniesieniu do pana Michała. Krokiem zdwojonym przebiegł przez rynek, krokiem zdwojonym ruszał ulicami, wpadł do karczmy i z proga wołać na głos cały począgł:

— Hnal!... Maksym!... konie!... pakuj!... zaprzęgaj!

Zwykle w razach podobnych los figle płać lubi. Mógł ze służących który lub też i obadwa razem oddalić się, licząc na godzinę dwunastą jako na termin pogotowia podróznego. I mieli oni ten zamiar, ale go nie wykonali. Pan Michał zastał ich dojadających śniadanie, po którego skończeniu chcieli się trochę pogawronić w mieście, poskoczyli więc wnet do koni i bryczki. W duch — w kwadrans niespełna — wszystko było gotowe. Punkt o jedenastej nejtyczanka wyjeżdżała z karczmy.

— Wio!... — przemówił pan Michał do Maksyma. — Poganiaj ostro... Dziś musimy być w Motylnicy...

— Osiem mil opętanych — pomyślał Maksym sobie.

Poprawił się na koźle, zebrał lejce, spojrzął po koniach, rozwinął bat, palnął nim zlekka raz i drugi i zawołał:

— Wio ha-ho!

Konie z miejsca ruszyły klusem ostrym, lecz nie pełnym jeszcze. Widocznie, woźnica doświadczony oszczędzał je na drugą połowę drogi. Przejechali przez rynek. Sąsiedzi nie widzieli pana Michała, udającego się w kierunku Motylnicy — panie w tej chwili znajdowały się w kościele, panowie w karty grali. Przetoczyła się nejtyczanka przez L... niepostrzeżenie, wybiegła na trakt i pomykała coraz to prędzej i prędzej. W miarę posuwania się naprzód konie się wyciągały, trzymając się równo. Znać było, że dobierał tę czwórkę znawca prawdziwy, nie do maści, a do temperamentu. Nie skąpiono im wypoczynków. Co półtorej mili, jeżeli nie częściej, podróźni nasi zatrzymywali się

na minut kilka, dawali się koniom wydychać i ruszali dalej, a na połowie drogi odbyli popas krótki. Maksym nie potrzebował batoga używać; rozwijał go niekiedy na to tylko, żeby klasnąć, najczęściej jednak poprzestawał na wywoływaniu: wio ho!

Pan Michał siedział zadumany. Z zadumy wrywał go od czasu do czasu niepokój jakiś, objawiający się w rzutach niecierpliwych. Wychylał się z bryczki i spoglądał na konie, jakby się przekonać chciał, azali pełnią powinność swoją należycie, spoglądał na zegarek i znów w zadumę zapadał. Na drugiej połowie drogi był już mniej zadumany, niecierpliwiło go to tylko, że dojeżdżając do miasteczka K..., spotykał fury jarmarkowe, które wymijać trzeba było, i jakby dla sprawienia sobie dystrakcji przypatrywał się pilnie chłopom trzeźwym i pijanym, usiłując snać z fizjognomji ich odgadnąć chęć rzezi. Postrzeżenia niektóre wywoływały niekiedy uśmiech na usta młodzieńca... Przez K... przejeżdżać wypadło stępem, ale za to na drugiej miasteczka stronie konie, śpiesząc się instynktownie do żłobu, wynagrodziły spóźnienie mimowolne, ruszyły kłusem prawie niemożliwym i byłyby tchem jednym do Motylnicy dotarły, gdyby ich Maksym nie zatrzymał przy Malowanej, z której właśnie wysypywało się chłopstwo.

Wobec chłopów gromady pan Michał uczuł w sobie zakłopotanie niejaki. Malowana stała w punkcie rozchodzących się dróg w kierunkach różnych; w gromadzie tej przeto znajdowali się włościanie ze wszystkich prawie wsi okolicznych, poddani i prezesa, i marszałka, i sędziego, i dobrodziejów kilku w L... obecnie bawiących. Stali kupą gęstą przed nejtyczanką; pan Michał widział ich przed sobą, widział tych rezuniów groźnych i doznawał wrażenia, którego opis nie da się w paru streścić wyrazach. Było mu nijako. Nie wiedział dobrze, jak się wobec nich zachowywać; zdecydował się wreszcie przemówić do nich.

— *Pomahaj Bih, liude dobri!*

— Daj, Boże, *zdorowla* — odpowiedziano mu pomrukiem chóralnym.

Ci, co bliżej nejtyczanki stali, czapki pozdejmowali.

— Wy z jarmarku?

— Z jarmarku, proszę panicza... — odpowiedział najbliżej stojący.

— Dobrze się jarmarkowało?

— Chwalić Boga... At... Zwyczajnie... Kto miał co do sprzedania, sprzedać musiał, biorąc, co dawali; co kto miał do kupowania, kupić musiał, płacąc, co żądali...

— Tak to ono bywało i bywa... — wtrącił chłop inny.

— A wy to, jak się zdaje, nie wszyscy ze wsi jednej? — zapytał pan Michał ośmielony tonem, jakim chłopci do niego przemawiali.

— Ta że nie... Ja z Bartniczanki — odparł chłop jeden, wymieniając wieś prezesa.

Drugi wymienił wieś inną, trzeci inną, czwarty inną.

— Cóż u was słyhać dobrego?

— Wszystko dobrze, Bogu miłosiernemu dziękujeć, tylko jedno źle — odrzekł zapytany, skrobiąc się w łeb palcami z miną napoły drwiącą.

— Cóż takiego?

— Oto niema komu kołacza i pisanek na Wielkanoc zanieść.

Pan Michał zrozumiał aluzję, zastosowaną do ucieczki dziedzica.

— Ta... ot... lichy wie, jaka to będzie ta Wielkanoc — ciągnął chłop dalej.

— Jaka! — odezwał się jakiś miniasty, w czapce nabakier i z lulką w zębach. — Słyhać, że dziedzic z Motylnicy z domu się nie rusza. Pójdziemy do niego i zaniesiemy mu kraszanki czerwone. Niema naszych, szukajmy cudzego... to na jedno wypadnie.

— Hej ha! — odezwał się głos z tłumu.

Panu Michałowi, luboć nie poczuwał się do zaję-

czości serca, dreszcz jednak poza skórą przeszedł. Pozostając pod wrażeniem rozmowy rannej z obywatelami, nie był w stanie schwycić znaczenia właściwego słów chłopskich, wiedząc zwłaszcza, że chłop ukraiński lubi w mowie używać przenośni retorycznych. Wyrażenie „kraszanka czerwona“ zafrasowała go; — okrzyk „hej ha!“ wydał mu się złowrogi. Nie wdawał się już w rozmowy dalsze.

— Ruszaj! — odezwał się do Maksyma.

Maksym na konie huknął. Nejtyczanka ruszyła i w niespełna godzinę później wjeżdżała do wsi niewielkiej, rozrzuconej w nieładzie nad stawem, na którym grobla dobra i młyn okazały się świadczyć o troskliwości gospodarza. Za groblą wznosiła się karczma duża i porządna. Wdali widać było gorzelnię, zbudowaną nad potokiem z łożoków młyńskich spływającym. Chałupy włościańskie stały w otoczeniu zagrod gospodarskich i sadów sporych, z liści, z powodu pory roku ogołoconych; dyszały jednak dobrobytem, który się w oczy rzucał. — Cerkiew drewniana świeciła trzema wieżami blachą pobitemi i trzema krzyżami blaszanymi, na których łamały się promienie zachodzącego słońca i które służyły za miejsce odpoczynków gromadnych dla kawek i gawronów, spędzających zimę w wieżach cerkiewnych. Opodał od cerkwi, po drugiej stronie wsi, widzieć się dawały dworskie zabudowania, zlewające się w całość wielką z zabudowaniami gospodarskimi, — tak że zdaleka wydawało się, że dwór, stajnie, stodoły i śpichlerze znajdują się w jednej i tej samej zagrodzie. Było to atoli złudzenie optyczne. Toki znajdowały się osobno, zagroda dworska osobno, rozdzielone przestrzenią znaczną, w głębi której poczynał się ogród warzywny, założony na pochyłości idącej ku stawowi. Lewą przestrzeń tej stronie zajmowały sztachety drewniane, z bramą pośrodku, przez którą na obszerne wchodziło się podwórze i miało się przed sobą dwór szlachecki, dwór prawdziwie szlachecki, taki, o jakim podawano już opisy liczne i który zaczyna już przechodzić w stan zabyt-

ków czasów minionych. Zapomniałem dodać, że wzdłuż sztachet ciągnął się szereg smukłych topoli, opierający się końcem jednym o stajnię z wozownią, drugim o oficynę z kuchnią i spiżarnią, stanowiących w stosunku do dworu pawilony nie odpowiadające wprawdzie warunkom symetrii we względzie kształtu i rozmiarów — stajnia dwa razy dłuższa była od oficyn, lecz czyniąca zadość warunkom wygody, o którą, zdaje się, przedewszystkiem tu chodziło.

Dwór wznosił się na podmurowaniu nie wysokim, wymagającym jednak schodów pięciu, prowadzących na ganek obszerny. Ganek opierał się na słupach drewnianych, które podtrzymywały fronton, mający kształt owalny. Ścianka frontowa była z desek, w których wyrżnięte dwa osobliwego kształtu otomy pełniły funkcję okienek. Dwór drewniany, dach słomiany; na dachu dwa kominy murowane stanowiły zbiorowniki wszystkich dymów, wytwarzanych przez piece i sterczały symetrycznie do luftów, służących za przejście dla gołębi. O jeden z kominów bocian gniazdo oparł. Ponad ściany wewnętrzne wysuwał się ostrzeszek, popod którym ciągnęły się szeregi okien, trzech po jednej i trzech po drugiej ganku stronie, nie wielkich bo sześćcioszybowych. Okienko, nad drzwiami wchodowymi umieszczone wprowadzało światło do sieni. Na ganku stały dwie ławki z poręczami. Dwór ten nazewnątrz jaśniał białością i czystością i dyszał spokojem.

Przed dwór ten zmrokiem już zajechała czwórka w lic, wioząca Maksyma, Hnata i pana Michała.

III.

Nikt nie wyszedł na spotkanie p. Michała, nikt na powitanie go nie wybiegł do sieni. Młodemu człowiekowi serce się ścisnęło. Wiedział, że otworzywszy z sieni drzwi na lewo znajdzie się wobec ojca. Wziął się na lewo, ujął za kłamkę, zawahał się jednak, wes-

tchnął i przeszedł na przeciwną stronę. Wszedł do pokoju pierwszego, z tego do następnego. W tym osfatnim uderzyło go o słuch szlochanie, wychodzące z izby przyległej. Otworzył drzwi i zastał tam matkę, siostry i ciotkę, ścieśnione w kółku przy okrągłym stoliku, na którym świeca jedna blask nie szeroki rzucała. Powitanie odbyło się krótko i smutno.

— Poczżeś przyjechał! — zaczęła matka. — Liczyłam na to tylko, że u stryja, ze stryjem bezpieczeństwo znajdziesz, pewny będąc, że ojciec o reszcie rodziny myśli.

— U stryja o niczem nie słyhać!... — odparł Michał. — Gdyby zaś słyhać było, to byłby to powód jeden więcej, dla któregobym do Motylnicy pośpieszył...

— POCO?

Michała zdziwiło i oburzyło zapytanie to.

— Mógłżebym przenieść na sobie tę myśl, że wam niebezpieczeństwo zagraża!

— Dziecko ty moje! — odezwała się matka, wyciągając ręce i garnąc go do siebie. — Wolałabym jednak, żeby ciebie tu nie było.

— Może jednak ojciec przekonać się da.

— Był tu brat Kalasanty, wuj twój, był tu prezes.

— Wiem o tem — przerwał pan Michał. — Z prezesem widziałem się w L... Liczę wszakże trochę na to, że głos mój coś znaczy w razie takim, jak obecny. Myślałem przez drogę całą i do tego przyszedłem przekonania, że, gdy idzie o życie rodziny całej, ojciec musi mnie wysłuchać i... posłuchać...

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

— W kwestjach majątkowych i innych wszelkich może ojciec postępować, jak mu się spodoba; w tej jednak... jestem głową rodziny narówni z ojcem.

Rozjaśniły się kobietom oblicza. Otoczyły pana Michała i jedna drugiej podpowiadając, opowiedziały mu cały przebieg sprawy, zakończonej tem, że tatko—tak w rodzinie Michała ojca tytułowano — w absolutnem zamknął się milczeniu.

— Powiedział: Jedźcie sobie, gdzie się wam spodoba, ja zostaję... I to było ostatnie słowo... — powiedziała panna Aniela, starsza z sióstr pana Michała.

— Tobie coś odpowie przynajmniej... — dodała panna Józefa, młodsza.

— To czysty upór... — wtrąciła ciotka, panna Karolina Zborzeska, siostra rodzona pana Jana Zborzeskiego, porucznika byłych wojsk polskich, ojca pana Michała.

— Upór i nic więcej — odezwała się matka.

— Który — podchwyciła panna Karolina — ustąpić musi przed słowem rozsądnem...

Z tego powiedzenia przypuszczaćby można, że stary pan Zborzeski nie słyszał jeszcze dotychczas słowa rozsądnego. Nie w tym atoli sensie panna Karolina uwagę tę uczyniła. Chciała ona dodać synowcowi otuchy i pewności siebie.

Z pół godziny upłynęło na konferencji tej. Pan Michał nakoniec udał się do ojca.

Wypredźmy go.

Stary Zborzeski przebywał w pokoju, zwanym kancelarją — kancelarją dlatego, że mieścił się w nim pod oknem stół duży do pisania, zaopatrzony w szufladę i założony w porządku wzorowym inwentarzami, rejestrami i raportami gospodarskimi. Pokój ten nazwaćby jeszcze można i biblioteką, zawierał bowiem w sobie szafy książkami zapełnione, książkami, pomiędzy którymi figurowały dzieła starością omszone autorów złotej epoki i utwory epoki stanisławowskiej i nowiutkie wydania warszawskie i wileńskie, co świadczyło, że pana Jana obchodzi literatura ojczysta. Dodać bowiem należy, że były to książki wyłącznie polskie. Dla pana Jana nie istniała literatura inna. Stanowiło to pewien rodzaj słabości jego, z której tłumaczył się przysłowiem: „bliższą jest koszula ciała jak kaftan“. Książki tedy polskie w szafach, stół duży do pisania, krzesła kilka, sofa wymatracowana, nad sofą, na ścianie, kołki po większej części próżne a próżne dla tej przyczyny, że przeznaczeniem ich było słu-

żenie za wieszadła dla oręża, który Moskale konfiskowali, — stanowiły sprzęty i ozdoby kancelarji. Na ścianie figurować miały strzelby, pistolety i pałasze. Zamiast nich na kołkach kilku wisały smycze i harapniki myśliwskie — i nieobecnością absolutną świeciły nahaje, nahajki i dyscypliny, które w czasach owych obywatelowi każdemu służyły do utrzymywania w ruchu maszynierji gospodarskiej. Używano je do „smarowania“ (wyrażenie techniczne). Pan Jan obchodził się bez smarowidła tego i nawet nie uważał za potrzebne zapełniać niem kołków próżnych, na których, dzięki Moskałom, — zawieszać nie mógł siecznej ani palnej broni.

Pan Jan, jeżeli nie przy gospodarstwie, jeżeli nie z rodziną, jeżeli wreszcie nie na polowaniu niekiedy, w kancelarji czas spędzał. Na stole zawsze leżała książka, którą czytał. Skończył jedną, brał drugą. Czytając, notował sobie wrażenia i uwagi, które spisywał na arkuszach w rodzaju sentencyj i składał je osobno. Pisał drobno, arkusz więc jeden na długo mu starczył.

Znając miejsce pobytu i niektóre z nawyków pana Jana, możemy już osobistość jego postawić przed oczyma czytelnika.

Na stole stała świeca z umbrelką zieloną, przed świecą leżała książka rozłożona, a na niej spoczywały okulary. Krzesło przed stołem stało próżne. Pan Jan, przyszedłszy właśnie z podwórza, usiadł był na niem i wziął się do czytania, lecz wstał natychmiast i założwszy wtył ręce, począł się powoli po pokoju przechadzać. Oblicze jego i wyraz oczu pozostawały w stanie spokoju zupełnego. A było to oblicze, należące do rodzaju tych, które malarze chętnie na modele biorą, piękne powagą i uderzające wyrazistością, ozdobione wąsem sumiastym, gęstą siwizną przyprószonym, i czołem otwartem, łagodnością jaśniejącem. Łagodność bijąca z czoła odbijała w oczach szafirowych i przypominała nieco wód powierzchnię w stanie ciszy absolutnej, jaśniejącą pogodą. Lecz jak na wodach, tak na czole tem i w tych oczach zmarszczki burzę za-

powiadały. Fałd najmniejszy na czole odbijał się i w oku i pokazywał w przezroczu hart i wolę nie dającą się naginać nijak i nikomu. Łagodność nie ustępowała zupełnie, pozostawała jak tło, na którym malował się obraz człowieka silnego charakterem. — Dodajmy do tego wzrost mierny, postawę szykowną i zdradzającą starego żołnierza, kompleksję muskularną, rysy twarzy regularne, lat pięćdziesiąt zgórą, — a będziemy mieli dokładny obraz człowieka, do którego wszedł pan Michał w zamiarach przełamania powziętego przezeń postanowienia.

Pan Michał pocałował ojca w rękę.

Pan Jan dotknął się ustami czoła synowskiego i, zatrzymując się, zaczął:

— Ależeś szkapy spędził! Wielkie będzie szczęście, jeżeli ujdzie im to na sucho.

— Śpieszyłem, tатku... — była odpowiedź młodego człowieka. — Tatko domyśla się, z jakiego powodu...

— Hm... — mruknął pan Jan i rozpoczął na nowo przerwana przed chwilą przechadzkę po pokoju.

Pan Michał odrazu do interesu przystąpił. Z oratorskiem nieco zacięciem, nabranem smac w uniwersytecie — należał bowiem do tego rodzaju młodzieży, co uniwersytet kończyła — przedstawił ojcu cały ogrom zagrażającego niebezpieczeństwa, całą potrzebę uniknięcia go, jako też całą odpowiedzialność, spadającą na głowę rodziny za zaniechanie środków ostrożności. Pan Jan przemowy tej wysłuchał w milczeniu, nie zawieszając ani na chwilę chodzenia swego po pokoju. Pan Michał kilkakrotnie kończył i znów zaczynał. Ojciec nie wpadał mu w mowę, nie przerywał, nie korzystał z przestanków; aż gdy ten naprawdę już zamilkł, wyczekał chwilę, azali jeszcze raz nie zacznie, i zapytał:

— Skończyłeś?

— Skończyłem, tатku... Zdaje mi się, żem powiedział wszystko, co tатka przekonać powinno... Jeżeliby zaś się tатko przekonać nie dał, to...

— To co?... — zapytał pan Jan spokojnie.

— Pomyślałbym, że się tatko przekonać nie chce

— Otóż ja chcę przekonać ciebie i zrobię to krótko, mój Michale... Słuchaj (tu głos starego zabrzmiał intonacją jakąś uroczystą)... Wolę ja, żeby mnie chłopci zarznęli, jak żeby mi Moskale ratunek dawać mieli.

— A!... — krzyknął pan Michał, jakby porażony wyrazami temi.

— W pierwszym razie — ciągnął stary, chodząc po pokoju — padam ofiarą sam i, jeśli ofiara ta zginąć ma bezowocnie, to zginie i koniec... W drugim razie zaciągam dług wdzięczności względem wrogów ojczyzny mojej, dług, który spłacić muszę dla tego już samego, że w ich ręku jestem.

Rzekłszy to, chodził dalej w milczeniu, a nie słysząc, ażeby syn głos zabierał, zapytał:

— Czy wytłumaczyłem się jasno?

— Jasno, tatku.

— Rozumiesz?

— Rozumiem.

— I uznajesz?

— Nie śmiałbym się synem tatkowym mianować, gdybym uznać nie miał! — zawołał młody człowiek ze łzami w głosie.

— Otóż widzisz... Nie przywiązuję ja do pogłosek tych wiary ślepej... Kto jednak wiel! Od roku 1847, to jest od czasu zaprowadzenia na wstyd nasz prawideł inwentarnych, tyle o rzezi gadają, że mogą ją wygadać nakoniec... Sam rząd zresztą życzy sobie może czegoś podobnego: rządy bowiem lubią zabawiać się w zbawców od czasu do czasu i skarbić sobie wdzięczność przy okazjach, które same sprowadzają. Przypuszczam więc rzeź... W takim atoli razie nie chcę jako Polak, ażeby wdzięczność moja, chociażby w odrobinie jak najmniejszej, zaważyła na szali moskiewskiej...

— Tatku! — westchnął pan Michał.

— Czy masz objekcję jaką?

— Żadnej. Żal mi tylko, że nas nie więcej.

Pan Jan westchnął; pan Michał z uniesieniem powściąganem ucałował rękę ojca, który mu lekko dłoń uściśnął.

Kobiety z niecierpliwością, do zrozumienia łatwą, wyglądały powrotu młodego człowieka, którego samo pojawienie się na progu wywołało z ust panny Józefy okrzyk:

— *Victoria!* Michaś tatkę przekonał!

Powód do okrzyku tego dała rozpromieniona radością triumfu twarz pana Michała.

— Jedziemy... jutro oczywiście... i oczywiście do L...

— Nie jedziemy — odparł pan Michał.

— A!... a to?...

— Bo nie Michaś tatkę, ale tatko Michasia przekonał... Tatko ma rację! Nie możemy, nie godzi się nam szukać zbawienia pod skrzydłem moskiewskim. Raczej nóż chłopski, jak opieka wroga Polski!

Zapał, z jakim ostatni wymówił wyraz, przeszedł do serc kobiecych, zapalniejszych, jak wiadomo, aniżeli męskie. Paniąkom zwłaszcza noże się prawie podobają; Michał jednak nie chciał myśli ofiarnej pozostawiać bez zneutralizowania jej nieco nadzieją lepszego rzeczy obrotu. Dodał więc:

— A przytem rzeź owa, kto wie, czy nie jest wynalazkiem rozbującej fantazji obywatelstwa naszego.

I jak zaczął dowodzić i przekonywać, przekonywać a dowodzić, tak się skończyło na tem, że się przekonał naprzód sam a następnie przekonał matkę, siostry i ciotkę, że rzezi nie będzie. Zdobyte przekonania tego wprawiło go w humor dobry. Prawił facecje i opowiadał anegdoty, zapomocą których pobudził do śmiechu naprzód łatwą do rozśmieszenia Józję, dalej sensatkę Anielę, następnie zgryźliwą nieco ciotkę Karolcię, a wkońcu i najbardziej smutnym poddającą się przeczuciom panią Janową.

— Cha, cha, cha! — chi, chi, chi! — brzmiało i brzmiało na niewieściej stronie i nie ustało, aż Jędrzej oznajmił, że kolacja na stole.

Śmiechy ustały, dobry atoli humor przeniósł się do sali jadalnej, towarzysząc wieczerzy, zdolnej wprawdzie w humor jak najgorszy. Przypominamy, że był to Wielki Piątek, na stole przeto figurowały potrawy ultra postne. W domu państwa Zborzeskich panował zwyczaj podawania w posty największe potraw dwójakiego rodzaju, postnych i mięsnych, i tak się zwykle robiło, że płeć niewieścia spożywała kluseczki z grzybkami, płeć męska zrazy z kaszą hreczaną. Zwyczaju tego nie tłumaczę; fakt nagi konstatuje. Płeć męska dlatego zapewne, że silniejsza, posilała się rzeczami esencjonalnymi i względem niej dwa tylko dni w roku czyniły wyjątek od prawidła ogólnego, a dwoma temi dniami były: Wielki Piątek i Wielka Sobota. — W dniu te pościli wszyscy. Skrzywił się pan Michał, ujrzawszy przed sobą na talerzu krupniczek jakiś blado-żółtawy i westchnął, przypomniawszy sobie, że od rana w ustach nic nie miał. Stał mu nagle w myśli Kisielka, a w wyobraźni befsztyk ogromny z kartoflami, który mógł być, mimo piątku, spożyć, gdyby go byli sąsiedzi nie nastraszyli. Skrzywienie się jego i westchnienie nie uszły uwagi sióstr, z których jedna o przyczynę zapytała.

— Ja sam przyczyny nie znam, — odparł Michał — jak nie wiem, skąd wzięło się u nas przysłowie: Skrzywił się jak środa na czwartek?

— Stąd zapewne, — rzekł pan Jan żartu tonem — że ci, co środy suszą, sami się krzywią i na dzień ten winę składają.

Panienki spojrzały na ciocię Karolcię z filuternemi uśmiechami w oczach. Ciocia Karolcia od czasów niepamiętnych suszyła wtorki i środy, odmawiając wszystkie, jakie gdzie jeno istniały, litanje, koronki i paciorki do Przemienienia Pańskiego na intencję przemienienia jakiegoś, tyającego się osoby jej własnej.

— Czyż ja się krzywię! — odcięła bratu.

— A czyż ja co mówię do ciebie! — odparł pan

Jan. — Michał zażądał objaśnienia i dałem mu je w ogólności.

Śród takich i tym podobnych żartów przeminęła wieczerza, przy której końcu panie przypomniały sobie o Wielkiejnocy i o zaniedbanych przygotowaniach do uczczenia tego dnia świątecznego. Myśl ta zajęła je całkowicie. Pan Jan, który zazwyczaj zżymał się na wydatki olbrzymie jaj, cukru i bakaliij różnych, obecnie dał do zrozumienia, że godziłoby się zwyczajowi zadośćuczynić. Przedstawił mu się zapewne zwyczaj ten pod postacią dystrakcji dla kobiet, które objaw opinii jego wzięły w znaczeniu wyrazu życzenia głowy rodu i nazajutrz z gorliwością bezprzykładną wzięły się do pieczenia ciast, kiełbas, prosiąt, jagniąt, do przyrządzania lukrów, nadziewań i podlew, do ubierania stołu i przyprawiania napojów, neutralizujących zgubne działanie na organizm ludzki święconego, pochłoniętego w ilości niepomiarkowanej.

Na zajęciach tych upłynęła Wielka Sobota. Nastąpiła niedziela. Zajaśniał poranek wielkanocny, poranek, który jakby umyślnie na uczczenie godne legendy o zmartwychpowstaniu Zbawiciela rodzaju ludzkiego, w rocznicę 1853 zajaśniał całą wiośnianą wspaniałością. Słońce wytoczyło się na niebo bez chmurki. W powietrzu panowała cisza uroczysta, w której uroczystej, jak zwykle, brzmiał jęk dzwonów, zwiastujących nabożeństwo po świątyniach chrześcijańskich. Chłopi pogarnęli się do cerkwi. Rodzina państwa Zbozreskich pojechała do K... do kościoła.

W kościele z dziedziców okolicznych nie było nikogo z wyjątkiem motylnickich. Zjechali się oficjaliści sami; zeszli się mieszczanie i szlachcice chodaczkowi, przemianowani na jednodworców, a nie przerobieni jeszcze na prawosławnych.

— Jakoś to nie pięknie wygląda — odezwał się pan Michał do ojca, wracając z nim do Motylnicy.

— Co? — zapytał pan Jan.

— Na wypadek rzezi obywatelstwo ocalałoby, a oficjaliści? Zapomniano o nich, jak się zdaje.

— Zapomniano o czemś więcej... Zapomniano o tem, co to jest cześć — odrzekł stary z przyciskiem.

— Na jutro rzeź owa?

— A tak to niby. Od lat sześciu podają termin jej na dzień drugi Wielkiejnocy.

Po chwili pan Michał się znów odezwał:

— Mamy przecie w schowaniu strzelb kilka i pistoletów coś trochę.

— No?

— Możeby nie zaszkodziło na wypadek wszelki wydobyć to, opatrzyć, przygotować i mieć na podorędziu!

— I! — machnął pan Jan ręką. — Miałoby się satysfakcję zabicia ludzi paru... Licha to satysfakcja taka.

Pan Michał nie odzywał się już więcej z niczem, a powróciwszy do domu, całej dokładał usilności, aby jego matkę, siostry i ciotkę utrzymać w stanie roztrągnięcia umysłowego ciągłego. To mu się wiodło, ojciec bowiem usiłowaniami jego z pomocą przychodził. Stary pan Jan przebywał koleje różne. Służył zamłodu wojskowo w armji polskiej pod dowództwem księcia Józefa, odbywał kampanje napoleońskie i miał nie jedno do opowiadania. A był skąpy, co się opowiadań o przeszłości własnej tyczy, i to nie dla czego innego, jeno dla tego, że przeszłość ta chlubę mu przynosiła. Opowiadał zaś dobrze. Posiadał talent narratorski znakomity. Pomoc więc, jaką panu Michałowi niósł, zależała na tem, że, jak rozpoczął opowiadanie o przygodach własnych przy obiedzie, tak nie skończył go aż późno wieczorem, udając się na spoczynek. Wskutek tego pani Janowej przez noc całą śniło się Borodino, które jej bynajmniej spać nie przeszkodziło, pannom zaś, z ciotką Karolcią włącznie, prezentowali się we śnie ułani polscy w mundurach z amarantowemi rabatami. One widziały ich najwyraźniej w świetle; oni zaś rozmawiali z niemi — o czem jednak, do tego żadna przyznać się nie chciała. Ciocia rozłożyła pa-

sjansa na intencję ułana swego, we śnie widzianego, gdy wpadły jej w słuch wyrazy:

— Gromada idzie!

Wyrazy te wpadły pierwiej w słuch pani Janowej i pannom i sprawiły wrażenie piorunujące. Pani wszakże oprzytomniała wnet i najpierwsza. W kobietach, w matkach zwłaszcza, wobec niebezpieczeństwa dzieciom zagrażającego, rozwija się odwaga nadzwyczajna. Pani Janowa w jednym oka mgnieniu przeszła całą skalę uczuć, stopniujących trwogę śmiertelną aż do potęgi najwyższej, pozbawiającej widzenia rzeczy, i powróciła do stanu spokoju zupełnego i krwi zimnej, rybiej niemal. Wyjrzała przez okno. Gromada wlewała się przez wrota na podwórze i zajmowała przestrzeń całą, dzielącą zagrodę dworską od toku. Była to czarniawa chłopska, wynosząca pod względem ilości głów pięć razy przynajmniej tyle, co Motylnica cała z kobietami i dziećmi. Chłopów parę tysięcy waliło się przed dwór. Posuwali się powoli niby lawa gęsta.

— Anielko! Józiu! — zawołała pani Janowa. — Karolcio! wyjdźmy na ich spotkanie na ganek. Ojciec z Michasiem tam już być muszą.

Anielka i Józia wnet obok matki stanęły. Karolcia nie stanęła, ruszyć się bowiem z siedzenia nie mogła, skamieniała z waletem czerwienym w rękę, reprezentującym ułana we śnie widzianego.

Pierwszy na czarniawę tę chłopską rzut oka był w stanie uspokoić umysł najmocniej strwożony. Na czele szedł dziad, ów Hryhor Serdeczny, co to w piątek nad wieczorem kołek Żydom na trakcie ciosał. Hryhora otaczało w półkole kilku gospodarzy poważnych, Za nimi tłum. Szli, niosąc w rękę kołacze i w chustkach uroczyстых pisanki. Państwo Zborzescy z dziećmi zeszli do nich z ganku na podwórze. Dziad się zbliżył, zdjął czapkę i cały tłum to samo uczynił, pokłonił się pas i tłum cały pochylił się, jakby wiatrem naprzód podany.

— *Chrystos woskres...* — odezwał się starzec.

— *Wo istynno woskres...* — odpowiedział pan Jan.

— Oto wam, panie, kołacz z mąki przedniej, a oto jaja pisane... Daję to wam w imieniu gromady motylnickiej, od której w tym dniu radosnym zmartwychwstania Chrystusa Pana przynoszę wam, pani waszej i *diteczkam* pokłon i życzenia życia długiego, zdrowia czerstwego i szczęścia wszelakiego... Obyście nam i dzieciom naszym żyli i panowali po wiek wieków.

— Dziękuję wam, Hryhorze Serdeczny, dziękuję gromadzie — odrzekł pan Jan. — Obyż i wam, wszystkim i każdemu, i żyło się, i wiodło, jak to powiadają, z wody i z rosy...

— Daj, Boże! daj, Boże!... — głosy z tłumu głuchym odzywały się pomrukiem.

— My swoi — prawil pan Jan. — Życzyć sobie wzajemnie powinniśmy dobrze jak w rodzinie.

— A-że-ż to ono tak! — odpowiadały głosy.

— I trzymać się za ręce.

— Toż i od nas, panie wielmożny — odezwał się chłop jakiś, wysuwając się z poza Hryhora i podając kołacz i pisanki — przyjmcie podarek wielkanocny...

— A wyż skąd? — zapytał pan Jan.

— My z Kociubijówki, od pana marszałka... ta nasz pan (tu się w głowę podrapał) nasz pan... w domu ich niema...

— Toż i od nas... — odezwał się inny, wysuwając się z drugiej strony.

Pan Jan dziękował i wszystkim obcym, których się znalazło sporo, w głosie atoli, którym podziękowanie wymawiał, czuć było zakłopotanie. Przyjmowanie hołdu od cudzych poddanych, gotowy jeśli nie proces to przynajmniej powód do pretensyj, nieporozumień i niesnasek sąsiedzkich.

Panu Michałowi, podczas kiedy poddani dobrodziejów różnych kołaczce i życzenia ojcu jego składali, uśmiech ironiczny na ustach igrał.

Wyniesiono stół, białym obrusem okryty i pokrajaną na kawałki paschą założony. Wyniesiono wódkę w butelce i kieliszek. Pan Jan wypił w ręce Hryhora, który, nim wychylił, długą miał do dziedzica orację.

Następnie butelka przeszła w ręce panny Anieli, starszej córki gospodarstwa, i rozpoczęło się traktowanie koleją. Chłopi pili jedni milczkiem, drudzy przemawiając. Aż przysła kolej na szewca Tarasa, który, dzięki rzemiosłu swemu, częste miewał z dworem stosunki.

Szawc Taras wziął kieliszek i, nim go do ust poniosł — długo pierwej z wyrazem rozrzewnienia patrzył pannie Anieli w oczy, że aż ją to mieszać wkońcu poczęło.

— Pijcie, Tarasie — przemówiła.

— Wypiję — odparł. — Chce mi się tylko panience słówko powiedzieć.

— Mówcie i pijcie.

— Oto gadali... — zaczął.

— Co gadali?

— Gadali, że my was będziemy rznęli...

Pod panną Anielą nogi zadrżały, zbladła, lży jej do oczu nabiegły.

— Ta gdzieżbyśmy was rznęli! Ta któż to widział! To wrogi nasi i wasi pogłoski takie puszczają. Jabym was (tu poję od mity podniósł) ot tym czuchajem okrył i dałbym się za was w kawałki posiekać.

To rzekłszy, kieliszek wychylił i ten w dalszą poszedł kolej.

Traktament ciągnął się długo. Wódki wyszło niemało. Po upływie jednak godzin paru podwórze się wypróżniło.

— Otóż i po rzezi! — zawołał pan Michał wesoło. — Zamiast krwi potoków popłynęło wódki wiader kilka. Nikt się nie upił, a więc i bez trupów się obešlo.

Radość zapanowała ogólna, której nie podzielała jedna ciocia tylko. Panna Karolina z osłupienia wyszła i waleta czerwienego z rąk upuściła, wpadła jednak w przestach, pochodzący stąd, że rzezi wprawdzie nie było, aleby być mogła.

— Cóż bowiem — tłumaczyła — przeszkadzało temu tłumowi z nożami się na nas rzucić!

— Jest w tem racja — zauważył pan Jan. — Nie tylko nic nie przeszkadzało, ale wszystko pomagało. Odstreścamy lud od siebie; pomiędzy nim a szlachtą, dziećmi matki jednej, tworzy się rozbrat, potęgający się z dnia na dzień; wkońcu sami prowokujemy chłopstwo, wmawiając w nie intencję rzezi, o której mu się ani śni... Ma więc Karolcia rację... Istotnie straszne jest to właśnie, że rzeźby być mogła.

— Czyżby tego przerobić nie można! — podchwycił pan Michał.

— Przerabiaj, bądź mądry pod moskiewskim dozorem! Tu każdy z osobna wejśćby powinien w sumienie własne i nie porywać się na żadne mądre rzeczy, a tylko wziąć nie na żart przepis fundamentalny moralności wszelkiej: „Nie czyni bliźniemu twemu, czego nie chcesz, żeby tobie czyniono“. Niechby jeno szlachcic każdy rozważył sobie, czyby on chciał leżeć na ziemi i brać batogi, jak ów bliźni jego, który mu pańszczyznę odrabia. Wiem ja, iżby się szlachcic i na odrabianie pańszczyzny nie zgodził... no, ale to rzecz inna.

Notujemy ostatnie te pana Jana wyrazy... Ta „rzecz inna“, odniesiona do odrabiania pańszczyzny, ma znaczenie swoje szczególne, które się pokaże i uwydatni w rozwoju dalszym zdarzeń, składających się na powieść niniejszą.

IV.

Nie można chyba wyobrazić sobie nic poetyczniejszego, jak chatę włościanina zamożnego na mlekiem i miodem, wedle podań, płynącej Ukrainie. Chata bowiem taka i jaśnieje, i pachnie, a tak wygląda, że bierz ją żywcem i na płótno przenoś. I ona sama, i wszystko, co ją otacza, odpowiada jak najwyszukańszym malowniczym wymogom, co dowodzi, że w duszy ludu ukraińskiego tkwi wrodzone poczucie piękna, jemu samemu właściwe, poczucie, które naprzód uwi-

docznia się w samym kształcie, jaki pomieszkaniu swemu nadaje. Nie jest to ani pałacyk holenderski, ani szalet szwajcarski, a raczej strofa niby dumy, przetłumaczona na budowlę. Jak w strofie spadki i rymy, tak w niej części pojedyncze pozostają w stosunku nie rzucającej się w oczy proporcjonalności do całości. Znajdują się tam i harmonja, i symetrja, gwałcone napozór. Dach duży z kominem z chróstu plecionym a gliną oblepionym; ostrzeszek z żerdkami pod nim wysuwający się ponad przyźbę, na którą cień rzuca; strzecha słomiana; ściany zewnętrzne bielone i u spodu podmalowane w zygzaki i cętki szafirowe i żółte; okienka czyste, ani za wielkie, ani za małe w odniesieniu do rozmiarów ściany i po dwa zazwyczaj po jednej i po drugiej drzwi wchodowych stronie; przez okienko rzadko, żeby nie przeglądała ozdóbka jakaś, czy to pod postacią tykiewki, mającej kształt i kolor pomarańczy, czyli też pod postacią leniutka bodaj zasuszonego. Chaty front tylko wystaje na podwórze, korpus cały chowa się w sadzie pod grusze zazwyczaj, rozciągające nad nią konary opiekuńcze. Obok grządek kilka z kwiatami, dalej zaś ciągnie się ogród owocowy, rodzący gruszki, jabłka, wiśnie, czereśnie i śliwek trochę, a na skraju ogrodu pasieka, w ulach systemu starego, miskami czerwonymi ponakrywanych i ku wschodowi słońka oczkami pozwranych. W ogrodzie trawy w kolano i podpieńków huk, a wzdłuż płotów burzany lasem stoją. Na podwórzu zaś czego tam niema do uzupełnienia obrazka? Niema gnojówki — gnój bowiem niepotrzebny na polach ukraińskich — ale zato szopy, chlewy, śpichrze i tok z boku, a na toku stodółka, przodująca stogom i kopicom. Do ożywienia obrazka tego służą: drób pozostający pod hetmaństwem koguta o minie zuchwałej, kaczki klapiące się w umyślnie dla nich utrzymywanej kałuży, nierogaczna poważnie spacerująca, pies kudłaty, dzieci zdrowych kilkoro i nie zawsze obecni, dziad, baba, gospodarstwo lat średnich, parobczak zuchowaty, dziewczyna ciekawa, a przytem wieczorem

przychodzące, rankiem odchodzące woły, krowy, cielęta i owce. Czego tam niemal... Siadaj jeno i maluj.

Wewnątrz widzieć się daje ta sama co i naze-wnątrz malowniczości pełnia, zaczynając od sieni, zajmującej cały chaty środek i nie mającej sufitu nad sobą, lecz dach, a raczej wybiegający nad nią komin, przez który, spojrzawszy, widzisz kawał stropu niebieskiego. Na okopconych poprzecznicach, związujących krokwie, a zwanych „bantami“, wiszą wiecznie kółka kielbas i kawałki ziober. Na środku sieni urządzony jest piec z wmurowanym weń kotłem miedzianym, służącym zarazem za dowód bogactwa i za naczynie wygodę wielką przynoszące we względzie prania bielizny, dla której po kątach tejże sieni stoją balje, niecki i rolnica obok innych różnych sprzętów podręcznych i drabiny na strych przystęp ułatwiającej. W sieniach drzwi czworo: jedne od podwórza, drugie od ogrodu, trzecie zaś i czwarte an prawo i na lewo prowadzą do izb, urządzonych zupełnie jednako-wo. W jednej i drugiej przy drzwiach od strony ogrodu piec, od strony podwórza półki na naczynia. Piec piekarski z okapem, z zapieckiem i ze standarami, to jest sklepieniem pod spodem, służącym za skład drzewa suchego i za miejsce do zakopywania garnków z pieniędzmi. Na zapiecku stawia się dzieża z ciastem na chleb zamiszonom, ażeby schodziło; ludzie na nim sypiają porą zimową. Przypiecek pełni służbę wygrzewnika względem grzbietów rodziny chłopskiej. Znajduje się on obok drzwi od alkierza naprzeciw łóżka, zasłanego radnami i poduszkami a zastłoniętego zawieszoną przed niem na żerdce odzieżą, odgrywającą rolę firanek czy kotar. Izba ta nazywa się „światlicą“. Jest to salon chłopski, umebłowany w ławę jedną wzdłuż ściany odpodwórzowej postawioną i stolik, znajdujący się pod oknem na ogród wychodzącem. Stołek obok stolika należy do rzadkości, zdarza się jednak w ilości nawet sztuk dwóch, albo trzech, częściej atoli umebłowania dopełniają stołeczki niskie o trzech nogach i pieńki przenośne, spoczy-

wające pod ławą i wysuwane wówczas jeno, gdy rodzina zasiada do jadła, zastawionego na dzieży lub bodni, pokrywanej w takim razie stolnicą, używaną do wałkowania ciasta. Powala drewniana, podłoga gliniana. Na powale za belkami od topora ciosanemi pełno ziółek zeschłych a wonnych. Ozdobę ścian stanowią ręczniki wyszywane wzorzyście i obrazy z rąk bohomasów wyszłe, z których jeden, wyobrażający patrona domu, wisi w kącie ustrojony w wieniec z dożyneków ostatnich. Przed nim wisi lampka na łańcuszku. Pod obrazem tym miejsce poczystne. Stoi pod nim skrzynia kilimkiem przykryta i na skrzyni tej zasiadają jeno goście dystyngowani.

W opisie świetlicy pomiąłem wiele drobnych szczegółów, takich nawet zapewne, których wymienienie samo scharakteryzowałoby ją lepiej, aniżeli opowiadanie najdłuższe. Cóż robić! Czynię opis z pamięci, a pamięć bywa zawodna. Zdaje mi się wszelako, że w ogólnych zarysach dałem wyobrażenie dokładne o zagrodzie wieśniaka ukraińskiego. Miałem w pamięci wzór, z którego kopjowałem, a za wzór ten służyła mi chata Hryhora Serdecznego.

Chata Hryhora Serdecznego wyglądała, istka w istkę tak, jak powyżej opisana.

Była to chata zamożna w całym wyrazu tego znaczeniu. Czegoby w niej nie było!... ptasiego mleka chyba, zresztą bowiem wszystkiego w bród. Zasieki pełne, śpichrze pełne, komora pełna, obora pełna; dostatek — że tak powiemy — przez wierzch się przelewał. Dostatek jednak szczęścia jeszcze nie stanowi; i Serdecznemu, a właściwie Serdeczności nieraz westchnąć przychodziło. Napozór zadowolenie okazali; wiodło się im dobrze — wobec ludzi narzekać nie śmieli. A jednakże...

Gdy się pobrali — w roku którymś tam — i w chacie własnej osiedli, świat odrazu rajem im zakwitł i myśleli sobie tylko: co to będzie dopiero, jak ten światek ich dziatwa zaludni! Czekali rok, drugi i trzeci i czekali napróżno. Oksana — było to imię Ser-

decznej — pościła i świeczki w cerkwi przed obrazami paliła. Wymodliła sobie nareszcie, czego pragnęła, a wymodliwszy, tego nabrała przekonania, że Pan Bóg, wynagradzając jej trzyletnie czekanie, obdarzy ją chłopcem. Przekonanie to podzielał z nią Hryhor. Chłopca spodziewał się na pewno.

Urodziła się dziewczyna.

Hryhorostwo podziękowali za nią Panu Bogu, ochrzczili ją, dali jej na imię Nastja i tem się pocieszali, że na drugi raz będzie inaczej. Czekali na ów drugi raz rok jeden, drugi i trzeci, ba, dalej czwarty i dziesiąty, i piętnasty, i osiemnasty — jak się zaparło, tak ani rusz. Dziewczyna i dziewczyna, jedna i jedna, prawda, że hoża, ładna, zdrowa, robocza, ale dziewczyna. Hryhor wolałby na jej miejscu chłopca, któryby już w lat osiemnaście parobkiem był i w gospodarstwie mu pomagał. Nie doczekał się jednak tej pociechy. Nie narzekał atoli głośno, nie chciał bowiem Boga gniewać. Było mu wszakże bardzo przykro i, żeby przekonać Pana Boga, że pretensji do niego niema, wziął sierotę, starszego od Nastji o lat kilka, wychowywał go jak dziecko własne, do pracy przyuczał, za złe karmił, do dobrego wprowadził i wkońcu za syna go przyjął — wydał Nastję za Wasyla.

Państwo młodzi zamieszkali razem z rodzicami — ci po jednej, ci po drugiej chaty stronie.

Znów w chacie rajem zakwitło.

Znów jednak do zadowolenia domieszało się ziarnko gorzycy i to takie samo jak to, co zatruwało życie Hryhorostwa. Wasylostwo długo się dzieci doczekać nie mogli. Pierwsze przybyło w lat trzy, drugie aż w lat siedem po ślubie — jedno chłopiec, drugie dziewczyna.

Radość, jaką narodziny chłopca sprawiły, z ničem porównać się nie da. Opisać też jej bez porównań niesposób. Wątpić należy, ażeby się Hryhorostwo cieszyli byli tak synem, jak się cieszyli wnukiem, który ich zachwycać zaczął od tej chwili, jak po raz w życiu swoim pierwszy gębę otworzył i wrzasnął.

Zadna muzyka serafińska nie wydałaby się im tak cudna, jak to dziecinne „nel nel“, wyrażające, zdaje się, żal za owym światem lepszym, jaki człowiek, jak powiadają, opuszcza, wstępując na padół płaczu i zgrzytania zębami. Dziadostwo żal ten wzięli w znaczeniu powitania radosnego. Hryhor się rozplakał; Hryhorowa się rozplakała. Że chłopak urodził się równo o północy, więc nie mogli budzić sąsiadów i dzielić się z nimi nowiną wesołą. Dzielili się nią ze zwierzętami domowemi, z kotem naprzód, z psem następnie, wkońcu, gdy świtać poczynało, Hryhor przyprowadził cielę, łosze, owcę do kołyski wnuka; osła tylko brakło, a przy narodzinach Iwasia powtórzyła-by się literalnie legenda chrześcijańska. Hryhorowa z dziecka oka nie spuszczała. I snać oko jej było dobre, albowiem chłopak chował się doskonale, zdrowo, pomyślnie, rósł, rozwijał się i, gdy miał lat cztery, przybyła mu towarzyszka w postaci siostrzyczki, która na chrzcie piękne imię Mokryny dostała.

Nazwałem imię „Mokryna“ pięknem. Ciekaw może kto wiedzieć, dlaczego? W imieniu samem niema nic osobliwszego, chyba to tylko, że jest ono niby talizmanem, upiększającym każdą, co je nosi. Mokryna mała na Ukrainie, co jednak która się trafi, to jedna od drugiej piękniejsza. Jest coś do imienia tego przywiązane — urok jakiś, czar jakiś, o którym snać matki nie wiedzą, boć gdyby nie to, to nie byłoby chaty bez Mokryny. W Motylnicy nie było ani jednej z tem imieniem kobiety, z wyjątkiem wnuczki Serdecznego — ta zaś przyniosła imieniowi zaszczyt.

Co bo też to była za cudo, nie dziewczyna;

„Czerez peń kołodka,
W mene buzia sołodka.
Jak się chłopcy dowiedzą,
To mnie buzię objedzą“.

Strofy tej nauczył ją dziadek, gdy lat sześć miała, i ona zaczęła nią ludzi, którzy napatrzeć się nie mogli na jagódkę złotowłosą, szczebiotliwą, niby

skowronek, uroczą, jak różyczka polna, wesołą, jak kocię młode, a roztropną napodziw.

Iwaś miał lat dziesięć, Mokryna sześć, kiedy spotkało ich nieszczęście, największe z nieszczęść dotykających dzieci. Straciły ojca. Wasyla drzewo zabiło. Przy robocie jakiejś ciesielskiej spadła mu belka na grzbiet i przyprawiła go naprzód o chorobę bolesną, następnie o śmierć, z którą pasował się długo człowiek sił i życia pełen. Długo też nadzieja łudziła teścia i teściową: sprowadzali najznakomitszych w okolicy znachorów i baby, te zamawiały, kadziły, odszepetywały, zlizywały, poily ziołami wszelakimi, dawały smarowania. Wasylowa chodziła pokłony bić przed obrazami cudownymi, czuwała nad mężem dzień i noc, pop kładł mu ewangelję na głowie i modlitwy nad nim czytał i wodą święconą go kropił, dziedzie doktora sprowadzał — nie pomogło nic. Śmierć zabrała żonie męża, dzieciom ojca, starym pociechę, gromadzie gospodarza słusznego.

Hryhor po raz w życiu pierwszy wpadł w smutek z rozpaczą graniczący.

Gdy trumnę z ciałem Wasyla z chaty wynieśli i na cmentarz poprowadzili, a baby się około stypy krzątały, stary nie miał sił zwłokom zięcia na miejsce wiecznego spoczywania towarzyszyć. Usiadł na przyźbie, głowę na dłoniach oparł i tak rozmyślać począł:

— Cóż mi po dostatkach moich! co potem, że mi się dobrze wiedzie! Oj! wiedzie się — westchnął. W polu się rodzi, bydło się chowa, a zięcia na mogilnik ponieśli! a córka owdowiała! a wnuczęta osierociały! Ot tobie i dostatek! W dostatku takim chce się pójść i łeb o kamień roztrzaskać... i...

Coś jeszcze chciał stary mówić sam do siebie, gdy uczuł, jak mu się rączka jakaś drobna po karku przesunęła i około szyi obwinęła. Wraz z tem wpadł mu w uszy wyraz:

— Didusiu!

Zrobiło mu się łzawo.

Wzięła wnuczkę na kolana i do piersi ją przycisnęła.

— Sieroto! — mówił do niej.

— Dziadusi! — odpowiadała ona.

W intonacji głosu dziadka i wnuczki zawierał się cały traktat filozoficzny o życiu i śmierci. Stary uczył się pokrzepiony na duchu. Uczuł tylko silniejsze jeszcze, jak przedtem, przywiązanie do wnucząt, uspokoił się i czasem powoli zgodził się z wolą losu.

Po wsiach naszych, w chłopskiej towarzystwa sferze dzieje się tak samo jak i w sferach wyższych. Bogactwo stanowi ponętę wielką. Nastja, pomimo że matka dwojga dzieci, była jednak partją łakomą, usprawiedliwiając przysłowie: „Przy wdowie kąt ciepły i chleb gotowy“. Niejednemu z wdowców i parobków uśmiechała się myśl zostania dzierżawcą wieczystym kobiety hożej, chaty dobrej i gospodarstwa we wszystko zaopatrzonego. To też zaledwie upłynęło niedziel sześć od śmierci Wasyla, do chaty Hryhora zgłaszać się poczęli swatowie z ręcznikami.

Przyszli jedni — dostali odkosza.

Zgłosili się drudzy — spotkało ich to samo.

Trzecim Nastja wręcz i stanowczo oświadczyła:

— Dziękuję wam, ludzie dobrzy, za cześć, ale nie trudźcie się nadaremnie. Już ja męża nie chcę i nie potrzebuję. Dożyję wieku i tak, gospodarstwo prowadzą tato, a, jak oni zdurzać przestaną, dorośnie Iwaś, który mi za to podziękuje, żem mu ojczyrna nie dała. Niechajże ono już tak zostanie...

Wy tłumaczyła się w sposób taki, że się i gniewać na nią nie można było. Zostawili więc ją ludzie w spokoju.

Iwaś i Mokryna rosły pod okiem dziadostwa i matki. Ich dwoje reprezentowało pokolenie ostatnie, starych dwoje należało do pokolenia z placu zapasów życiowych ustępującego, Nastja pomiędzy dwiema temi ostatecznościami wiązanie stanowiła. Liczbę głów ludzkich, mieszczących się pod strzechą chaty Hryhora, pomnażał najmit, który staremu przy bydle i w robociźnie pomagał.

Dzieci rosły i wychowywały się.

W Motylnicy szkoły nie było.

W pierwszej połowie wieku XIX gdyby kto był na Ukrainie o szkole wiejskiej wspomniał, jeśliby go nie wzięto za złoczyńcę z tego gatunku, przeciwko któremu rząd środki ostrożności policyjnej zarządzał, to z pewnością za warjata. O potrzebie instytucyj podobnego rodzaju wyobrażenia tam nie miano, pomimo że wiedziano już o demokracji, — świadomość, którą zaszczerpił Szymon Konarski i pisma emigracyjne — uważano ją atoli za cudzoziemszczyznę. Patrijotyzm nie dozwalał przyjmować jej *in crudo*. Wszelako uznawano ją poniekąd, ale w zasadzie; znajdowano, gdy kto właściwe dawał o niej wyobrażenie, że nie jest ona czem innem, jeno zastosowaniem w praktyce zasad reformy Chrystusowej; brano ją jednak tak samo jak i reformę Chrystusową za rzecz arcypiękną i nie koniecznie wymagającą tego, ażeby ze stanu intencji, w stan czynu przeprowadzona być miała. Przytem nie przypuszczano, nie wyobrażano sobie, nie śniono, ażeby chłop mógł być czem innem, jak jest i to w takim nawet razie, gdyby go — jak się to w Galicji stało — uwolniono i uwłaszczone. Dlatego to szkółka wiejska było to coś potwornego w mniemaniu sfery dobrodziejów; nie zakładano jej nigdzie — nie istniała i w Motylnicy.

Dzieci włościańskie w braku szkoły wychowywały się pod wpływem pięciorakim: dworu, cerkwi, gromady, natury i rodziców własnych.

Dwór, jeżeli w nim — co się nie zdarzało często — moralność panowała, wywierał wpływ dobry; jeżeli przytem dziedzic był człowiekiem postępowym to się to i na włościanach odbijało, objawiając się pod postacią pojęć ogólnych, przesiewanych przez przetak rozumu chłopskiego. Wpływ dworu zależał całkowicie od wartości jego i był bardzo wielki tak przez to, co się robiło, jak i przez to, czego się nie robiło.

Cerkiew sprowadzili Moskale do znaczenia sukursali policyjnej, przez co powagę jej i wpływ znacznie podkopali. Chłop widział w popie urzędnika podległego

go stanowemu przystawowi, lękał się więc go, wystręgał, nie dowierzał mu i nie ufał. Dopelniał obrządków religijnych, był bowiem do nich zmuszany dwojako: siłą przesądów i siłą prawa. Bał się Pana Boga w tym sensie, jakoby Ten był oberdyrektorem policji, gubernatorem nad gubernatorami i w tym też sensie bojaźń Bożą w dzieci swoje wpajał. Nie było w tem winy prawosławia, które jest religją tak dobrą jak każda inna, a była to wina interwencji rządu, usiłującego panować nad sumieniami i stać się przez to władzą, pochodzącą, w znaczeniu jak najściślejsem, od Boga. Jako Bóg przeto wie o myślach, słowach i uczynkach ludzkich, tak rząd moskiewski chciał o temże samem wiedzieć za pośrednictwem popów i wprowadzał w sumienia rozstrój, w którym dominowała bojaźń. Wpływ przeto cerkwi był natury negatywnej.

Gromada miała i ma w pojęciu ludu na Rusi znaczenie wielkie, trochę aż mistyczne, znaczenie jakiejś instancji ostatecznej, mającej rozstrzygnąć wszystkie sprawy i wszelką sprawiedliwość wymierzyć. Jest to istota a raczej instytucja idealna, występująca pod postacią tej gromady, która wieś stanowi, a która jest depozytorką podań, zwyczajów i obyczajów. Dziecko chłopskie zapatruje się i nasłuchuje; zapomocą wyobraźni i pamięci zbiera wzory i je sobie przyswaja, słowem, przebywa proces asymilacji, kończący się tem, że zostaje członkiem gromady wiejskiej roztropniejszym od innych, takim jak inni lub też głupszym stosownie do tego, w jakim stanie organizacja władz jego umysłowych wyszła z rąk natury.

Natura! — o tej możnaby powiedzieć wiele, a możnaby i nic nie mówić. Nazywają ją wielką mistrzynią, księgą dla każdego otwartą. Tak. Jest ona mistrzynią, ale dla tych, co jej słuchać, księgą, ale dla tych, co w niej czytać umieją. Natura, niestety! z wyjątkiem prognostyków, odnoszących się do gospodarstwa i będących przydatnymi w przesądach, jeno lud ciemny utwierdza. Jest to zagadka; do której klucz daje nauka. Bez tej chłopi stoją wobec niej jak stali lu-

dzie pierwotni, w pewnym rodzaju chronicznego rozgorączkowania, wywołującego objawy fantastyczne, nie przyczyniające się bynajmniej ani do oświecania umysłów, ani do moralizowania ludu. Rząd za przesądne praktyki prześladuje, cudów zakazuje, ale oświaty nie daje.

Rodzice dla dzieci są tem, czem ich zrobiły dwór, cerkiew, gromada i natura. Mają oni w sobie i coś swego, każdy bowiem człowiek ma w sobie coś swego, i udzielają się dzieciom bezwiednie. Udzielanie się to stanowi całe wychowanie. Chłop niema nawet czasu postępować inaczej. Ojciec i matka, odchodząc na robotę, pozostawiają dzieci samym sobie; schodząc się zaś z nimi, chwytają je niejako na gorącym uczynku i karzą, jeżeli się im zdaje, że na to zasługują. Ojciec bije, matka bije — „uczy“, powiadają. Na biciu też polega nauka cała, streszczając się w dwóch regułach moralnych, powtarzanych przy okazji każdej: „Nie rusz, co nie twoje“ i „Pracuj“. Reguły te stanowią, rzecz można, deskę zbawienia dla moralności ludu wiejskiego. Jest to chłopskie dziesięcioro, powtarzane dzieciom przez rodziców rano i wieczór. Do dziesięciorga tego życie samo dorzuca ziarnko po ziarnku, aż chłopiec i dziewczyna wyrastają i z wszystkiego, co słyszeli, z wszystkiego, czego doznali, z wszystkiego, co widzieli, tworzy się dla nich przepis ogólny życia, zogniskowujący się w jednym wyrazie: „Szanuj się!“ Kto się tym wyrazem przejął nawskroś, komu on w duszę wrósł, tego wychowanie skończone i skończone dobrze.

Pod takimi to wpływami i w taki to sposób odbywało się wychowanie wnucząt Hryhora.

Natura wyposażyła je hojnie. Jedno i drugie roztropne — gdyby szkółka! gdyby jedno i drugie przez szparę bodaj zajrzeć mogło do świątyni nauki, kto wie, czy jedno lub drugie nie stałoby się chlubą narodu. Iwaś okazywał skłonności jakieś nieokreślone; chwycił się to strugania, to lepienia z gliny, to kreślenia figur dziwacznych węglem na drzwiach stodoły, to

znów stawiania młynków na potoku, niekiedy zaś nudził sobą, jakby mu brakło czegoś; dziewczyna zaś przepadała za kwiatkami, za ptaszkami, za śpiewem, za muzyką, za wszystkim, słowem, co piękne. Cóż z tego? Szewczenko wypadkiem wyszedł na malarza i poetę. I z Iwasia wyrósłby może artysta, matematyk, uczony jaki, z Mokryny śpiewaczka lub też Safo słowiańska. Nie zdarzył się im jednak wypadek żaden, któryby ich wziął za ręce i poprowadził i rośli pod strzechą dziadowską, rośli, aż w chwili, w której się powieść nasza rozpoczyna, wyrosli, on na parobczaka, któregooby chłasińciem w ręce matka każda na syna przyjęła, ona na cudo dziewczynę.

Iwaś miał lat dwadzieścia, Mokryna szesnaście.

Za Iwasiem dziewczęta wszystkie ślademby chodziły, gdyby na to przyzwoitość pozwalała; z powodu Mokryny parobcy żenić się przestali, czekając, aż dojrzeje zupełnie, co wedle obrachowań wszelkich nie powinno było zabrać czasu więcej jak lat dwa.

Jak wyglądał Iwaś, jak wyglądała Mokryna, o tem dużoby było do pisania; opis jednak najszczegółowszy nie dałby jeszcze dokładnego o nich wyobrażenia. Coś bo w nich było, co z pod wszelkiego umyka opisu; w oczach, w wyrazach twarzy głębia jakaś, w tym męska, dysząca odwagą, zuchwałością niemal i wzbudzająca ufność; w tej niewieście, pełna rzewności niewysłowionej i roić każąca o rozkoszach nieprześnio-nych.

Co się Iwasia tyczy, któremu o północy na pierwszą Przekrystą kończyło się lat dwadzieścia, o tem i ludzie przebąkiwali i staremu Hryhorowi po myśli się kręciło:

— Poraby ożenić... Chłopiec im się ustatkuje prędzej, tem lepiej...

Toż bo to, że pod względem stateczności chłopcu temu nic do zarzucenia nie było.

Parobkom w latach jego swawola w głowie. Uczuwszy, jak to powiadają, Bożą wolę w sobie, nie

myślą o czem innem jeno o tem, żeby młodyce zaczepiać i z dziewczętami się gzić. Śmiechy, chichi, zalecanki, schadzki po zapłotkach, figle po burzanach, zasadzki na przelazach, zmowy przy krynicy, perewerty na wieczornicach: trzeba im co prędzej żony na łeb rzucać, ażeby, broń, Boże! wsi nie wywrócili nogami do góry. Iwaś nie zadawał kłopotu najmniejszego. Na dziewczęta zdaleka spoglądał, a jeżeli do ludzi się garnął, wieczornic nie unikał i od karczmy nie stronił, to dlatego, że spodziewał się coś usłyszeć. Na to był on łakomy. Na opowiadania wszelkie słuch wyteżał i duszą je, zdaje się, chłonał. I dopytywał się:

— A jakżeto?... A dlaczego?... I cóż dalej?

Była to w nim słabość, którą dziadek znał i która razu pewnego zniewoliła starego następujące do wnuka powiedzieć wyrazy:

— Ej! gdyby to lirnicy, toby ci oni narozpowiadali, że miałbyś tego po uszy...

— Lirnicy? dziadusi!... Gdzież się oni podzieli?

— Moskał ich wygubił..

— A toż czemu?

— Bo gadali narodowi, o czemby Moskał chciał, ażeby naród nie wiedział..

Iwaś dalejże rozpytywać się, o czem mianowicie? i póty dziadkowi spokoju nie dawał, aż ten powiedział mu:

— O swobodzie...

Iwasia wyraz „swoboda“ zastanowił i dziwnie głębokie na niego wywarł wrażenie. Zachciało mu się na-przód swobodę poznać ze strony teoretycznej, jeżeli się tak wolno wyrazić, mówiąc o poznaniu chłop-skim.

— Co to swoboda?

Dziadek mu na to:

— Patrz na ptaka w powietrzu... Ot i swoboda... Leci, gdzie mu się spodoba...

— Ależ tak z ludźmi być nie może.

— Tak bywało.

— Kiedyż to? — zapytał chłopiec skwapliwie.

— Za dziadów ta ojców naszych, za Polszczy... Człek bywało szedł, gdzie chciał, i osiadał, gdzie mu się spodobało. Ja sam zapamiętam jeszcze swobody... Odbywało się powinność; ta, co to za powinność!... sześć a najwięcej dwanaście dni na rok, a zresztą wola twoja... Przyszedł Moskał a z nim i do gruntu przypisali, i pańszczyzna nastąpiła... Przypisywali to i wówczas, ale chciało się tobie przypisu trzymać, trzymałeś, nie... szedłeś na Zaporozie lub też do świętego Jura, zapisywałeś się w *legestr* i nie miał do ciebie prawa nikt, tylko Bóg sam.

— Taj była swoboda — rzekł Iwaś w zamyśleniu.

— Dziwo! — podchwycił starzec. Nie było jak tylko naród i Lachy i dlatego szło jakoś narodowi z Lachami... raz się bili, znów się godzili i przecie łądzili...

— Nu, a tenże *legestr*?

— Stał otwarty, ta go gdzieś sprzątnęli. Gdzieś on jest, ale schowany.

— Ktoś o nim wiedzieć musi.

— Wiedzą... Lachy i Moskał. Gdyby nie Moskał, toby go Lachy sami wystawili z obawy przed narodem.

— Licho przyniosło Moskala przekłętego.

Na rozmowy podobne Iwaś był łakomy i łakomstwo swoje zaspokajał w sposób dorywczy, który przynosił mu do głowy wiadomości różne w urывkach i w przekręceniu, do serca pragnienie swobody, nie ujęte w żadną formułę wyraźną. Pragnął być czemś, nakształt ptaka. We względzie tym, w duszy jego, niby w zwierciadła przezrocza odbijała się dusza Ukrainy całej, wzdychającej do swobody a nie mającej o niej świadomości dokładnej. Póki lirnicy istnieli, to ci zapomocą *dum* i *kazek* utrzymywali w stanie żywym tradycję kozaczyzny. Gdy ich nie stało, tradycja zamierać poczynała, przechowując się jedynie w postaci wspomnień o wspomnieniach w ustach starych ludzi. Zamierała jednak, nie czerpiąc zasiłku w stosunkach nowych. Zaporozie, Sicz straciły rację bytu i od-

bijały się jeno w szczątkach, w łachmanach, na których czas napisy zacierał. Można je było wskrzesić jeszcze, lecz tylko jako hasła, mile brzmiące w uszach ludu, który nie rozumiał hasel ducha czasu, do którego wszakże pragnieniem się garnał.

V.

Wielkanoc r. 1853 nie przeminęła bez wywarcia wrażenia silnego na umysł taki jak Iwasia. Chodził z gromadą na podwórza dworskie i po powrocie stamtąd znajdował się w gronie gości, gospodarzy wiekiem najstarszych i najpoważniejszych ze wsi okolicznych, którzy do starego Hryhora na momencik zaszli. Zaszli na momencik, a przesiedzieli do wieczora. Zawiązała się rozmowa, od której oderwać się nie było można, a przytem stara Oksana i Nastja nie byłyby puściły gości drogich bez ofiarowania im tego, „czem chata bogata“. Zastawiły dla nich naprzód święcone, którem popołudeńkowali.

Wieśniak ukraiński posila się cztery razy na dzień: rano między ósmą a dziewiątą je obiad, w południe połudeńkuje, nad wieczorem podwieczorkuje, wieczorem zaś zasiada do wieczerzy. Na obiad i na wieczerzę ma strawę ciepłą, połudenek i podwieczorek zbywa zazwyczaj chleba kromką z solą i czosnkiem, z ogórkiem kwaszonym, z sera krajanką.

Goście przeto zjedli połudenek — po obiedzie bowiem z domu wyszli — i rozmawiając, czekali na podwieczorek. Na połudenek mieli z racji święta uroczystego prosięcinę, kiełbasy, paschę, jaja na twardo, do tego chrzan tarty barszczem dzieżnym zaprawiony (ocet chłopu nie znany). Mogliby się obejść bez podwieczorku, posiliwszy się tak, iżby na trzy dni starczyło i naprawdę nie myśleli o nim. Fłaszka na stole stała, w niej nalewka rumiana, od której rumieniły się im policzki; siedzieli na ławach, przepijali jeden do drugiego i rozpowiadali, wzdychając ciężko z przy-

czyny kielbasy i nie dbając o podwieczorek, który tymczasem kobiety przyrządzały, a przyrządzały go tak, żeby gościom niespodziankę sprawić i pod nazwą podwieczorku dać im prawdziwą wieczerzę. Oni siedzieli w świetlicy jednej, a one się krzątały w świetlicy drugiej. W piecu palił się ogień wielki, przy nim w garnkach i garnuszkach, w rynkach i ryneczkach gotowało się, smażyło i prażyło.

Starcy się kieliszkiem i rozmową zabawiali. Rozmowa, rozumie się, nie mogła pominąć wypadków, które umysły zajmowały. Wytoczyła się naprzód na stół ucieczka obywatelstwa. Badano jej powód.

— Ono to — powiedział jeden — nie może być bez przyczyny. Coś w tem jest. Gdzieś pokazali się chyba hajdamacy, kolije...

— Pomiędzy narodem nie słyhać o nich... — rzekł drugi.

— Pomiędzy narodem!... dziwo!... Naród pracą zajęty, niema czasu uszów nastawiać. Laszki co innego. Bo, hej! jakżeby, ot tak, bez przyczyny żadnej jajka święconego odbiegli!

— Ta ot, widzisz, nie wszyscy. Odbiegli jedni, zostali drudzy... Patrz na dziedzica tutejszego...

— Gadają bo, — odezwał się któryś — że to nie hajdamaki, nie kolije żadni będą Lachów rznęli, a naród... taki sam naród...

— My?! — zawołało paru ze zdumieniem, pokazując sobie palcami na piersi.

— Nu, tak... naród... Newietki mojej dziewczyna we dworze służy i słyszała, jak panowie o tem rozmawiali, a kiedy odjeżdżali, to jej panna wyraźnie powiedziała: „Uciekamy do L..., bo na dzień drugi Wielkiejnocy będą panów chłopci rznęli“. Chłopi, toć to przecie nie hajdamaki ani kolije, a naród... My naród dla szlachejca chłopci.

— Ono to tak — odparł jeden. Tem ci jednak dziwniejsza, że uciekli wszyscy, a pozostał, naprzykład, dziedzic tutejszy. Czemuż on pozostał?

— Powiem ci, — odparł Hryhor — czemu inni

uciekli; kiedy uciekali przed narodem, to się dowiesz, czemu ten pozostał. Rzecz wiadoma: „na złodzieju czapka gore“... o... rozumiesz?

— A temuż... jak jemu?... Jak to tam dziedzica waszego nazywają?

— Pan Zborzeski.

— Inaczej nijak?

— Wołają na niego: panie Janie!

— Janie, to imię od chrztu, znaczy Iwanie. — Ale ja nie o to pytam... Z dziedziców każdy jak się nazywa, to się nazywa, a wołają go, jak naprzykład naszego: panie marszałku! — wedle honoru.

— Nasz snąć — odrzekł Hryhor — niema honoru żadnego i dlatego też to, jak widać, człowiek z niego niczego, nie boi się narodu ta i nie ucieka.

— Toć oni wszyscy bać się nie mają czego — odezwał się chłop, co dotychczas milcząc się zachował i który, zrywając się nagle, splunął i krzyknął: Tfu! *cur* na niego!

— Co tobie, Semenie? — zapytało paru naraz.

— Pomyślałem sobie — odrzekł zapytany, gestykulując. — Pomyślałem sobie — jakby to ja — na ten przykład, mógł rznać człowieka... człowieka? hej!...

Wszyscy na to ramionami ścisnęli. Iwaś czoło zmarszczył.

— Toć to nie godzi się nareszcie — ciągnął ten sam — ludzi tak paskudzić! — Toć my nie hajdamacy!

Starsi głowami kiwali.

— Kiedy człowiekowi, co cudzego nie ruszał nigdy, powiesz złodzieju, to on ci tak między oczy i trzaśnie. — A tu Lachy mówią narodowi gorzej jak złodzieju.

— I cóż na to poradzisz! Widać to im tak ich rozum nakazuje...

— Niech będzie i tak... Ot... w ręce wasze — odezwał się stary Hryhor, widząc, że rozmowa zgryźliwy jakiś przybiera obrót.

Czarka wkoło poszła. Starzec starcowi życzenia

wypowiadał i, smakując powoli, cedził przez usta płyn rumiany. Kiedy kolej na tego, co go Semenem zwali, przyszła, do życzeń dla gospodarza dodał także:

— Daj, Boże, żeby Lachy rozum mielili...

Uściskałby był go za życzenie to Wincenty Pol, który powiedział: „I tej szlachcie znarowionej oby Bóg dał rozum kmiocy“.

Spółbiesiadnicy nie uściskali Semena, lecz mu chórem zawtórowali:

— Oj, to to!...

— Żeby się za Moskala nie chowali... — dorzucił jeszcze tenże Semen.

— Oj, *bihme*, prawda!...

— Kiedy tak, — odezwał się Hryhor — to chyba wypijmy czarkę jedną za zdrowie tutejszego dziedzica, który i rozum niby ma, i za Moskala się nie chowa...

— Za zdrowie jego! — mruknęli starcy.

I poszła mowa o panu Janie Zborzeskim, któremu przyznawano zalety i doskonałości względne. W przyznawaniu tem bezwzględności sprzeciwiało się jedno to tylko, że był dziedzicem. Dziedzictwo w mniemaniu starców ciążyło na nim w rodzaju grzechu pierworodnego, nie zmytego chrztem żadnym. Dlatego był on jeno lepszy od innych.

Iwaś słuchał i w głowie sobie wszystko karbował, nie odważając się przez uszanowanie dla wieku odzywać się przy starcach. Siedział sobie przy progu i milczał. Czasami jeno wstawał, a to wówczas, kiedy się flaszka wypróżniła i kiedy dziadek skinął na niego, żeby napęłnić poszedł. Gościom wydało się, że on to dla dziadka robi. Skorzystał więc jeden z chwilowej w świetlicy nieobecności jego i odezwał się do Hryhora:

— Ta czegoż to parobka twego trzymasz niby na uwięzi?... Niechby poszedł na *hojdatki*...

— Ja jego nie trzymam. Mógłby pójść, dokąd chce. Ale to już natura taka. Słucha i na wąż sobie mota — odpowiedział stary.

— A harny chłopiec! — wtrącił jeden.

Gdy wrócił Iwaś z flaszką pełną i ją na stole posta-

wił, goście uważali sobie za obowiązek namówić go na hojdałki.

— Idź, mołojcze, idź — prawili. — Dziewczęta będą się do ciebie plecami obracały, jeżeli się ty pomiędzy nimi nie pokażesz... Idź, co tu wysiedzisz pomiędzy dziadami?... Dziadowska rzecz inna, a parobecka inna.

— No, idźże — namawiał Hryhor.

— Chyba wy mi nakazujecie... — rzekł Iwaś do dziadka.

— Boże, uchroni! — odparł stary. — Ja tobie nie nakazuję. Wola twoja. Tylko, oto, ludziom dziwno, że ty młody trzymasz się pomiędzy dziadami.

Iwaś dlatego jeno, żeby namowom tamę postawić, wyszedł ze świetlicy na podwórze, udał się na tok i tam w zamyśleniu stanął. Każdego innego na jego miejscu pociągnęłoby na wygon, zmieniony w tej chwili w plac igrzysk. Skrzypka, basetla i rzeszoto odzywały się głosem ponęty pełnym, szczebiotały, huczały, przemawiały, za serce, zdaje się, chwytaly. Śpiewy i okrzyki, parobcze *tropaki* i dziewiczy rechot, skrzypienie hojdałki i brzęk dzwonek rozlegały się w powietrzu uroczu. On, zdaje się, zwrócił był zrazu na to uwagę, lecz wnet w zadumę zapadł. Po chwili powrócił do chaty, zaszedł jednak do świetlicy na stronę przeciwną, gdzie babka i matka koło rzekomego krzątały się podwieczorku.

— Ty z hojdałek? — zapytała z nich jedna.

Iwaś głową kiwnął, odpowiadając ni tak, ni nie. Obejrzał się po izbie. Mokryny nie było.

— Gdzie ona? — zapytał.

— A gdzieżby być miała! — odparła matka. — Nie widziałeś jej chyba? Nie widać jak powróci, bom jej nakazała, żeby się długo nie bawiła...

Wyszedł po to, ażeby pójść naprzeciwno.

— Ot, parobek nasz zpowrotem już — odezwał się dziad jeden.

— Cóż tam na hojdałkach słyszeć?... — zagadnął drugi.

— Ta co — odparł Iwaś, dając odpowiedź wymijającą. — Przychodziła tam pani, ta panny, ta panicz...

Dziadowie spojrzeli po sobie wzrokiem obojętnym, a jeden ze wsi obcej rzekł:

— Robili to i nasi. Ot, zwyczajnie, chodzą patrzeć się na naród, jak się patrzy na niedźwiedzia, którego Cygan oprowadza.

— Ono to tak — odrzekł inny. — Oho! nie pozostłiby patrzeć na niedźwiedzia, gdyby go Cygan na łańcuchu nie trzymał.

— Ot, jak to Semen zaraz i zwrócił! — odezwał się Hryhor. — A do kogo ty pijesz?

— Ta do kogóż, jeżeli nie do Moskala! — odparł zapytany. — Rzecz wiadoma, Cygan to Moska!... trzyma naród na łańcuchu, niby tego niedźwiedzia, taj *hodi*. — Hej, żebyć ten łańcuch zerwać i swobody się dokopać!

Aż tu drzwi rypnęły i wpadła Mokryna.

Wpadła zadyszana. Policzki jej rumieniec żywy okrywał, oczy uciechę wyrażały. Wyobrazić sobie nie sposób nic piękniejszego, jak postać tego dziewczęcia, ustrojonego w barwinek z pozłótką, w bindy, korale, koszulę z potykami i w zapasę, nie maskującą kształtów bogatych, jakimi ją natura obdarzyła, dziewczęcia upojonego radością, która z oczu tryskała i na karminowych ustach wisiła. Wpadła, dyszała, ramiona się jej wznosiły, nozdrza rozdymały, na piersiach korale szelest wydawały, jakby się o kamienie potraçały.

— Cóż? cóż? — zapytały razem i babka, i matka.

— Ach, babusiu!... ach, mamu!... — odpowiadało dziewczę, oddychając głęboko i wzdychając. — Pani... panny... panicz.

— No... cóż przecie?

— Pani... panny... panicz.

Ta gadajże raz!...

— Przyszli tam... na wygon... stali... stali... przyglądali się... i muzykę zapłacili... i tańczyć prosili... i z dziewczętami tak pięknie rozmawiali.

— Rozmawiali z tobą?

— A jakże! Pani mnie gładziła po twarzy i pod brodę i za rękę mnie trzymała, a tak słodko w oczy patrzała.

— I mówiła do ciebie?

— A jakże!... tak pięknie!

— Cóż mówiła?

— Mówiła... mó-wi-ła — bąkało dziewczę. — mó-wi-ła... ot... ja i zapomniała.

— Otóż z ciebie dziewczyna pamiętna! — rzekła babka dobrotliwie. — Zapomnieć, co pani mówiła!

Mokryna nie zapomniała, bo wcale nie wiedziała. Gdy pani Janowa, która z córkami, synem i cicią Karolcią na wygon wyszła, zbliżyła się do niej i przemówiła, to w uszach jej powstało takie bębnienie, iż nie dosłyszała wyrazu ani jednego. Poszło to zapewne stąd, iż panny obces wpadły na nią z wykrzyknikami:

— Piękna!... cóż za piękna!... Co to za oczy! co za nosek!... co za usteczka!... Michasiu, przypatrzo się!... Michasiu, tyś nie podobnego nie widział!

Dziewczynę to zmieszało. Nastąpiło to bowiem publicznie. Wskazana została niejako wszystkim, a pomiędzy wszystkimi znajdowała się istota jakaś, zwana Michasiem, której widok doreszty ją przytomności umysłu pozbawił. Patrzała i nie widziała, słuchała, ale nie słyszała, nawet podobno coś odpowiadała i podobno odpowiedzią swoją śmiech wywołała, ale to jeno dobrze zapamiętała, że kiedy się pani i panny do innych zwróciły dziewcząt, a istota Michasiem zwana za nią się jeszcze oglądała, ona odzyskała przytomność na tyle, że z wygonu pędem do chaty się udała. Ze sprawozdania jej naśmiała się babka, naśmiała się matka, uśmiechnął się Iwaś i ze świetlicy wyszedł.

— Cyt! stary, nawidzony! — odezwało się razem głosów kilka. — Czyś ty zapomniał, jak to za gadania takie dziadów z furdygi do furdygi ciągaliby?

— Ej, nie zapomniał ja o niczem!

Dziadom płyn rumiany widocznie języki rozwią-

zał, a najprędzej i, zdaje się, **najlepiej** rzeczonemu Semenowi, który tak dalej ciągnął:

— Nie zapomniał ja ani o hramocie złotej, ani o *lejestrze* (zapewne o registrze). Dziadów po furdygach ciągal? Niech i mnie ciągną... Cóż z tego! Mnie i tak już przyjdzie się niebawem w domowinie się wyciągnąć, ta, niechże przynajmniej ten pareń młody (tu na Iwasia ukazał) wie, jak, skąd i do czego, ażeby i on umiał coś dzieciom swoim powiedzieć. Wiedźże...

Tu mowę do Iwasia zwrócił.

Inni go zagadywać poczeli.

Nastąpiła pomiędzy dziadami sprzeczka, którą zakończył Hryhor, odezwawszy się:

— Niech mówi... My tu sami swoi, za próg nie wyniesiemy, a wnukowi memu można wszystko powiedzieć... Ja za niego głową ręcę...

Iwasiowi pochlebila wielce pochwała dziadka. Zarumienił się.

— Wiedźże, chłopcze — zaczął Semen. — Jest taka hramota złota i jest taki *lejestr*. Wiemy o nich od dziadów i pradziadów naszych, od których to one i poszły... W hramocie zapisana swoboda dla narodu i stoi tam w niej napisane... napisane złotemi literami na białym papierze... że kto jeno przed św. Jurem w *lejestr* się zaciągnie, temu świat cały, jak długi i szeroki, otworem staje.

Iwaś słuchał z oczami otwartemi.

Hryhor uśmiechał się, krechcąc:

— He-he, he-he...

A gdy Semen skończył:

— Ot nowinę mu powiedział! — rzekł — jakby to ja tego oddawna już nie mówił... Mówiłem i ojcu jego nieboszczykowi, mówiłem i jemu.

— Mówiłeś i o zamkach? — zapytał Semen.

— Nie.

— Otóż to!

— Co nie, to nie.

— A trzebaż jemu i o tem powiedzieć. Niech wie o wszystkim, kiedy tak.

— Mów.

— Wiedźże, że hramota owa i lejestr schowane są w skrzyni takiej, okutej i ze śrubami przyśrubowanej, która zamyka się na siedem zamków, a do zamków tych jest siedem kluczy, każdy inny. Z kluczy tych, trzy u Moskala, a trzy u Lachów. Ot i oni biją się pomiędzy sobą. Moskalby chciał mieć wszystkie i Lachy wszystkie i wyzywają od czasu do czasu na majdan jeden drugiego. Ten do siebie, ten do siebie. Te bitki, co pomiędzy nimi bywają, to nie o co innego jeno o klucze... ale durnie oni, bo choćby który i wydarł jeden drugiemu trzy klucze i miał sześć, to — gdzież siódmy? Sześć zamków otworzy, a siódmego?... o...

Dziad włożył palec wielki pomiędzy dwa poboczne i pokazał figę.

Innych dziadów oczy triumfującym świeciły wyrazem.

— Wieszże już teraz o wszystkim? — zapytał Iwasia.

— Gdzież ta skrzynia i gdzież ten klucz siódmy? — zawołał Iwaś tonem błagalnym prawie.

— Oho! któredy on! Z tem rzecz taka... Jeżeliby Moskal wszystkie klucze dostał, to on... rzecz wiadoma, złodziej... ukradnie skrzynię i ucieknie z nią, het... na *Simbir* do *Pitenbura*... w tej nadziei, że i klucz siódmy kiedyś zdobędzie... Jeżeliby Lachy dostali, to ci, choćby i chcieli gdzie uciekać, to nie mają dokąd... i, zostając pomiędzy narodem, muszą wkońcu zgodzić się i sami o klucz siódmy prosić... Takie to ono.

W tej fantastycznej postaci wyłożona została Iwasiowi sprawa narodowa i kwestja społeczna. Nie dowiedział się, gdzie skrzynia i gdzie klucz siódmy, dowiedział się jednak dosyć na to, ażeby mu wyobraźnię napęlił szum jakiś, niby szum morza bijącego o brzegi językiem tajemniczym.

Następnie do rozmowy dziadów przyplątał się i ów

Biały Harab, o którym słyszeliśmy w Malowanej. Biały Harab nie mógł być kto inny, jeno Turek; Turek atoli nie ma w sobie tej tajemniczości, jaką nasuwa nazwa niezwykła. Biały Harab przybyć ma z poza gór, z poza wód, pod przewodnictwem genjusza przyjaznego narodowi. Dodać należy, że Ukrainiec nie wie o tem, że jest Rusinem; kwestja narodowości jest mu jak najzupełniej obca i chodzi mu tylko o swobodę, do której osiągnięcia czuje potrzebę pomocy jakiejś... Nie znajdując jej obok siebie, wygląda jej zdaleka. Wyglądał jej niegdyś od Siczy, ta jednak przeniosła się za Dunaj i w tamtą stronę uwagę jego zwróciła. Za Dunajem Sicz przepadła. Chłop ukraiński, pomimo że to dzieje spółczesne, nie wie, w jaki to stało się sposób. Przypuszcza, że się usunęła gdzieś dalej, za góry, za wody — za te góry i wody właśnie, za któremi przebywa ów Biały Harab.

W roku 1853 na wiosnę krążyć poczęły pogłoski o wojnie pomiędzy Moskwą a Turcją. Te to pogłoski podsycaly fantazję ludową w części znacznej, wszakże nie wyłącznie, istniały bowiem i powody inne, częścią miejscowe, częścią naleciałe. Duch czasu minował budowę społeczną, pańszczyźnianą i przedstawiał się chłopu pod postacią fantasmagoryczną.

Słońce ku zachodowi spadać poczynalo, kiedy pierwszemu z gości Hryhora przyszło na myśl:

— Hej, pora to już do chaty!...

Myśl tę poparł drugi, trzeci, czwarty i dziadowie z ławy się jeden po drugim zsuwali, kiedy wpadła do świetlicy Oksana z okrzykiem:

— Na miłość Pana Boga!... panowie!... co robicie!... Bez podwieczorku odchodzić zamyślacie?... A to się nie godzi!... Południńkowaliście, na zdrowie wam, aleć to już od południńka tyle upłynęło czasu!...

— Czasu upłynęło dużo, to prawda, — odparł jeden — ale to, com południńkował, jeszcze mnie rozpięra...

— I cóż to!... prosiateczka odrobina, kielbaski ka-

wałeczek, jajeczko... i!... panowie!... Żeby jak, to się wam teraz przekąska należy...

— Ta! — rzekł jeden. — Jeżeli gospodyni powie da, że się należy, to może się ona i należy...

— Siadajcie na momencik... Ot zaraz stół nakryję i, co Bóg dał, podam.

Goście posiadali. Oksana, Nastja i Mokryna usta wiły bednię i dziezę, na których, ponieważ stolnica na biesiadników tyłu za małaby była, wyjęte z komory drzwi położyły i te okryły obrusem czystym. Dokoła pozastawiały stołeczki i pieńki, na stole porozkładały łyżki drewniane, widelców o dwóch zębach parę, no żów parę, sól, chleb i postawiły dwie misy olbrzymie, do których wrzącym potokiem z olbrzymiego garnka wlały barszcz. Potoki barszczu wydały woń. Co za woń!... Dziadowie, każdy zosobna oblizał się, a jeden zawołał:

— Ot tobie i podwieczorek!

— Prosimy — pokornie przemówiła Oksana. — Jeżeli znajdziecie co nie do smaku, wybaczcie i nie gniewajcie się. My pewno chciały dobrze, ale nie za wsze to tak się robi, jak się chce.

— Nu, pani matko — odparł jej z biesiadników jeden. — Jeżeli ten barszcz tak smakuje, jak pachnie, to wart gęby nie dziadowskiej, ale *jednoralskiej*.

Przeżegnali się każdy krzyżem świętym i zasiedli. Rozmowa ustała. Rozdzielili się na dwie misy i do każdej wzięło się dziadów po kilku i domowników po łowa. Pierwsze łyżki nieśli do ust, dmuchając silnie, dmuchanie jednak ustawało w miarę, jak się dobierali do głębi, z której wydobywali skarby prawdziwe w po staci bądź jarzyn, bądź też mięsiwa wieprzowego. — Zmogli wkońcu owe misy olbrzymie i każdemu się wydawało, że ma więcej jak dosyć. Po barszczu jed nak wystąpiła na stół kasza jagłana z mlekiem. Jak tu odsunąć specjał podobny? Poprawił się każdy na siedzeniu tak, ażeby otrząść nieco barszczu w sobie, odchrząknął, odkaszlnął, wzięli się do kaszy i zmogli!

— No! — odezwał się jeden — stawiajcież mi tu teraz kurkę z masłem, ani jej dotknę.

Oksana kurki z masłem nie postawiła, ale podała pierogów ze słoniną. Goście poczekali troszeczkę, wzdychali głęboko, odchrząkiwali, odkaszliwali, wzięli się wkońcu i zmoгли.

— A teraz-że *hodi!* — krzyknął któryś.

Chciał wstawać, ale ruszyć się nie mógł i doczekał się makutry a w niej buchańców z czosnkiem.

Czosnek jest ambrozją dla powonienia chłopskiego. Gdy w nosy uderzył, to się aż słabo zrobiło, coś niby pociągnęło, a przytem Oksana i Mokryna rozwinęły taki talent *prynuki*, tak zaklinały, błagały, do ran się Chrystusa odwoływały, łzami sobie pomagały, ręce jak do modlitwy składały, że i skusiły. Z głębokimi, z ciężkimi westchnieniami do buchańców goście się wzięli, ale nie popuścili makuter, aż je do denka wypróżnili. Na buchańcach był koniec podwieczorkowi.

— Ot tobie i podwieczerek! — westchnął ten sam, co tenże sam okrzyk na widok barszczu wydał.

Żegnali się krzyżem świętym, gęby sobie rękawami obcierali, sapali, za ugoszczenie dziękowali i w drogę się wybierali.

Jakby tam z tą drogą było wypadło, o tem szeroko by pisać potrzeba, gdyby nie to, że w Motylnicy znajdowali się ludzie z wsiów, z których goście Hryhora pochodzili. Ten się przyczepił, ów przysiadł, inny miał wóz własny, w ten sposób dziadygi choć późno, często odpoczywając i ustawicznie sapiąc, do chat się swoich pozawlekali. Paru jednak pozostało u Hryhora na noc, w liczbie tej był i ów Semen, co to o hracocie i o regestrze opowiadał.

Po podwieczorku wszakże nie do opowiadania mu już było. Przeniósł się od stołu na ławę a na ławie usiadłszy, uczuł niby ołów na powiekach, w głowie, na krzyżach, w ciele całym, kiwał się, przechylił, położył i zasnął. Toż samo zrobił i drugi. Gospodarstwo poszli za przykładem gości, udali się na spoczynek wcześniej trochę, jak zwykle, i w chacie zapanowała

niebawem cisza głucha. Spali wszyscy z wyjątkiem jednego Iwasia.

Na Iwasiu sprawdziło się to, o czym ewangelja powiada, że człowiek żyje nie samym chlebem tylko ale oraz i słowem. Posiliwszy się słowem, stracił do chleba pociąg i, kiedy jedli inni, on udawał jeno, nosił łyżkę od gęby do misy i napowrót, najczęściej jednak prózną. Czynił to dlatego jedynie, ażeby na siebie uwagi matki lub babki nie ściągnąć i nie popaść u nich w podejrzenie o chorobę. Iwaś zdrowszy się czuł jak kiedy. Nie jadło mu się dlatego jedynie, że musiałby dwie naraz robić roboty; w owej bowiem chwili, kiedy anioł milczenia nad biesiadnikami przeleciał, pozostawiając po sobie trzeszczenie za ich uszami, w głowie jego odbywać się począł proces przetrawiania rzeczy słyszanych. Nie umiał pogodzić jednego z drugim. Brał przeto w podwieczorku udział bardzo skromny, tak dalece skromny, że buchańców zjadł tylko jeden i po podwieczorku nie czuł się ciężki bynajmniej. Wszyscy spać się pokładli, on wyszedł na podwórze. Chłód wiośniany owionął go. Spojrzał do góry, księżyc świecił, gwiazdy błyszcząły, na niebie turkusowem obłoczki białawe układały się w runa, ubierając strop niebieski w futro niby puszyste. Nastawił ucha, w powietrzu panowała cisza, w której młyn jeno szumiał i w takt dygotał, a kiedy niekiedy rozlegało się psa naszczekiwanie. Iwaś podszedł do wrót i na wrotach się rozparł.

Wychodząc z punktu prerogatyw powieściowych, przysłużyła nam prawo wniknięcia w tajemnice myśli rozpartego na wrotach Iwasia. Nie możemy jednak z prawa tego korzystać. W Iwasia myślach panował chaos, w którym wątku uchwycić niesposób. Rozsnuwały się w nich i rozwijały obrazy jakies i dramaty jakies, obrazy złożone z ludzi-ptaków, dramaty odgrywane w zamęcie zgiełków, układających się w chóry triumfalne. Nie było to więc myślenie żadne a raczej koncert, jaki w duszy młodego parobka odgrywała imaginacja przez dziadów nastrojona. Za tematy

koncertowi temu służyły skrzynia, hramota, regestr, siedem zamków, kluczy siedem, Moskał, Lachy, Sicz, Zaporozże, Biały Harab, a za motto swoboda. Rozwinał się on pod takt dygotania młyńskiego, które, dla Iwasia bezwiednie, regulowało pochód fantazji jego. Stał we wrotach, rozparty na nich łokciami obydwoma i dumał. Wzdychał niekiedy. Niekiedy na gwiazdy spoglądał. Niekiedy znów rzucał wyrazów kilka i ramię wyciągał z pięścią w kułak zaciśniętą.

VI.

Wiosna w r. 1853 przyniosła pogłoski o wojnie. Od czasów niepamiętnych, za istnienia bowiem jeszcze Polski w całym niepodległości blasku, wiosna każda, na Ukrainie zwłaszcza, z podobnemi przychodziła pogłoskami. Były do tego powody. Z wiosną ruszali się Tatarowie z Krymu, z Dzikiich Pól, z Budżaku; od r. zaś 1648 minowała Polskę choroba chroniczna, odnawiająca się niemal rok rocznie z powrotem jaskółek z wyraju. Gdy choroba ta rozciągnęła Polskę ostatecznie na łożu boleści, zwanem niewolą, spodziewanie wiosniane w odmiennej zaczęło się objawiać postaci. Spodziewać się poczęto zaświtania zarania wyzwolenia i to nieinaczej jak zapomocą wojny jakiejś. Siedziano z rękami założonemi i czekano na zaranie owo od wiosny do wiosny. Niektórzy nie przywiązywali do tego wiary absolutnej. Wiarę osłabiały znacznie zawody powtarzane w roku każdym. Wszelako...

Wiara szła drogą swoją i nadzieja swoją.

Gdy jeno na horyzoncie politycznym ukazał się punkcik jaki, mający dalekie podobieństwo do punkcików owych, zapomocą których na pustyniach piaszczystych huragany się zapowiadają, wnet nadzieja powracała, wiara odżywała i po dworach szlacheckich bito Moskali na łeb na szyję do spółki z Francuzami, z Turkami, a nawet z Anglikami i Niemcami. Wytwarzano kombinacje niemożliwe, w których jeżeli nie

figurował Biały Harab ani skrzynia o siedmiu zamkach, to nie było w tem winy twórczości kombinacji. Niestety — smutno wyznać — szlachta ukraińska w czasie owym straszliwie ciemna była pod względem stosunków i prawdopodobieństw politycznych. Rachuba np. na Czerkiesów, pozostających w stanie ustawicznej z Moskwą walki, nie zaliczała się bynajmniej do niedorzeczności. Pomińmy to jednak. Moskale sami nie wiedzieli, jaki obrót weźmie ta walka długa, nie przewidując, iż do zakończenia jej przyłożą się Francja, Anglja i Turcja *); rozpuszczali więc na jej rachunek wieści, usprawiedliwiające poniekąd kombinacje szlacheckie. Istnieją jednak fakty inne, świadczące o ciemnocie szlacheckiej ogólnej. Z faktów tych przytoczę jeden. Niejaki R., emigrant w Turcji przebywający, wynalazł był perpetuum mobile i podał o niem wiadomość do gazet. Wiadomość tę ogłosiła *Gazeta Warszawska*. Był to opis szkatułki o jedenastu kółkach, do którego dwunastego tylko brakowało, ażeby z kółek owych wytworzył się ruch wieczny o siłę żądaną, mogący być zastosowany do wszystkiego, co siły wymaga. Wynalazek ów zastąpić miał pracę fizyczną. Miało to być wyzwolenie człowieka absolutne i zupełne wydobycie go ze stanu zezwierzęczenia, w jakim go potrzeba pracy utrzymuje, skruszenie więzów, w jakich żywot pędzi. Autor pisał artykuł ten bez żadnej intencji politycznej i nie było też w nim żadnej. Szlachta jednak zwietrzyła aluzje doniosłości ogromnej. Artykuł ten w odpisach licznych krążył, przechodząc z rąk do rąk. Odczytywano go i komentowano. Wyrażenia takie, jak „wyzwolenie i skruszenie więzów“, odnoszono wprost do Polski, łącząc je z kwestją społeczną, która w umysłach nurtowała. Obywatel pewien zwołał gromadę i oznajmił jej, iż wynaleziona została szkatułka taka, która, jak się jedno jedno jeszcze kółko wprawi, będzie orała, siała, że-

*) Czerkiesi liczyli na wojnę wschodnią (1853 — 56); zawiedli też się i od tego się czasu datuje upadek ich na duchu.

ła, młóciła, drzewo rąbała, wszystko robiła, tak że człowiekowi pozostanie tylko jeść, pić, lulkę kurzyć i leżeć brzuchem do góry. I pańszczyzny nie będzie. Jest to fakt autentyczny. Mógłbym z imienia i nazwiska, z miejsca pobytu i ze stosunków rodzinnych wymienić szlachcica tego, który dziś jeszcze żyje i używa w obywatelstwie poważania znacznego.

Mówię o ciemnocie ogólnej, nie twierdząc i nie utrzymując, iż nie było wyjątków. Uniwersytet kijowski, zagranica, książki zabronione ciskały w tę pomrokę promienie światła, padające na głowy niektóre i oświecające je często, niestety, blaskiem fałszywym. Wiadomości ze środka wyrwane, z ogółem wiedzy nie zestosunkowane, nie przetrawione, wydawały w rezultacie ułomności intelektualne, które wiedziały, że gdzieś dzwonią, nie wiedziały jednak w którym kościele.

Zadzwoniono na wojnę turecką. Zawrzało po dworach i dworkach szlacheckich.

— Wojna z Turkami!...

Wyrazy temi witał jeden drugiego.

Kombinacje poszły w nieskończoność.

Tu robiono obrachowywania kabalistyczne, oparte na cyfrach 1, 8, 5 i 3; ówdzie komentowano mickiewiczowskie: „A imię jego czterdzieści cztery“; tam tłumaczono w sensie odwrotnym wiadomości przez Moskali podawane; gdzie indziej wybadywano Żydów; wszędzie z pamięci powtarzano przepowiednię Wernyhory o wielkich bitwach pod Perepiatą i Perepiatychą i o tem, że Turek konia w Horyniu napoi.

— No, i nie wierzyć-że temu, panie poruczniku dobrodzieju! — w te słowa, odnoszące się do przepowiedni Wernyhory, przemówił prezes X. do pana Jana.

Od chwili jak wojna z Turcją pewna się stała, co nastąpiło po żniwach, dwór motylnicki stał się niejako punktem zbornym dla szlachty okolicznej. Pan Jan używał zasłużonej reputacji pairjoty i przytem

człowieka prawego i rozumnego. Ile razy przeto podnosił się nastrój patryjotyczny, tyle razy sąsiedzi śpieszyli do Motylnicy z odwiedzinami, niby w celu zaskarżenia sobie względów człowieka, któregooby Polska — kto wie — gubernatorem może zrobiła, jeżeliby nie mogła lub nie chciała zmieniać odrazu porządków moskiewskich. Po Wielkiejnocy — po ucieczce gromadnej jednych do miasta L., a pozostaniu pana Jana w domu gość w Motylnicy był rzadkością wielką. Bąkano nawet o pretensjach i procesach za przyjmowanie hołdu poddanych cudzych. Po żniwach atoli postać rzeczy nagle się zmieniła i dwór motylnicki przybrał dla okolicy całej znaczenie Mekki, do której dzień w dzień niemal zajeżdżały bryczki pomniejszych i większych, pojazdy fasonu rozmaitego, karety nawet.

Pan prezes X., którego dla umniejszenia w powieści anonimów nazwiemy Brunonem Xelewiczem, przyjechał przed obiadem z panią swoją i córkami. Ów szlachcic papinecik, co to także niekorzystne miał o Michasiu wyobrażenie, a który nazywał się Romciem pomimo lat czterdziestu pięciu, przyjechał także przed obiadem. Wujaszek, brat pani Janowej, pan Kallasanty Bęcki, co to był czasu onego aż do Odesy drapnął, przybył w czasie obiadu. Po obiedzie panie udały się do salonu, gdzie się panny naprzemian popisywały na fortepianie wobec pana Michała; panowie poszli na fajeczki do kancelarji i tam to wytoczyła się na stół mowa o przepowiedni Wernyhory.

— No, i nie wierzyć-że temu! — słowa prezesa.

Pan Jan ramionami ruszył.

— Wiara w przepowiednie podobne tłumaczy się — podchwycił papinecik. — Przepowiednia taka jest dziełem kombinacji... Chłop, jakim był Wernyhora... chociaż powiadają, że był to szlachcic... zdrowym chłopskim rozumem obrachował, że przyjść musi do wojny pomiędzy Rosją a Turcją.

— To przepowiedni połowa jedna — odrzekł pan Jan. — A czemże wytłumaczyć drugą?

— Czem?... hm... uhm... A przecie, proszę państwa, wielkie jest podobieństwo, że się i ta sprawdzi.

— Turcja słabsza od Moskwy...

— Na pewno nie wiemy — odparł papinecik. — Moskwa jednak nie ma ludzi, Turcja ma...

— Kogo? — zapytał pan Jan.

— Bem...

— Ten-że umarł!...

— Chiii! — podchwycili razem prezes, Bomico i pan Bęcki; ostatni zaś dodał głosem tajemniczości poważnej:

— To finfa...

Pan Jan nie zrozumiał odrazu powiedzenia szwagrowego.

— W Odesie mi to mówiono.

— Co?

— Że Bem żyje... rzecz jak najpewniejsza...

— Turcy się rozumu nauczyli — zaczął prezes. — Rzecz, widać, dawno była ułożona, pamiętam bowiem, kiedy się dowiedział, że Bem się sturczył, natychmiast powiedziałem, to nie bez kozery... Powiedziałem to żonie mojej, możecie jej państwo spytać... Aż dowiaduję się później, że umarł. Hm... pomyślałem sobie, i niebardzo ja w tę śmierć wierzyłem. Teraz wyłazi szydło z worka... śmierć ta była to poprostu głęboko obmyślona finfa dyplomatyczna, ażeby Moskali na wojnę wywabić i...

— Hajże na nich Bema! — dokończył pan Kalasanty, myśliwy, i dlatego dość często używający terminów łowieckich.

— A na Bema spuścić się można, jak się zdaje...

— Jeżeli żyje, w rzeczy samej — wtrącił pan Jan.

— To, poruczniku kochany, — odparł prezes — wątpliwości nie podlega najmniejszej. Żydki mają wiadomości najlepsze, a oni już o tem wiedzą, tylko milczą huncwoty, bojąc się *stanowego*, który kahałom zakomunikował rozkaz gubernatorski, zakazujący szerzenia pogłosek fałszywych. Mimo to oni niby w bęben biją: Bem... bem... bem...

— A Omer-pasza... to także gracz... — wtrącił pan Kalasanty.

— Polak...

— Ależ, prezesie!... — podchwycił pan Jan tonem protestacji.

— Polak, powiadam, asanu dobrodziejowi.

— Słowianin... Dalmata...

— Umhu! Moskale tak podają!... Chciałżebyś, żeby głosili *urbi et orbi*, że Bem żyje a Omer-pasza to Polak? Pozwólże na to, poruczniku kochany, że oni nie tacy naiwni. I to wiele, że mu Słowianinem być pozwalają. Łatacz?... Nazwisko samo pokazuje; znam Łataczów, szlachta dobra, nie mieli czem w heroldji poforsować i w jednodworce ich Moskale zapisali.

— Trzeba bowiem — odezwał się szlachcic papiecikowaty, wyjmując chustkę batystową i zaczynając nos ucierać — rzeczy brać, jak są, i ani się łudzić, ani też widzieć wszystko w kolorach posepnych. Turcja dziś nie ta, co była. Urządziła sobie armję, posiada flotę, ma i ludzi, których sama sobie dobierała. Jest tam emigracja, którą trzyma nie dla pięknych jej oczu. Ma u siebie Bema i Omer-paszę i na swoje zawołanie Dembińskiego, Rybińskiego, Chrzanowskiego, Wysockiego, Mierosławskiego, Karola Różyckiego... Kręci się tam Michał Czajkowski, który się sturczył także, jak prezes dobrodziej powiada, nie bez kozery. Żyje jeszcze stary książę Adam Czartoryski. Nie można przypuszczać, żeby oni nie poforsowali. Ja jestem wielkim pesymistą, jednakże, kombinując wszystko, powiadam ci, panie poruczniku, że się przepowiednia Wernyhory sprawdzi co do joty, i ty niebawem wyruszysz z powiatu na czele szwadronu ułanów, który obywatelstwo własnym wystawi sumptem.

Pan Bęcki na słowa te z miejsca się zerwał, prezes nogę na nogę założył, uśmiechając się triumfalnie, panu Janowi w oczach się zaiskrzyło, otworzył drzwi i krzyknął przez nie:

— Michale!...

Pan Michał zjawił się po chwili.

— Tatko mnie wołał?

— Każno tu miodu starego butelczyn parę i lamppek przynieść... no i sam przyjdź...

Pan Michał wykonał polecenie ojcowskie i kiedy powrócił, prezes w następujące odezwał się do niego słowa:

— My już tu szwadron ojcu sztyftujemy.

— I owszem... Tylko jabym się nie zaciągał do szwadronu tego.

— Toż czemu?

— Boby mnie tatko służbą nękał, a awansu nie dawał.

— Służyłbyś jako przykład.

Wniesiono na tacy dwie mchem sędziwym okryte butelki i przy lampkach wszczęła się z powtórzeniem rozmowa w treści ta sama, co poprzednia. Szlachta z martwych wywoływała Bema, polonizowała Omerpaszę, zaludniała Wschód znakomitościami polskimi, którym rozdawała funkcje stosownie do tego, jakie której zdolności przypisywała. Generałowie prowadzili korpusy, dyplomaci kierowali sprawami w gabinetach, Michał Czajkowski był dykteryjkarzem przy osobie sultana tureckiego, pilnującym, ażeby ten nie znudził się zwycięstwami nad Moskałami i nie kazał przerwać wojny przed wyciągnięciem z niej wszelkich możliwych korzyści. O atamaństwie ostatniego nikomu się jeszcze ani śniło podówczas. Przyśniło się jednak coś innego. Po dwóch lampkach miodu zmartwychpowstał i w całej pełni i mocy rycerskiej stanął Wacław Rzewuski z kozactwem mnogiem. O życiu tego wątpliwości najmniejszej nie miano. Zapomniano jeno o nim i przypomniano sobie nagle, a gdy ktoś podszeptnięte niby przez ducha jakiegoś z powietrza nazwisko jego wymówił, pan Michał zaczął:

Śniąc o stepach i o zysku

Arabowie spali,

A kozacy przy ognisku,

Taką pieśń śpiewali.

Szlachcice z rozrzewnieniem głębokiem wysłuchali do końca prześlicznej tej dumy, którą młody Zborzeski oddeklamował po mistrzowsku i która, gdy skończył, odezwała się natychmiast w śpiewie przy akompaniamencie fortepianu. Snać z panien któraś podsłuchiwała. Wypadek ten spotęgował, roziskrzył nadzieje. W chwili tej każdy z obecnych w kancelarji pana Jana gotówby był oddać za Polskę wszystko, co posiadał, i w dodatku życie własne pod warunkiem, który się sam przez się rozumiał i o którym wątpliwości nie miano najmniejszej, ażeby Turcy przyszli.

Śpiew wywołał gości z kancelarji i zwabił ich do salonu. Śpiewała Józia. Nie mogłaby ona występować w teatrze żadnym ani nawet w żadnej sali koncertowej, ale na wsi, w pokoju bawialnym państwa Zborzeskich, przy oknach otwartych, cudnie się z zadania swego wywiązała. Skończyła. W tej chwili prezes, podszedłszy do niej z wilgocią w oku, przemówił prośby tonem:

— Dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze.

Dziewczyna, jak na dobrze wychowaną panienkę przystało, drożyła się nieco. Dała się jednak uprosić.

— Cóżby to? — zapytała, zwracając oczy na brata.

Pan Michał w odpowiedzi wziął ręką prawą akord.

— Ach! — krzyknęła panienka tonem protestu.

— Pomogę ci.

Panna Józefa zamąciła klawisze, wydobyła z nich następnie motto; pan Michał stanął przy oknie, nogę na nogę założył, ręce na piersi skrzyżował — zaczęli:

Hej, kozacze, w imię Boha,
Wże hołosyt' w cerkwi dzwin.
Komu myły dim u Boha,
Za Moskałom na wzdohin!
Hej, kozacze, na wraha!
Hura-ha!... hura-ha!

Strofa pierwsza poszła doskonale, następna jeszcze lepiej, trzecia świetnie, przy czwartej atoli panu Michałowi głosu nagle brakować zaczęło. Śpiewał, ale od

czasu do czasu to chrypnął, to nie dociągnął w tonie wysokim, to znów odchrząkać musiał. Coś go niby mieszało. Cóż takiego? Przecież nie służba stajenna i nie służba piekarniana, którą przez okno widział i która stanowiła publiczność płci obojej, przysłuchającą się duetowi z podwórza. Któż się miesza przed służbą! Zmieszanie atoli stamtąd pochodziło, spowodowywało je bowiem patrzenie pana Michała przez okno. Co spojrział, to się i zaciął. Spoglądał jednak, nie ku stajni, gdzie stali furmani, każdy z osobną gapiąc się na okno, ani ku oficynie, gdzie dziewczki kupą się trzymały i pootwierane gęby miały, ale ku bramie, gdzie obok topoli zatrzymały się, jakby w przechodzie, dwie postacie chłopskie i słuchały, jak się słucha nabożeństwa w kościele. Dwie te postacie zmieszały go. Odwracał wzrok ku siostrze, śpiewał dobrze; spoglądał przez okno, zaciął się. Ściągnęło to uwagę wujaszka Kalasantego, podszedł na palcach do drugiego okna, wyjrzał na podwórze, rozpatrzył się, nie zobaczył nic osobliwego i ramionami ruszył. To zaś, że się wujaszek rozpatrywał, oprzytomniło niejako pana Michała. Przestał przez okno spoglądać i strofę ostatnią odśpiewał arte. Gdy skończył, gdy na powinszowania i podziękowania panów, pań i panien odpowiedział, zwrócił się ku oknu, pod topolę oko posłał — pod topolą nie było już nikogo.

Cóż to za postacie chłopskie mieszały młodzika naszego?

Iwaś i Mokryna.

Tak się zdarzyło, że Iwaś znajdował się na toku, na robociźnie — pańszczyznę odrabiał — i siostra mu podwieczorek wyniosła; robocizna jednak skończyła się w momencie, kiedy ona z bliźniakami przyszła. Wracali więc razem, on z widłami i grabiami, ona z bliźniakami w ręku. Kiedy mimo dworu przechodzili, uderzył o słuchy ich śpiew. Zatrzymali się machinalnie, wśluchali się i zapomnieli. On i ona dech w sobie zaparli. Znajdowali się pod zakłębieniem czaru.

Śpiew uciął, czar pękł — odeszli.

Pytanie teraz, któreż to z nich pana Michała zmieszalo?

Hm...

Nie domyślajmy się jednak niczego. Prowadźmy raczej opowiadanie nasze dalej z tym spokojem i w porządku, jakich dowody złożyliśmy dotychczas.

Po odśpiewaniu dumy tej, która czasu onego brzmiała w hufcu bohaterskim, dowodzonym przez Karola Różyckiego (1831), patryjotyzm Ukraińców naszych nastroił się na kozaczy ton, który nadzieje spotęgował przez to samo, że kombinacje na realniejszym oparł gruncie. Nie ułanów już, gdy Turcy przyjdą, ale kozaków powiaty sztyftować miały i nie po szwadronie, a po setni dziesięć, po pięć przynajmniej.

— Chłopsstwo się pogarnie, że aż przytrzymywać trzeba będzie — powiadał prezes.

— Niezawodnie — potwierdził wujaszek.

— Odbiegną nas wszyscy furmani, stajenni, kozaczki dworscy — dodawał pan Roman.

Panie ze strony swojej dogadywały także.

Rozmowa się snuła, wiła, niby girlanda, bez końca, wiązana z kwiatów, zachwycających kształtem i wonią.

Nad wieczorem ktoś jeszcze z sąsiedztwa nadjechał i na intencję gościa nowego wznowił się po raz — bodaj — czwarty przegląd pogłosek i wiadomości pewnych o Bemie i Omer-paszy, o Wacławie Rzewuskim i innych, o tem nakoniec, że powiaty będą sztyftowały kozaków, co nie obędzie się bez niedogodności pewnych ze względu na usługę stajenną, na usługę dworską, a zresztą — co to w bawelnę obwijać! — i na pańszczyznę.

— A! — zaprotestował pan Michał. Pańszczyzna ustanie!...

Nie odpowiedziano mu, że ustanie, nie odpowiedziano, że nie, dano atoli poznać, że... to się pokaże...

— Myślałbym, iżby zrobić to należało zgóry, na przód...

— Phi! — odpowiedział prezes — zrobi się, co będzie należało.

I zagadał o Bemie, o Omer-paszy i o innych.

Pan Michał jednak, wmieszawszy się do dyskusji, a raczej zagaiwszy ją, dotąd bowiem nie było jej wcale, nacierał.

— Myślałbym, iżby należało przygotowywać się zawczasu, od dnia dzisiejszego.

— I jakże to rozumiesz, panie Michale? — zapytał prezes nieco z partesu.

— Rozumiem, że powinniśmy oręż pocichu ściągać, spisy kuć, konie i siodło przysposabiać... ludzi rychtować.

— Ażeby — dokończył papinecik, który mu za ramieniem stanął — ułatwić Moskałom zabranie tego wszystkiego razem i narazić ludzi, coby się tem zajmowali, na Sybir...

— W gorącej jesteś kąpany wodzie — odezwał się prezes. Nie dziw, i ja w twoim wieku byłem taki. Nie... Trzeba przedewszystkiem zastanowienia. Jak przyjdzie armja turecka...

— Mnie się zdaje, — przerwał pan Michał — że gdy armja turecka będzie przeciwko Moskałom działała z przodu, wówczas my powinniśmy działać z tyłu i wziąć ich we dwa ognie.

— Otóż to, jak mu zaraz ognie w głowie! — półzartobliwie podchwycił prezes.

— I dlatego pańszczyzną znieść potrzeba jak najprędzej — ciągnął pan Michał.

— Nie mieszajmy jeno dwóch odmiennych kwestyj razem—podchwycił papinecik.—Pańszczyzna to kwestja społeczna, wojna polityczna. A przytem czy chłop wie, co to ojczyzna? — zapytał i sam sobie odpowiedział: Nie... Owóż, zniósłszy pańszczyznę, dalibyśmy mu ojczyznę poznać ze strony materjalistycznej... zrobilibyśmy go materjalistą... przesiąkłby nawskroś materjalizmem.

Interesującą tę dyskusję przerwało podanie herbaty, przy której rozmowy przez wzgląd na służących

toczyły się o przedmiotach obojętnych i po której goście rozjechali się.

Nazajutrz powtórzyło się mniej więcej to samo, z tą jedynie odmianą, że goście byli inni. I tak było dzień po dniu prawie. Rzadko państwo Zborzescy nie mieli kogoś obcego, jeżeli nie na obiedzie, to na herbacie, nie na herbacie, to na wieczerzy. Pan Jan poranki jeno miewał swobodne dla oddawania się zajęciom gospodarskim i z tego powodu mało mógł czytywać; to mu jednak wielkiej nie sprawiało przykrości, albowiem i jego sprawy polityczne interesowały w stopniu wysokim i, pomimo że gazetę trzymał, rad był gawędkom, analizującym wiadomości przez Moskali przepuszczane i przynoszącym pogłoski uroku pewnego nie pozbawione, bo owocu zakazanego woń mające. Ostatnich mnożyło się coraz to więcej i więcej, a jeżeli jedne upadały, to stawało na ich miejsce dziesiątki nowych.

I tak szło. I tak szło.

Sprawy istniejące w rodzinie każdej, gdzie jest syn dorosły i panny na wydaniu i gdzie wioska niewielka nie dozwala na obdzielenie dzieci majątkami przyszłość ich zabezpieczającemi, pozostały w stanie zawieszenia. Co się panien tyczy, był to stan normalny. Cóż innego z pannami robić, jeżeli nie trzymać ich w domu, aż się im los trafi? Wychowanie, jakie się kobietom naszym w tej sferze, do której rodzina Zborzeskich należała, udziela, czyni je istotami, nie mającemi nic innego przed sobą, jeno czekać na zmiłowanie Boże. Tak czekała panna Karolina, siostra pana Jana, i doczekała się biedaczka staropanieństwa, osłodzonego tem tylko, że się wlokło pod dachem brata poczciwego i bratowej wyrozumiałej. Na takie czekanie skazane były panna Aniela i panna Józefa. Trafi się co, — chwała Bogu; nie trafi się, trzeba będzie zabawiać się suszeniem wtorków i pasjansem.

Ale pan Michał!

Pan Michał w r. 1852 skończył uniwersytet w Kijowie; był na wydziale prawa, wyszedł ze stopniem

kandydata i miał przed sobą drogi otwarte naścieżaj. Mógł iść drogą naukową, magistrować się, doktoryzować, tentować o katedrę uniwersytecką. Mógł wstąpić do służby publicznej i szczeblować po drabinie *sowie-tników, diejstwitielnych sowie-tników, diejstwitielnych tajnych sowie-tników*, — kończącej się na kanclerstwie. — Mógł zresztą, będąc prawnikiem, próbować chleba adwokackiego — *chodatajstwowat' po dielam* — jak mówią w Rosji. Mógł się nawet ożenić dobrze. Do pierwszej atoli drogi sam, zdaje się, pociągu nie miał. Na drugą, wyobrażającą służbę Moskałom, krzywił się pan Jan. Trzecia zależała od rozpatrzenia się trochę w świecie. Czwarta przedstawiała się pod postacią zagadki, o której pani Janowa myślała i dla której wyprawiała często syna do stryja, w Lipkowieczczyznę, gdzie mieszkała panna Pakościńska, mająca zalet wiele, a pomiędzy niemi i tę, że posiadała miljon posagu.

Pan Jan o tem nie wiedział, a może udawał, że nie wie, nie chcąc ani odradzać, ani doradzać. W bogatem ożenieniu syna nie upatrywał nic zdrożnego, chyba w takim razie, gdyby to była spekulacja, zarywająca na oszustwo, gdyby pan Michał usiłował wykpić majątek zapomocą okpienia kobiety uczuciami kłamanemi i albo się sprzedać albo też handel haniebny zrobić. Gdyby jednak państwo młodzi podobali się sobie wzajemnie, gdyby się pokochali, jak to się młodzi kochają, nie widziałby dobrej racji w sprzeciwianiu się ożenieniu syna dlatego tylko, że panna jest posażna.

Pan Michał też jeździł do stryja za wiedzą ojca i to ze stryjem, to sam bywał w domu państwa Pakościńskich, nie występując formalnie w charakterze starającego się. Panna ani mu się podobała, ani mu się nie podobała — wcale nie brzydka, pięknie wychowana, dobrze prowadzona, starających się miała huk, samych jednak spekulantów z tytułami i bez tytułów. To zapewne trzymało pana Michała od niej w oddaleniu.

Bywał, ale się nie garnął, mając wstręt do stawania w jednym szeregu z wymoczkami i z dryblasami,

strojącymi grymasy do miljona. Stryj go popychał niejako, pan Pakościński nie odpychał, pani Pakościńska była dla niego ujmująca, panna Pakościńska, widać to było, poszłaby ku niemu, ale on ku niej nie szedł. I tak się sobie ten romans włókł.

Stary pan Zborzeski, kiedy syn z dyplomem z Kijowa przyjechał, powiedział mu:

— Daję ci rok czasu na wypoczynek... Jesteś gościem u mnie... Po roku musisz o sobie pomyśleć...

Młody człowiek zamierzał jechać do Kijowa, ażeby ostatecznie coś obmyślić, gdy zaskoczyły wypadki, które go w domu przytrzymały na czas nieograniczone. Wietrząc wojnę przeciwko Moskwie, będąc szlachcicem polskim i mając lat dwadzieścia parę, czy można myśleć o czem innym, jak o wojnie?

VII.

W Motylnicy, gdy powóz jaki w bramie się pokazał, panny, jak to bywa w zwyczaju po dworach mało odwiedzanych, nie podskakiwały z okrzykiem „goście jadą!” i nie wybiegały na spotkanie. Goście im spowszednieli. Panny wychodziły jeno na spotkanie pań i panien, mężczyźni zaś, najpoważniejsi nawet, obchodzić się musieli bez tych preludjów gościnności, praktykowanej w motylnickim dworze w sposób bardzo przyzwoity, ale nie przesadny.

Dla jednego atoli gościa zrobiono wyjątek. Działo się to już po śniegu. Zajrzał ktoś z domowników zdaleka sanie łubiaste, konie w lic, i mimo mrozu, który nie żartował, rodzina cała spotykała na ganku wylazącego z sani niby z nory szlachcica, ubranego w ogromne niedźwiedzie futro, w barankową z uszami czapkę i w duże berlacze. W futrze tem, w berlaczach, pod baranicą ciepło mu być musiało. Wylazł i wnet go rodzina cała poprowadziła do sieni, następnie do pokojów, gdzie rozbierano go niby orzech wło-

ski z łupin, aż dobrano się do ośrodka, który w objęciu pochwycono. Ośrodkiem owym był to jędrny, niezłej tuszy człowiek, dobrze już szpakowaty. Panny całowały go w policzki i przemawiały do niego: stryjasku.

Był to więc ów stryj, do którego pan Michał jeździł, zamieszkały w Lipkowieczechyźnie Zborzeski, na imię Marcin. Z panem Janem pan Marcin wyściskali się po kilkakrotnie, toż z cicią Karoliną, z panią Janową, z synowicami.

— A Michaś? — zawołał przybyły, oglądając się. Zjawił się, jakby zakłębieniem z pod ziemi wywołany, i pan Michał i w objęcia stryja padł.

— O! — rzekł ostatni, gdy już ścisnąć nie było kogo. Macie mnie! Nie miałem od was ani o was wieści żadnej długo, myślałem: pisać? nie pisać? i zdecydowałem się przyjechać...

— Jakże brat dobrze zrobił! — odezwała się pani Janowa.

— Pelcia mnie puszczać nie chciała...

— Pelcia — podchwyciła z pańien jedna — ma stryjaska przez lata całe, a my tak rzadko! Czemuż i ona nie przyjechała?

— Z dziećmi?... na mróz?

— Gdybyż stryjasek był przynajmniej Frania ze sobą przywiózł!

— Nie lubię z dziećmi się wozić...

Pelcia? Franio? — coś o nich trzeba czytelnikowi powiedzieć, ażeby go w stosunki rodzinne familji Zborzeskich wtajemniczyć.

Pan Marcin, brat starszy pana Jana, owdowiał przed laty i pozostała mu córka jedynaczka Pelagja, którą przez spieszczenie Pelcią nazywano, wydana od lat dziesięciu za sąsiada z tejże samej wsi. Tej narodziła się kupa dzieci, pomiędzy którymi Franio był synem najstarszym. Dom córki zamężnej, od domu ojca wdowca oddzielony stawem tylko, stanowił niby jedno. Pan Marcin atoli mieszkał osobno, prowadził gospodarstwo oddzielne i odgrywał w powiecie swoim

rolę wydatną wśród obywatelstwa, pomimo że nie był to pan, a tylko szlachcic zamożny. Kompromisy i sprawy różne sporne o niego się zwykle opierały. On sądził, godził, pertraktacje urządził, komplancje spisywał, pomimo że prawnikiem z rzemiosła nie był. Miał jednak zdrowy rozsądek i sumienia dużo, zapomocą więc dwóch tych zalet czynił podryw ogromny sądownictwu moskiewskiemu, przeszkadzając obywatelstwu ciągać się po trybunałach. Tacy, jak on, bodaj się na kamieniu rodzili.

Pomimo odpowiedzi, jaką dał, czyniono mu jeszcze wymówki o Pelcię i Frania, — szlachcic bronił się. Rozpytywano go następnie o zdrowie Pelci, Frania i pół tuzina braciszków i siostrzyczek ostatniego, pan Marcin udzielał pod względem tym wiadomości jak najpomyślniejszych i z kolei wywiązywał się z poleceń, jakie dostał od córki, zięcia i wnuków, tyczących się uścisków, ucałowań i pozdrowień, odnoszących się do członków rodziny pana Jana, wszystkich razem i każdego z osobna.

— A teraz — zaczął — pozdrowienia dla pana Michała od pana Pakościńskiego uprzejme, od pani Pakościńskiej serdeczne, od panny Kolki z przyciskiem...

Michał zarumieniał się, siostry się uśmiechnęły, matka zagadnęła:

— Jakże tam oni?

— Nu... zdrowi... powodzi się im dobrze — odpowiedział obojętnie. — Dziwią się, że Michał od Wielkiejnocy, a raczej od wielkiego postu ani zajrzał w nasze strony i zamyślają o zaprowadzeniu kwarantanny w Zakajówce.

— Czyżby zaraza? — wtrąciła pani Janowa.

— Zaraza, siostro dobrodziejko! — odparł pan Marcin z naciskiem. — Choroba! Kawalerowie w okolicy całej pozapadali na gorączkę miłości. Dlatego to kwarantanna rzeczywiście stała się potrzebna.

Koncept stryjaszka wywołał śmiech ogólny. Pan Michał odparł:

— Taką rzeczą to nie mam i ja poco śpieszyć się do Zakajówki...

— Toż czemu? — zapytał stryj.

— Żeby kwarantanny nie odbywać.

— Dla asana dobrodzieja możeby zrobiono wyjątek, zwłaszcza, jeżeliby się pokazało, że gorączka twoja nie jest natury zaraźliwej.

Coś na to Michał odpowiedział. Stryj jednak zmienił treść rozmowy, zapytując pana Jana:

— Powiedzcież mi, cóż tu u was słyhać?

— A u was? — odparł zapytany.

— U nas słyhać, że Turcy kropią Moskali i że i my się niebawem do nich weźmiemy.

— Zupełnie to samo i u nas — rzekł pan Jan.

— I czy tak samo w Lipkowieczyźnie — wtrącił pan Michał — czekają na przyjscie Turków, spuszcza-
jąc się na to, że nam przyniosą oręż, przyprowadzą konie i dadzą hasła?

— To się rozumie! Inaczej być nie może.

— Stryjaszek mówi to serjo?

— Serjo, mój Michasiu — westchnął pan Marcin.

— I inaczejby być nie mogło?

— Mogłoby, gdyby u nas to (tu ukazał sobie palcem na serce) nie brykało, szło chodem równym i odpowiadało temu (tu ukazał sobie palcem na czoło).

Nastrojoną na ton ten rozmowę strąciły z toru panie, wytoczywszy na stół kwestję ogrzania się po zziębnięciu i posiłku po podróży. Ogrzania się pan Marcin nie potrzebował, kto bowiem miał na sobie takie futro niedźwiedzie, taką czapkę, takie berlaże, taką baranicę i kto jechał w saniach krytych, ten zziębnać nie mógł, chociażby mróz nad trzydzieści gradusów Réaumura przechodził. Posiłek wszakże był potrzebny. Pan Marcin z akcentem wychylił kieliszek wódki i z apetytem zasiadł do befsztyku, kartofelków przysmarzanych i kluseczków odgrzewanych.

Ktoś tymczasem z sąsiedztwa nadjechał. Gawędka zawiązała się o wypadkach — o wojnie, o polityce,

o nadziejach, o widokach — nastąpiły potem herbata i wieczerza i dzień upłynął, jak zwykle.

Przyjazd pana Marcina wypadł w grudniu, dn. 22. Napozajutrz przypadała wigilja Bożego Narodzenia. Nikt nie wątpił, że pozostanie na święta, jakoż w rzeczy samej w tej, a nie innej pan Marcin przyjechał intencji. Spędził z braterstwem święta i nie wybierał się zpowrotem. Zabawił do Nowego Roku. Wydawać to się mogło dziwne trochę, gdyby kto z rodziny pana Jana wnikać chciał w przyczyny, które spowodowały to, że ojciec i dziadek, zamiast z córką własną i z wnuczętami, spędził święta z bratem i dziećmi jego. Nikt wszakże w przyczyny owe nie wnikał. Pan Marcin sam je odkrył, biorąc bratową za konfidentkę. Upowiedział ją, że ma jej coś powiedzieć.

— Bo to, siostrzynie, — tak zaczął — nie chcę o tem z Janem mówić. Jan ma skrupuły pewne, które ja uznaję i szanuję. Niechże on ze skrupułami swojemi pozostanie na boku, my zaś ze sobą pogadamy. Co się zaczęło żartem, skończyć się może serjo.

Pani Janowa domyśliła się, o co chodzi. Żart tyczył się Michasia i panny Kolci, a wyraził się w ten sposób, że pan Marcin, kiedy jeszcze Michał studja odbywał, przy każdej powtarzał mu sposobności: „Ty się ucz i uniwersytet skończ, a ja ciebie ożenię. Mam dla ciebie pannę *fajn*“. I nie trzymał nazwiska panny w sekrecie. Co więcej, pannie powiadał, żartem także: „Kolciu, mam dla ciebie kawalera, *fajn* chłopiec, synowiec mój rodzony, jak wyrośniesz, to ci go pokażę“. Kolcia wyrosła; Michaś uniwersytet skończył: żart żartem pozostawał, to jednak sprawił, że nawskroś przez żart ów, niby przez szkło powiększające, biedne matczyisko widziało przyszłość pomyślną syna. Na podstawie tego żartu pani Janowa najczęściej, jak mogła, wyprawiała Michasia do stryja i, gdy w Lipkowieczczynę odjeżdżał, sama czyniła przegląd bielizny, którą ze sobą zabierał, czy należycie wyprana i dobrze wyprasowana.

— Tak, siostró kochana, — powiadał pan Marcin — z żartu może się zrobić prawda.

— O, gdybyż to Pan Bóg dał! — odrzekła pani Janowa.

— Poto przyjechałem, ażeby Michasia z sobą na karnawał zabrać. Ten jest powód, dla którego bawiłem u braterstwa przez święta i przez Nowy Rok. Michaś nie może odmówić pojechania ze mną i zabawienia u mnie dłużej.

— Ach! bracie kochany.—Wdzięczność dozgonna!

— Ne każy hoc, poki ne pereskoczysz — odpowiedział na to pan Marcin sentencjonalnie. — Rzec jeszcze nie zrobiona, a chociażby i zrobiona została, to mi się wdzięczność nie należy żadna, bo przecie Michaś synowiec mój rodzony.

— Ale, czy się to robi?

— Zdaje się... Najważniejsza byłaby ta przeszkoda, że panna ma miljon, a kawaler zaledwie dziesiątą część tego mieć może. Usunąłem ją jednak sam w sumieniu mojem. Miljon ów wraz z panną, rozumie się, dostać się musi przecie do rąk komuś. Ma się dostać fircykowi jakiemu, jakiej gliście, jakiej gnidzie, jakiemu szerszeniowi, albo bałwanowi, jakich, dzięki salonom, guwernerom, garderobom i jarmarkom — produkuje się u nas dostatek, niechże lepiej dostanie się młodemu człowiekowi, dającemu rękojmię wszelkie, że zostanie człowiekiem i dobry z majątku użytek zrobić potrafi.

— Święte słowa brata kochanego! — wtrąciła matka.

— W ten sposób — ciągnął pan Marcin dalej — uspokoilem skrupuły sumienia własne, do czego przy czyniło się potężnie i to, przyznam się, siostrze, żem się przekonał, iż Michaś posiada nie samą tylko naukę, ale i zasady uczciwości, honoru, sumiennosci, że jest chłopakiem skromnym i w drugich siebie samego szanującym.

— Brat taki dobry!

— Nie, siostró kochana, przemawia przeze mnie

nie dobroć, ale obserwacja. Naszarpał się ja z ludźmi dosyć i znam ich nawylot; nie pochwalilibym też synowca, dlatego tylko, że synowiec. Niech mi siostra wierzy, iżbym się najpierwszy od Michasia odwrócił, gdybym jeno spostrzegł, iż jest stworzony na obraz i podobieństwo tych wszystkich synalów, na których widok serce się ścisza, którym rodzice nie zapomnieli dać życia, ale zapomnieli życie to skierować nie w próżnię absolutną. Nie jestem ja do Michasia uprzędzony bynajmniej. Jeżeli chcę mu dać w ręce środki wielkie, to dlatego tylko, że pewny jestem, iż z nich dobry użytek zrobi.

— Ale panna, bracie kochany — zareplikowała pani Janowa. — Czy się jej Michaś podobał?... czy podoba?

— O to właśnie chodzi. Dlatego to przyjechałem po niego.

— A rodzice?

— Hm... Rodzice, o ile ich wyrozumieć mogłem, zapatrują się na rzeczy mniej więcej tak, jak ja... — Oni dla Kolci pragnęliby na towarzysza dozgonnego człowieka pewnego. Majątek stawiają w cieniu, na pierwszym zaś planie pewność. I muszę siostrze powiedzieć, że Michaś na starych dobre zrobił wrażenie.

— A na pannie? — dopytywała się matka.

— Hm... — odpowiedział pan Marcin z uśmiechem. Ja nie wiem. Kto zbadła serce panięskie!... To tylko zareczyć mogę, że Kolcia czyli, jak ja ją nazywam, Kolka jest to dziewczę bardzo dobre, umyślnie stworzone na żonę dla człowieka uczciwego. Mnie trochę, widzi bratowa dobrodziejka, i ona obchodzi, nie dla stosunków sąsiedzkich, ale dlatego, że Pakościnińscy lepsi są, jak się wydają, i ja starego, pomimo że na wieprzach i pijawkach majątek zrobił, nie oddałbym za tych wszystkich razem wziętych karmazynów, których synowie ubiegają się o rękę jego córki.

— Niechże brat kochany — odezwała się pani Janowa — robi, jak uważa najlepiej.

— Otóż to — podchwycił pan Marcin. — Do tego

właśnie zmierzałem. O robienie nie chodzi. Owóż primo nie potrzeba, aby Michaś myślał, że się go forsuje. Zostawić go, niech sam szuka drogi do swojej niebogi, nie chciałbym bowiem ani dla niej, ani dla niego, iżby to być miało małżeństwo przez kogo innego, nie zaś przez nich samych zrobione. *Secundo* chciałbym, ażeby się nie domyślał, że ja po to przyjechał, ja bowiem odgrywam w tej sprawie rolę nie inną, tylko rolę miotlarza przemiatającego ścieżkę. *Tertio*, niech o tem wszystkiem nie wie Jan, bo on popsuć gotów. Zajdę Michasia z mańki i będzie musiał pojechać ze mną.

— Mój bracie kochany! — dziękowała pani Janowa. — Niech będzie po waszemu, zróbcie i niech wam Pan Bóg to wynagrodzi, że interesujecie się losem dziecka mego... Przychodzi mi jednak objecka jedna na myśl.

— Jaka?

— A też czasy terażniejsze! te wypadki! te widoki! te nadzieje!

— Hm! — zatarł pan Marcin dłonie. — Czasy, wypadki, widoki, nadzieje. Piękne rzeczy! piękne nic! Jak tylko liczymy na to, że ktoś za nas i dla nas zrobi, to nic z tego nie będzie.

— A Turcy-ż nie przyjdą?

— Czy ja wiem! Jeżeli przyjdą, to, jak przyjdą, tak pójdą. W każdym razie nie przeszkodzi to temu, ażeby Michaś pojechał ze mną. Od Dunaju do nas dalej trochę jak z Motylnicy na Lipkowieczczynę... Nim Turcy nadciągną, Michaś będzie miał czas powrócić do domu nie raz, a razy dziesięć.

Rozmowa ta ciągnęła się dalej jeszcze, treść jej jednak kręciła się wokoło tego, co powyżej powiedziane zostało.

Pozostawało panu Marcinowi zająć synowca z mańki, jak się wyraził... Uczynił to w sposób bardzo prosty.

— Dobrze mi tu pomiędzy wami... -- odezwał się

przy wieczerzy — ale, jak to powiadają, „wszędzie dobrze, a w domu najlepiej“.

— Stryjaszek przecie u nas na Trzech Króli zostanie... — tonem protestacji odparła któraś z panien.

— Ty wiesz, że ja do królów nabożeństwa wielkiego nie mam. Nie zostanę więc, a nie tylko sam nie zostanę, ale jeszcze i Michasia ze sobą zabiorę, ażeby się w królach nie rozmyślał.

— O to stryjaszek spokojny być może — odparł pan Michał.

— Ale ba... Żart jednak na stronę, godzi się, ażebyś ty młody mnie starego odprowadził... Pojedziesz... zobaczysz, co się dzieje u nas... zajrzysz do Zakajówki, tam się wielki świat i młodzi kwiat zbiera. W czasach, jak terazniejsze, młodemu nie wadzi rozpatrywanie się w świecie. Cóż ty na to, Janie?

Pan Jan nic przeciwko temu nie miał.

— A siostra dobrodziejka?

— Wolałabym, żeby brat kochany z nami święto Trzech Króli spędził a potem...

— Nie, z królami rzecz skończona... A ty, Michasiu?

— Jeżeli stryjaszek tego sobie życzy, to... najchętniej.

Wyrazy początkowe wypowiedział przewlekłe, wyraz zaś ostatni wymawiając, zająknął się.

Nie uszło to uwagi pana Marcina.

— Może ty sobie tego nie życzysz?

— I owszem, stryjaszku!... — podchwycił pan Michał...

— Może ty tu co masz, co cię więzi, chociażby jakie czarne albo modre oczy?

— Oo!

Wykrzyknik ten był niby protestacją, nie brzmiał jednak akcentem szczerości czystej. Coś mu brakowało, albo też czegoś w nim zanadto było. Pan Marcin nie zważał już na to.

— Wybierajże się — jedziemy jutro.

Wyjechali o piątej rano. Sanna była wyborna, po-

dróż przeto odbyła się, jak to powiadają, jak po maśle. Nocowali w L., następnie nocowali raz jeszcze, aż się dostali na Podole, o którym w poezji mówi się: „Niema kraju nad Podole!“ Mówiąc bez poezji, krainie tej przyznać należy wyższość nad wielu, bodaj czy nie nad wszystkimi dawnej Polski dzielnicami. Boć to tam łączą się w jedno dwie zalety: piękno i pożytek — rozmaitość, wytwarzająca widoki często czarujące, i żyzność gleby, wynagradzająca stokrotnie łożone około niej trudy. Są tu już i góry, i skały, i lasy, nie braknie na rozłogach, lecz oprawionych w ramy kunsztowne, zajmujące kraj widnokregu. Bliżej ku Dniestrowi zdarzają się okolice, przypominające Szwajcarję. Nasi atoli podróżni nie zapuszczali się tak daleko. Kresem drogi ich była ta część Podola, w której przeważa rozłogowość lasami poprzerastała i w której nad stawem obszernym leży wieś Grobliska, należąca w połowie do pana Marcina, w połowie do zięcia jego. Okolica od miasteczka Lipkowca nazywa się Lipkowieczczyzną. Stanowiła ona niegdyś klucz, będący własnością jednego z magnatów, lecz drogą ekswizji rozpadła się na majątków kilkadziesiąt.

Pan Marcin mieszkał po kawalersku. Wydawszy córkę, oddał jej meble i sprzęty wszystkie wytworniejsze i wykwinniejsze, sobie zaś sporządził umeblowanie, jak się wyrażał, domorosłe: proste stoły, proste stołki, sofy wymateracowane na twardo, komody i szafy robione przez stolarza z Lipkowca, łóżka bejcowane, na ścianach ryciny, wyobrażające wypadki z dziejów ojczystych, w ramach czarnych, w oknach zwykle futryny, książek sporo, dzienniki — o pismach ilustrowanych podówczas jeszcze ani się śniło nikomu, więc ich nie było. Pomimo jednak braku absolutnego wykwinu wszelkiego w domu tym czuć się dawał dostatek, wyrażający się czystością, ciepłem i powietrzem suchem a zdrowem: piece dobre, okna podwójne, zaopatrzone należycie, drzwi przymykające się szczelnie, w oknach *wasisdasy* do odnawiania powietrza, słowem, wygoda zastępowała zbytek sowności. W kance-

larji — i pan Marcin bowiem kancelarję posiadał — tak samo jak u pana Jna narzędzia służące do „smarowania“ maszyny gospodarskiej świeciły nieobecnością.

— Witajże mi na tem miejscu, panie Michale — przemówił stryj do synowca, rozebrawszy się z futra i berlaczy. — Jakże się czujesz po podróży?

— Niczego... Z chałupy, jaką jest buda stryjaszka, przeniosłem się do chałupy mieszkalnej, w której mi ciepło, dobrze i swobodnie.

— Używajże swobody... rozgość się jak u siebie, a mnie pozwól w gospodarstwie się rozpatrzyć... Dziś kolację zjemy u Pelci, a jutro... Co jutro?

— Szósty stycznia... Święto Trzech Króli.

— Prawda! — zawołał, jakby sobie co przypomniał. I z królów owych jeden, jeżeli się nie mylę, nazywał się Baltazar?...

Pan Michał dał odpowiedź potwierdzającą.

— Ot widzisz! Trzeba jechać na imieniny.

— Dokąd?...

— A do Pakościńskiego. Pańszczyzna prawdziwa! no!... Ale niema co... odbyć ją trzeba... Na wieki zapomniałem i byłbym sobie nie przypomniał, gdyby nie ty... Niema co, trzeba jechać. Pakościński był u mnie na świętego Marcina. Gotowa zwada, gdybym nie pojechał. Ale możeby się wymówić jako? tem naprzykład, że mam gościa?... hę?...

— Nie, stryjaszku! — perswadował pan Michał. — To zła wymówka. Przecież wiedzą wszyscy, że taki gość, jak ja, nie może stryjaszka zatrzymywać.

— W takim jednak razie musisz i ty jechać.

— Czemużbym jechać nie miał!...

— Dobrze więc. Zabawiajże się tu dziennikiem lub czem zechcesz, a ja obejdę zagrodę.

Wyszedł. Pan Michał zamiast wziąć się do dziennika lub do czego innego, począł po pokoju chodzić i chodząc, zatrzymywał się niekiedy przed oknami, studjując desenie, jakie na szybach mróz pokreślił.

Ej, nie desenie on studjował! Myśl jego nie do szyb

przystygała. Było jej tak jak w klatce ptakowi, który bije się o prątki, chcąc je połamać i wylecieć.

Czy klatką był dom stryja? Nie.

I w domu ojca pan Michał w tem samym znajdował się położeniu.

I bodaj, czy świat, pomimo że taki szeroki, nie był klatką dla niego!

Cóż bowiem! „W starym piecu — jak to powiadają — djabeł pali;“ w młodym zaś anioł ogień podkłada — ogień jednak ogniovi równy, tego samego potrzebuje ciepłika, ażeby płomieniem rozgorzał. Nic jeszcze nie wiemy o ogniach pana Michała. Podejrzujemy go wszakże. Bo i dlaczegoż, zamiast zabawiać się gazetą i dowiedzieć się, gdzie i jak Turcy Moskali potrzepali, zabawiał się chodzeniem i wpatrywaniem się w szyby?

Panie Michale! znamy się na tem.

Pan Marcin tymczasem gospodarstwo obchodził. Zabawił z pół godziny i wrócił.

— Cóż tam?... he?... co nowego?

— Nic, stryjaszku...

— Nie było bitwy jakiej?

— Nie-e — zająknął się pan Michał. Nie wiem...

— Toś do gazet nie zaglądał?

— Przyznam się stryjaszku... wolałem nogi rozprostowywać sobie...

— Nieciekawys, jak widzę... Mnie jednak korci... Zobaczymy...

Rozdarł kopert kilka. W czasach owych Moskale nie pozwalali gazet odbierać inaczej jak w kopertach, od których opłacało się porto listowe, i dlatego nie każdy mógł sobie na zbytek ten pozwalać. Rozdarł kopert kilka, przebiegał oczami numery i odrzucał je synowcowi, który także, dla przyzwoitości może, wziął się do czytania dzienników.

— Nowego niewiele — odezwał się pan Marcin po chwili. — Interwencja wciąż ślimaczy...

— Może jednak i do wojny przyjdzie — rzekł pan Michał.

— Wojnaż jest...

— Ja mówię o państwach zachodnich.

— Być może, będzie się więc i wojna ślimaczyła...

— O! stryjaszku!... Gdyby Francja... gdyby Napoleon...

— Wierzysz w Napoleona?

— To jest... to... — bąkał pan Michał. — Czy wierzę? Tego nie powiem absolutnie. Gdyby jednak wojnę rozpoczął, to własny jego interes nakazałby mu prowadzić ją energicznie i naprawić błędy, jakie stryj jego we względzie Polski popełnił... Tak i tatko utrzymuje...

— To znaczy: sprawić Polskę i podać ją nam na półmisku...

— No, nie tak, ale przecie...

— Polskę my tylko sami, rękami naszymi własnymi, głowami naszymi własnymi, naszą własną pracą sprawić sobie możemy — odrzekł pan Marcin dobitnie.

— Podzielał stryjaszka zdanie i dlatego też przy okazji każdej powtarzam, że trzeba do powstania się sposobić, pańszczyznę znieść i powstać, robiąc w ten sposób dywersję na tyłach Moskali...

— I cóż? — zapytał pan Marcin tonem ciekawości natężonej.

— Odpowiadają mi, że za młody, że mi się w głowie pali, że czekać potrzeba, aż Turcy przyjdą...

— A cóżbyś powiedział na to ty, gdy się dowiesz, że przed pańszczyzny zniesieniem i przed powstaniem poznać pierwej potrzeba, co to Polska jest?

— Stryjaszku! — zawołał pan Michał tonem wyrzutu.

— A tak, mój Michasiu... Poznanie jest warunkiem najpierwszym i najważniejszym, bez którego powstanie byłoby mieczem w rękach szalonego...

— Czyż my Polski nie znamy?

— Znamy ją, jaka była; nie znamy jej, jaka być powinna... A nie była ona taka, jaka być powinna, kiedy upadła.

— Kwestja społeczna — podchwycił pan Michał.—

Uwolnienie i uwłaszczenie włościan... zostanie połączone z rewolucją.

— Tak, dobrze to wszystko... dobrze i pięknie. W Galicji się to już zrobiło, ale że się zrobiło bez świadomości tego, co Polska jest, daj, Boże (tu pan Marcin oczy do góry wznosił), ażeby tam, za lat jakich kilka, Polacy sami Polski w Austryję nie zmienili!...

— Stryjaszku! stryjaszku! — w głosie pana Michała brzmiało coś nakształt uczucia zawodu doznanego. — Nam przecież robić coś potrzeba!

— O! i mnóstwo... przedewszystkiem oświecać się, a wraz z tem przykładać ucho do ziemi i słuchać tych prądów, jakie w niej huczą... no, i iść z prądami, nie zaś przeciwko prądom. Ludzkość się przeobraża, mój Michasiu; Polska nie stoi poza ludzkością, ale w niej, w jej łonie, w jej wnętrzu i kto wie, czy nie jest, jeżeli nie najważniejszym, to z pewnością jednym z najważniejszych węzłów, od którego rozwiązania zależy rozwiązanie bytu ludzkości... Nie dość przeto rewolucji społecznej dokonać i powstanie zrobić. Jest to zewnętrzna sprawa naszej forma. Potrzeba przytem wiedzieć, co to Polska.

VIII.

Powiedzenie pana Marcina, przytoczone przy samym końcu rozdziału poprzedniego, jest niejako uzupełnieniem obrazu stanu umysłowego szlachty w krajach zabranych. Znajdowało się tam wszystko. Pierwiastki pojęć tkwiły w głowach pojedynczych, stojąc w odosobnieniu. Zarodki stronnictw politycznych, społecznych, religijnych kiełkowały, nie wychodząc ze stanu kiełkowania. Patrjotyzm przychodził i odchodził wedle tego, jak stała chorągiewka; widzieliśmy szlachtę garnącą się pod skrzydła opieki moskiewskiej; widzieliśmy ją wpogotowiu sztyftowania szwadronów dla pana Jana. Sprzeczności istniały obok siebie w zgo-

dzie jak najprzykładniejszej. Dozór moskiewski sprawował je do mianownika jednakowego niewoli.

Bawić się Moskale nie zabraniali. Tolerowali zjazy, których powodem były imieniny, chrzciny, wesela i inne tym podobne okazje.

Zjechało się więc do Zakajówki gości huk. Ściągnęła się Lipkowiezczyzna cała, a było także i osób kilka z okolic dalszych nieco — osób w postaci kawalerów na ożenieniu, względem których miljon stanowił magnes, oprawiony w gościnność gospodarstwa domu iście staropolską.

W domu państwa Pakościńskich praktykowano gościnność wedle reguły następującej: „Jedz, pij i pasa popuszczaj“.

Dom był to dwór obszerny, szeroko rozrzucony i bynajmniej nazewnętrz nie pański. Szerokość pochodziła od przybudowań, dokonywanych w kierunkach rozmaitych, wzdłuż i wszerz, z boku i z tyłu. Przybudowywania łączyły się z przebudowywaniami. Skończyło się ostatecznie na tem, że cały dworek pierwotny zmienił się w salon jeden duży, do którego przylegał pokój bawialny i czepiało się pokojów i pokojków, siołek i korytarzyków kilkanaście... Wnętrze dworu przedstawiało istny labirynt, umeblowany bogato, z przepychem nawet, ale bez gustu. Ze sprzętu niemal każdego przeglądało parwenjuszostwo. Tyczyło się to jednak sprzętów tylko, bo, co do gospodarstwa, pana Baltazara i pani Domiceli z Bąkalskich Pakościńskiej, niesposób wyobrazić sobie nic dobroduszniejszego, jak tę ludzi parę, tytułowanych przez sługi, oficjalistów i Żydów jegomością i jejmością.

Jegomość był pękaty sobie: czoło niskie, zarost gęsty, oczki małe, twarz czerwona i wiecznie uśmiechnięta; jejmość dobrze otyła, poczuwała się do godności własnej i odgrywała rolę matrony poważnej, z czem nie było jej bardzo do twarzy, przez ową bowiem przybraną powagę przebijała się dobroć serca kobieciny prostej.

Majątek posiadali wielki, do którego doszli dorob-

niem, zaczynając, jak to mówią, od niczego. Ojciec panna Baltazara ekonomował i do dzierżawki się dochrapał. Dzierżawkę tę zostawił w spadku synowi, który się uczył trochę w Humanii u bazylianów i — czy go bazylijanie tak wyćwiczyli, czyli też wrodzone rozwinięły się w nim zdolności — umiał bez krzywdy ludzkiej robić grosze, jakoby miał ich fabrykę u siebie. Szczęściło się mu też. Zasiał naprzykład za wcześnie, pokazało się, że właśnie rok był taki, iż wcześnie siał było potrzeba. Zasiał za późno — toż samo. Wziął jakiś podrad, trafił niezawodnie tak dobrze, iż zarobił w trójnasób. Czego się jeno dotknął, wszystko się pod ręką jego mnożyło i na gotówkę przemieniało, tak że pieniądze potokiem niejako do szkatuły mu płynęły. Zakajówka była to jego trzecia czy czwarta dzierżawa, — dusz siedemset, pola ornego po osiemset mórg w każdą rylę, łąki, las, stan rybny, gorzelnia, młyny, — tę po wytrzymaniu jej przez lat dwanaście kupił, płacąc za nią monetą brzęczącą. — W Zakajówce to odkrył źródło dochodów na wieprzach i pijawkach i naraził się z tej racji na obmowę ludzką. Odzywano się o tem z przekazem. Powiadano, że panna wniesie posag w pościach i słoikach, wiedziano jednak doskonale, iż spoczywa w pecach, niosących procent po siedem od sta i mających być wypłaconemi natychmiast po ślubie szczęśliwcowi, co upecowaną rączkę Kolci posiadzie, nie licząc w to sperandy po śmierci rodziców.

A Kolcia? — cóż to było za zac?

Na zaletę Kolci jedno tylko przytoczę, to mianowicie, że się ani domyślała, jak wysoką miljon w gotówce wartość jej nadawał. Nie wiedziała o tem wcale. Wydawało się jej to rzeczą naturalną. Nie miała siebie ani trochę za lepszą od tych panien, co nie posiadały ani grosza jednego, i była naturalną, prostą szlachecką dziewczyną, nalewającą kawę z rana, posługującą do herbaty wieczorem, chodzącą z kluczykami, zwodzącą sprzeczki z kucharzem o masła łyżkę, szyjącą na krosienkach i na tamborku, posiadającą sztukę cerowa-

nia i prasowania, zalewającą się łzami rzewnymi nad „Błądą dziewczyną“ i umiejącą napamięć całego prawie Mickiewicza, dzięki panu Marcinowi, który służył jej za dostarczyciela książek do czytania. Co się wdzięków tyczy, była podobna trochę do tatka dobrodzieja, wziętego *en beau*. Wzrost niewielki, rumieniec świeży, figurka kształtna, oczęta figlarne, warkocz bujny, usta zgrabne, lat siedemnaście, słowem, wszystko w porządku — bierz jeno i przed ołtarz prowadź.

„Prowadź?“ — powiedziec łatwo.

Panna Kolcia była to różyczka z kolcami i ostremi. O stanie jej serduszka trudno powiedziec coś wyraźnego, chyba to jedno, że nie spało, a więc znajdowało się w stanie czuwania i szyldwachowało z bronią na ramieniu, wołając na skradających się konkurentów:

— Stój! kto idzie?

Konkurent odpowiadał i opowiadał cudne sobie rzeczy, a ono — panny Kolci serduszko — mu na to:

— *Au large!*...

Czemuż to ono tak czyniło? — kto odgadnie?

Czy było to serduszko lutnią, czekającą na odzew drugiej lutni, ażeby zgłoskę swoją z jej zgłoską w harmonijnem ożenić brzmieniu? — Może.

Koniec końcem panna Kolcia, acz dziewczyna prosta i naturalna, prosto i naturalnie odpalała studjowane zabiegi konkurentów jednego po drugim, pomimo że znajdowali się pomiędzy nimi i tacy, co ją wabili ten mitrą, ów koroną. Była tak dalece prosta, że tego nie rozumiała. Serduszko jej wciąż czuwało z bronią na ramieniu i szyldwachowało.

Aż zjawił się pan Michał.

Serduszko Kolci nie zawołało: „Stój! kto idzie?“.

Miałożby to znaczyć, że panu Michałowi wolno było wejść?

Widywali się. Trzy razy w ciągu roku pan Michał przyjeżdżał do Groblisk i kilkakrotnie zaglądał do Zakajówki. I nie. Kolci się jeno śmiech pusty zbierał, gdy przy młodym Zborzeskim przyjechał, który z jej formalnych konkurentów. Konkurent, ktoby on nie był,

wydawał się jej wówczas taki jakiś błaznowaty, że wytrzymać nie mogła, z salonu uciekała, do pawilonu swego się chroniła i tam dalejże:

— Chi chi chi... cha cha cha...

Aż się za serce chwyciła.

Nie znajdowałem w żadnym z podręczników romansowych, ażeby miłość w ten objawiać się miała sposób. To też nie śmiem objawu tego na karb miłości kłaść. Czy jedna to dziewczyna śmieszkim jest pu-
stym!

Notuję to tylko, że panna Kolcia konkurentów odpałała jednego po drugim i odpaliwszy ich ilość nie małą, miała jeszcze, gdy w 1854 imieniny ojcowskie nadeszły, do odpalenia trzech: jednego Podolaka z pod Kamieńca, drugiego Wołyniaka, trzeciego zaś (patrzcie, co to miljon znaczy!) aż z za kordonu, Galicjanina, naturalnie hrabiego jakiegoś — ostatni wystąpił w kontuszu z wylotami.

Gości było huk. Zjeżdżali się od rana. Panowie nasi, którzy mieli małą do przebycia milkę, przyjechali o zmroku i zastali już salony napelnione. Pająki, kandelabry i liczne świeczniki rozlewały potoki światła. W dalszych pokojach porozkładane stoliki karciane oczekiwały na amatorów wista i preferansa. Pokój bawialny zajmowały niewiasty poważne, mamy pańien tworzących girlandę, mieniącą się barwami i wdziękami. Młódź snuła się w ilości mnogiej, a wśród niej odznaczał się i uwagę na siebie zwracał syn Czerwonej Rusi, w kontuszu i butach polskich, zdobny w wąż zawieszisty i przechadzający się z konfederatką białą pod pachą. Przy drzwiach wchodowych, odgrudzeni od publiczności balustradą zaimprovizowaną, Żydzi w liczbie siedmiu, sprowadzeni aż z Szarogrodu, stroili instrumenty, pomiędzy którymi figurowały i cymbały.

Syn Czerwonej Rusi odznaczał się i uwagę na siebie zwracał. Przy kontuszu jego biednie wyglądały fra-ki Podolaków, Wołyniaków i jedynego Ukraińca, którym był młody Zborzeski. Młodzież miejscowa z zazdrością spoglądała na szczęśliwca, osłoniętego powagą

paszportu. Niektórym atoli osłona ta niedostateczna się wydawała, ostrzegali więc kontuszowca:

— Panie dobrodzieju... Moskale...

— Ph! — odpowiadał ze wzgardliwym ramion rzucem. — Niechby mnie zaczepili!... Napiszę niby słówko do namiestnika i...

Wiedziano, że w Galicji namiestnikiem jest rodak, i szeptano sobie, że ów kontuszowiec jest bratankiem ciotecznym, czy też wnukiem wujecznym rodaka owego.

Panny oczami go ścigały. On się pawił. Powagi pełen krążył niby bożek z Olimpu wśród śmiertelników, otaczając się obłokami zadumy. Raczył rzucić słówko temu, spojrzeć na tego lub na tę, raczył zatrzymać się przed malowidłem jakim i oczy przymrużyć, raczył głową od czasu do czasu wstrząsnąć lub węs palcami w paljowych rękawiczkach musnąć, raczył wkońcu przysiąść się przy pannie Kolci, ubranej biało i wyglądającej rozkosznie.

Raczył przysiąść się i chciał rozmowę zawiązać. Chciał, jak się zdaje, coś niezwykłego powiedzieć, odchrząknął bowiem kilka razy, zasłaniając usta palcami, zanim odezwał się:

— Czy pani *niby* lubi tańczyć?

— Dosyć... — odrzekła panienka.

— Ciekawym, kto będzie *niby fortancerem*...

— Nie wiem...

Nie wiedziała, o co kontuszowcowi chodzi.

— Bo u nas w Galicji, we Lwowie naprzykład u namiestnika *niby*, na balach, gdzie ja *niby jezdem*, to ja *fortanceruję*...

Panienka na to nic.

Kontuszowiec pomilczał chwilkę, odchrząknął razy parę i znów zaczął:

— Przecie *cikawy* *niby jezdem*, co to mnie tak wszyscy *niby fiksują*?...

Na to do odpowiedzenia nie było nic. Kolcia zamyśliła się nad znaczeniem czasownika „fiksować“.

— Ja *sy* myślę, że to chyba buty moje takie *niby* ciekawe...

I zaśmiał się z konceptu własnego.

Zaśmiała się i panna Kolcia.

On na nią spojrział.

Ci, co z boku patrzyli, myśleć sobie musieli, że się oni bawią rozmową i radzi jedno drugiemu.

Podolak i Wołyniak, współubiegający się o rękę panny, ręce zaciskali i brwi marszczyli.

— Zachwycił postawą, zachwycił strojem, zachwyca urokiem rozmowy — takie myśli czarne po głowach im się snuły.

W chwili tej przed panną Kolcią stanął nasz Ukraińiec.

Podniosła oczy, spojrziała, zcicha krzyknęła i zapłoniła się.

Pan Michał ukłon złożył i odszedł.

Ona go wzrokiem odprowadziła, aż znikł w tłumie gości.

— Co to *niby* za jeden? — zapytał kontuszowiec z akcentem lekceważenia.

— Pan Michał... — odrzekła panienka, uczuwszy się dotknięta tonem zapytania i zapominając do imienia nazwisko dodać.

— Ten *niby* pan Michał *śnig* wniósł na butach... Czy *pichotą* *niby* przyszedł?

— Pan takie ma bystre oko... — odpowiedziała Kolcia z zacięciem złego humoru.

— *Ta* *pewnie*... Po czymże pani bystrość oka mojego *niby* poznała?

— Po tem, że pan widzi, kto obserwuje buty pańskie i co inni na butach przynoszą...

— Bo to... bo tego... bo hm... *niby* to... — chciał dowcipem jakimś odciąć, ale mu konceptu zabrakło.

Szczęściem dla niego muzyka się odezwała. Poskoczyła młodzież do dam.

— Proszę panią! Zamawiam panią! Służę pani! — brzmiało na wsze strony.

Kontuszowiec podał reke nannie Fakościńskiej.

Rozpoczęły się tańce.

Kadryle, walce, polki, mazury poszły zwykłą koleją. Muzyka szarogrodzka grała wybornie. Cymbalista zwłaszcza dodawał zacięcia, które do szpiku przejmowało i aż niejako podnosiło. Ochoczość potęgowała się i doszła kulminacyjnego punktu swego, gdy po dwóch tańcach, które niby za preludjum służyły, rzucano się do mazura.

Posiadamy tańce narodowe, które uzyskały prawo obywatelstwa wszechludzkościowego: polonez i mazur — obadwa rycerskie. Polonez jest to marsz, pochód; żona, kochanka wyprowadza wojownika; idą, zatrzymują się; pora rozstać się — figury taneczne wyobrazają pożegnania, które się kończą i znów się rozpoczynają. Żegnają się i znów dalej idą, przedłużając w nieskończoność chwile ostatnie pobytu razem. Wojownik klęka, dłonie składa, miłość wieczną zaprzysięga i zaklina: „wróć droga!“ Ona idzie dalej jeszcze, choć troszeczkę. Z mazurem inaczej. Już to nie pochód, ale atak. Sama muzyka jest jakby napastliwa, zwołuje do szeregu, a z szeregu wypadają jeden po drugim harcownicy i rzucają się naprzód. Wypadają, nie samotnie jednak — każdy z kochanką, gotową podzielać z nim wszystko. On o nią i nie troszczy się bardzo. Przyczepiła się — cóż z nią robić! Ktoś ją odbija — mniejsza o to!

Mazura w Polsce całej tańczą najlepiej w Galicji. Stanowi on, rzec można, galicyjską specjalność, w której kontuszowiec był doskonałością skończoną... Od pierwszego wystąpienia zwrócił na siebie uwagę powszechną.

— Oto mazur!

Słowa te z ust do ust podawano. Poważne panie opuściły fotele i kanapy w pokoju bawialnym; poważni panowie odbiegli wistów i preferansików; wzdłuż ścian sali tanecznej sformowała się galerja liczna widzów, podziwiających Galicjanina.

Ależ bo i tańczył.

Co za ruchy! Co za zwroty! Co za hołubce! Jak tancerkę prowadził! Jak sam szedł!

Zaczął z zacięciem takim, jakby zamierzał się mur głową rozbijać. Nachylał się, następnie się wyprostowywał, głowę podnosił, okiem powodził na zakręcie wydawał okrzyk:

— Hop ha!

A rogatywkę niósł pod pachą. Rogatywka służyła mu do dawania sygnałów niby. Podnosił ją niekiedy i wstrząsał w powietrzu, w ostatniem zaś okręceniu przysłał ją niejako tancerkę. Czynił to wszystko z takim wdziękiem i z taką zarazem zamaszystością istic rycerską, że nie można było napatrzeć się dosyć.

Tańczył z panną Pakościńską. Figura wypadła wybieranego. Tancerka obejrzała się, oczami przez chwilę w tłumie szukała i podała rękę panu Michałowi.

Ukrainiec się wysunął. Ale gdzie jemu do tamtego! Nie umywał się frak do kontusza; nie umywał się w mazurze Ukrainiec do Galicjanina.

— Hop ha! — wykrzyknął ostatni jakby dla dodania towarzyszewi animuszu.

Napróżno jednak.

Michał odtańczył swoje i, okręcając tancerkę, usłyszał wymówione przez nią wyrazy:

— Proszę zamówić mnie do kadryla.

— Pani!

— Bardzo proszę!

Sadzając ją, wtedy przemówił do niej:

— Zamawiam panią do kadryla.

Panienska gestem przyzwalającym odpowiedziała.

Pan Michał cofnął się i w tłum się wtasował, niby karta w talję.

Młodzieniec nasz zgwałcony został. Nie tańczył bowiem. Czemu? Dlatego może, że tancerzy było poddostatkiem, tak że na jedną pannę po dwóch przypadało. Przyczyna ta wpływała zapewne, ale jako przyczyna uwalniająca od obowiązku nie zaś jako pobudka. Ostatnia tkwiła w usposobieniu, w humorze, w fanta-

zji zresztą. Widok strojów, wesela, lic pięknych Podolanek, gromady młodzieży rozdrażnił go. Przyczepił się naprzód do młodzieży i pretensję swoją do niej w oryginalny wyraził sposób. Czemu ona nie w obozie? Następnie gniewał się sam na siebie i oryginalny był gniewu tego powód. Czemu nie jest Demostenem? Snuła mu się po głowie mowa, jakaby do rzeszy mógł mieć, a tematem jej były słowa przez stryja powiedziane. Inni tańczyli; on mowę sobie układał i gniewał się, iż wygłosić jej nie może, i dlatego może pragnąłby znajdować się w tej chwili nie na posadzkach pana Pałkościńskiego, ale o mil stąd dwadzieścia, w śniegu po kolana, przy pewnym przełazie, naprzeciwko pewnego okienka, w którym pokazywałaby mu się pewna sylwetka. Dlatego to nie tańczył. Został jednak zmuszony do zamówienia tancerki i stanąć musiał do kadryla.

Kadryl, jak wiadomo, jest to taniec do gawędki najspodobniejszy.

— Czego pan taki? — zaczęła go panna.

— Jaki?...

— Albo ja wiem!... smutny może?...

Zapytanie to zabrzmiało tym tonem, co to się w serce wkłada.

Michał spojrział, zdziwiony trochę, pannie Pałkościńskiej w oczy. Oczy jej współczuciem świeciły. — Odpowiedział więc półgłosem:

— Może...

Kolej wystąpienia przyszła. Wstali, pokręcili się i znów usiedli.

— Niechże pan smutny nie będzie, bo i ja będę smutna.

— Czyż pani ma powód?

— A pan?

— Może mam...

— To i ja mam... ten sam, co pan..

— Panno Kornelo! co pani mówi!...

— Płakać mi się chce...

Pan Michał spojrział pannie Korneli w oczy. —
W oczach jej łzy błyszczały.

Kolej wystąpienia nadeszła. Wstali, pokręcili się
i znów usiedli.

— Niechże mnie pani o smutek nie posądza!

— Czemuż się pan do niego przyznawał?

— Dlatego, żeby nie tłumaczyć się długo.

— Chciał pan zbyć lada czem dziewczynę na-
trętą...

— Przypisuje mi pani chęci, które w myśli mojej
nie powstały.

— Pan się wykręca...

Znów kolej taneczna rozmowę przerwała.

— Czy pan długo w stronach naszych zabawi?

— Tygodni parę.

— Czy pan będzie... grzeczniejszy jak dawniej?

— A to!... — zawołał pan Michał zdziwiony. —

Pani, czem ja uchybił i komu?

— Uchybił pan mieszkańcom Zakajówki tem, żeś
ich tak rzadko, tak bardzo rzadko odwiedzał.

— Nie mogę, jak tylko pani za pretensję tę podzię-
kować...

— To nie dosyć...

— Cóż więcej?

— Starać się wynagrodzić i bywać... bywać... by-
wać jak najczęściej.

Wyrazy ostatnie mówiła, idąc do figury ostatniej
kadryla.

Kiedy się kadryl skończył i tancerz ukłonem tan-
cerkę zęgnął, jeszcze się odezwała:

— Proszę... bardzo proszę...

Pan Michał zrobił gest pytający.

— Przyjechać jak najprędzej, choćby jutro... nie!...
pojutrze... Bardzo proszę...

Pan Michał się skłonił.

— Uczyni pan prośbie mojej zadość?

— Spełnię rozkaz z przyjemnością prawdziwą.

— Doprawdy? — zawołała panienska.

W zapytaniu tem zabrzmiał ton radości takiej na-

iwnej, że Michał się od zadziwienia powstrzymać nie mógł i okazał je niechęć.

Cały ów bal na imieniny pana Baltazara opisywaliśmy dla tej jednej rozmowy, z której zmiarkować łatwo, w jakim stanie znajdowała się sprawa sercowa panny Korneli. Panna kochała młodego Zborzeskiego i kochała go z całą naiwnością młodego serca, nierozumiejącego niepodziału uczuć, kochała jak siostra brata, ale brata, któremu coś przeszkadza być z nią razem. Marzyła o tem „razem“ i pragnęła owo „coś“ usunąć — usunąć je jak najdalej i na wieki, lękając się, ażeby ktoś usunięciu temu nie przeszkodził. „Coś“ i „ktoś“ grały w rojeniach jej i w miłości role ogromnie ważne. Ostatnie wiadome było, występując pod postacią konkurentów; tamto zaś stawało w postaci tajemniczej, zagadkowej, trochę nawet przerażającej dla kobiety, co przykrości w życiu nie zaznała żadnej a więcej nad lat siedemnaście wieku nie liczyła jeszcze.

— A nuż?... a nuż?... — powiadała sobie.

I na płacz się jej zbierało dlatego, że na zapytanie to odpowiedzi znaleźć nie umiała.

— W każdym razie niedobry jest ten pan Michał... Był u nas... ileż to razy?... sześć wszyskiem wszyskiego i jak pojechał, tak zginął... A bywając, jakże bywał?... Wpadał niby po ogień... Niedobry!... Niedobry!...

Zamyślała o ukaraniu młodego człowieka dotkliwem bardzo. Układała sobie, jak to, gdy on kiedy przyjedzie (czego pewna była), ona dąsać się będzie. Nawet przed zwierciadłem miny stroiła i z min tych sama serdecznie się śmiała. Gdy jednak zjawił się przed nią nagle, w chwili, kiedy znaczenie czasownika „fiksować“ odgadywała, krzyknęła. Następnie przypatrywała się mu zdaleka i znalazła go jakimś zmienionym, co jej odjęło ochotę dąsania się.

— Co mu jest?

Pytanie to w myśli jej utkwilo.

A tu Galicjanin nadskakuje! — Galicjanin w kon-

tuszu, z konfederatką pod pachą, w butach polskich, hrabia jakiś, jakiś krewniak Gołuchowskiego z miną od stu tysięcy djabłów, tańczący mazura, jak żaden baletnik tańczyłby nie potrafił, i ścigający aplauzy i podziw powszechny. Kiedy tańczyła z nim mazura, słyszała — może się jej to tak tylko wydało — poszept dokoła:

— Co za para!...

Słowa te przeraziły ją.

— Czy nie dostały się one, broń, Boże, do uszów pana Michała!... Co on sobie myśli!... Ach ja nieszczęśliwa!...

Wybrała więc pana Michała do figury i wymogła, wyprosiła u niego przrzeczenie, że przyjedzie nie później jak pojutrze.

— Powiem mu — postanowiła sobie.

Postanowienie to wzmagało się w ciągu balu, nad ranem zaś stało się tak silne, że gotowa była wykonać je z dodatkiem jakim małym. Bo też Ukrainiec tak sposępniał, że się jej wydawało, iż go chyba ciężki jakiś ugniata smutek.

Bal skończył się nad ranem. Ci, co z dalszych przybyli stron, pozostawali na noc, sąsiedzi bliżsi rozjeżdżali się. Nastąpiły pożegnania. U nas nie po angielsku. Gość nie wymyka się chyłkiem. Każdy i każda, opuszczając gościnne podwoje, musieli panowie sobie a panie sobie wyściskać się, wycałować i nagadać. Zkolei przeto i panowie Zborzescy, stryj i synowiec, załatwiwszy się z panem Baltazarem i panią Domicelą, przystąpili do panny Korneli, zmęczonej, rozgorączkowanej i mającej kontuszowca przy boku.

— Pannie Koleczce atencje nasze! — odezwał się pan Marcin, kłaniając się szarmancko. — Życzę spania dobrego i snów przyjemnych...

Pan Michał w milczeniu ukłón składał.

— Do pojutrze... — rzekła panienska.

Pan Marcin wziął te słowa w zastosowaniu do życzenia swego.

— Jakto! — zawołał — zamierza pani do pojutra
snu się oddawać?... Winszuję!...

— Ach, nie! — odparła panna. Zamierzam do po-
jutrza tylko czekać na pana Michała.

— Tego znów nie rozumiem — odrzekł pan Mar-
cin tonem powagi żartobliwej. — Czekać?... do poju-
trza tylko?... hm?... Michale, tłumacz się...

— Ja wytłumaczę — podchwyciła panna Korne-
la. — Uprosiłam pana Michała, ażeby przyjechał.

— To co innego!... A ja myślałem... Bóg wie co...
Chwała-ż Bogu, że się na tem skończyło... I ty przy-
rzekłeś? — zapytał, zwracając się do synowca.

— Najmilej mi będzie uczynić zadość życzeniu
panny Korneli — odpowiedział Michał tonem nieco
oficjalnym.

— Panie Michale — podchwyciła panna tonem
serdeczności uprzejmej, podając Ukraińcowi naszemu
rączkę. Czekać będę na pana z u... z u... z upragnie-
niem...

Synowiec i stryj odeszli. Panna Kolcia pozostała
z kontuszowcem. Ten odprowadził Zborzeskich spoj-
rzeniem protekcyjnalnem; począł następnie odchrzą-
kiwać“, zasłaniając usta palcami, i odezwał się, gła-
dząc wąż:

— Ten pan Michał interesuje panią *niby*, jak miar-
kuje...

— Bardzo!... bardzo!... — odpowiedziała panienka.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

BIBLIOTEKA
Wzrost. Sport. Ośw. „ORKAN”

WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA — TOM XIV

T. T. JEŻ

HRYHOR

S E R D E C Z N Y

Z POWSTANIA CHŁOPSKIEGO NA UKRAINIE W 1856r.

CZĘŚĆ II



BIBLIOTEKA
Wzrost. Sport. Ośw. „ORKAN”

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

090755/14/2

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

IX.

Sprawy romansowe i sprawy polityczne tak się w powieści naszej jednoczą i płaczą, że nie możemy mówić o jednych, nie mówiąc o drugich. O tych drugich jednak, jak na ten raz niewiele mamy do powiedzenia. Ślimaczyło się — że użyjemy malowniczego pana Marcina wyrażenia — na polu zabiegów dyplomatycznych; ślimaczyło się na polu zapasów wojennych; wyślimaczyła się wreszcie zbrojna interwencja mocarstw zachodnich, sprzymierzonych z Turcją; wystąpiły przeciwko Moskwie Anglja i Francja — owa Francja, na którą liczyliśmy od czasów Ludwika XV, z owym na czele swoim Napoleonem, którego spowiedź stryja na skale świętej Heleny czyniła niejako pomazańcem zbawienia Polski. Turcy chociaż nie śpieszyli się z pojeniem koni w Horyniu, ale szli; Francuzi szli.

— Cierpliwości tylko trochę! — wołali mężowie stanu w krajach zabranych.

— W Turcji formują się Kozacy pod dowództwem Sadyka-paszy...

— Cóż to za jeden? czy Polak?

— Ataman Czajka — odpowiadano pod wielkim sekretem.

— Któż to taki?

— Michał Czajkowski z Haleczyńca... autor Anny, Owruczanina, Wernyhory.

— Jezusie Nazareński!... A toć ja go znam! — powiedział ledwie że nie każdy i ledwie że nie każdy przyznawał się do kuzynostwa w tym atamanem żartobliwej pamięci.

Niektórzy z tych, co znali go bliżej, utrzymywali, że on Polski, jeżeli nie wywalczy, to wyłże.

Tak więc czy owak, zbawienia pewność była. Chodziło jeszcze o cierpliwość, o wyczekiwanie w spokoju takim, żeby się Moskale nie domyślali niczego. Było to rzeczą nie trudną. Czegóż się domyślać mieli!...

Wyczekiwano przeto, gadano, rozumowano, kreślono plany, wytykano etapy, spoglądano tęsknem okiem ku stronie Dunaju, przez który w mniemaniu powszechnem prowadziła droga wojenna, i zdziwiono się niepomału, dowiedziawszy się, że droga owa obrócona została nie przez Dunaj, Prut i Dniestr, ale na Sewastopol.

— Powarjowali! — był powszechny pomiędzy szlachtą głos. — Spytaliby chłopca pierwszego lepszego.

Pan Marcin gorzko i złośliwie zarazem uśmiechnął się, gdy o wyładowaniu wojsk sprzymierzonych w Krymie wyczytał.

— Widzisz — rzekł do synowca — *kudy naszi!... At!...*

I ręką machnął.

Panu Michałowi oczy zamigotały blaskiem nadziei zawiedzionej. Miał bowiem nadzieję. Liczył na Napoleona, nie dlatego, że był stryja swego synowcem, a dlatego, że nie rozumiał, ażeby wojna jaka przedsiębrana być miała bez postanowienia pokonania przeciwnika tak, iżby ten odnowić jej nie mógł. Pomimo że uniwersytet skończył, nie rozumiał wojen konwensansowych i przytem nie umiał się wyzwolić z pod wpływu opinji ojca napoleonisty, który był bonapartystą, sam nie wiedząc o tem. Zmieszała go więc wiadomość o wyładowaniu w Krymie, lecz nadziei mu nie odjęła jeszcze. Tak bo i to przykro z nią się rozstawać!

— Nie, stryjaszku, — odparł — nie można z tego stanowczych wyciągać wniosków...

— Nie utrzymuję czego innego...

— Nie jesteśmy strategami, trudno więc nam orzekać we względzie wojennym...

— Tak... Możemy jednak orzekać o sobie i powiedzieć sobie tak: jeżeli strategia wzbronila armjom sprzymierzonym przyjść do nas drogą najprostszą i najkrótszą, czy pozwoli im przyjść drogą krzywą i najdłuższą?

— Najdłuższą?

— Gdzieżbyś dłuższą wynalazł! chyba przez górę Ararat, przez wąwozy Elbrusa.

Michał nic na to nie odpowiadał.

— W każdym razie nim przyjdą, upłynie jeszcze wody niemało i ty śpieszyć się do domu nie masz czego.

— Za długo u stryjaszka bawię.

— I cóż ci to szkodzi! Nie próżnujesz przecie.

Dla objaśnienia czytelnika powiedziec winniśmy, że tak przez rok pobytu w domu, jak w czasie bawienia u stryja, pan Michał nie wychodził ze studjów, do których uniwersytet go przysposobił, dopełniając ich czytaniem dzieł prawników, do czego w uniwersytecie i czasu nie miał. Czytał i pisał dużo — pracował nad sobą. Miał więc stryj rację, powiadając mu, że nie próżnuje. Racji tej pan Michał zaprzeczyć nie mógł.

— Mnie z tobą dobrze—ciągnął pan Marcin.—Jeżeli zatem tobie dobrze ze mną, zabaw jeszcze tyle, ażebyś do roku dociągnął, po roku zaś pojedziemy do Motylnicy razem, a z Motylnicy do Kijowa na kontrakty. Do czasu onego coś się rozstrzygnie. Będziemy wiedzieli może, czy Francuzi przyjdą czy nie, i śmieiej coś przedsięweźmiemy. Czy zgoda?

— Stryjaszku!

— Powiedz. Bo jeżeli tobie ze mną źle, okno wnet otwieram i krzyczę: *zaprahaj!*

— Mnie u stryjaszka, jak w domu własnym.

— O cóż więc chodzi?... Przytem pozwól mi rzecz jedną sobie powiedziec. Nie chcę ja wdzierać się w tajemnice duszy twojej, a tem mniej serca twego; nie wdzierając się jednak w nie, nie mogłem nie uczynić spostrzeżenia jednego, które mi się w oczy rzuciło. Mając z ludźmi dużo do czynienia, nauczyłem się znać

ludzi. Tyś tu przyjechał z chorobą jakąś... ot tam (tu ukazał palcem na Michała serce) i długoś się z nią szamotał.

Pan Michał westchnął.

— Przekonany jestem, że byłbyś mi ją odkrył, gdyby ta choroba zwykłemi środkami uleczona być mogła.

— Byłbym ją stryjaskowi odkrył — odrzekł pan Michał tonem pewnym.

— Nie wchodzę więc w nią. Mogę się domyślać, żeś pokochał, dajmy na to, cudzą żonę, lecz domysły moje dla siebie zachowuję, a tobie powiadam, że się szczerze cieszę, iż powietrze Groblisk podziałało na ciebie uzdrawiająco. Czy nie tak?

— Tak stryjasku.

— Więc-że się i nie śpiesz!

Rozmowa powyższa objaśnień wymaga. Pan Michał w rzeczy samej przyjechał do Groblisk z cierpieniem w sercu, który mu uwiązł w owym dniu drugim Wielkiejnocy, w którym to miała być wielka rzeź szlachty. Szlachcie uszło na sucho; on jednak dostał postrzał ze strony chłopskiej i to w samo serce. Zobaczył na hojdałkach dziewczynę i podobała się mu.

Wy, co to czytać będziecie, nie uśmiechajcie się złośliwie i nie domyślajcie się niczego zdroźnego w wyrazie tym: „podobała się“. Przypomnijcie sobie, co o panu Michale powiedział pan Marcin. Powiedział, że należy do tego rodzaju ludzi honorowych, co to w drugich szanują samych siebie. Na tem polega honor prawdziwy. Kto drugich nie szanuje, ten z pewnością jest sam bez czci. Człowiek, co policzkuje chociażby i lokaja swego, gotów sam policzek przyjąć i do kieszeni go schować. Owóz Michał nasz nie był z takich i zwróciwszy oko na chłopkę, zwrócił je z całym dla niej uszanowaniem, z całą czcią głęboką, jakby to nie była chłopka, poddanka jego, a jakaś królewna. Podobała się mu — piękna bowiem była. Piękno ma w sobie urok pociągający, to zaprzeczeniu nie podlega. Urok ów podziałał na niego; uczuł pociąg do dziewczyny, pociąg jakiś nieprzeparty, który po-

wszechnie nazywa się miłością, objawiającą się jednakowo od czasu pojawienia się na świecie rodzaju ludzkiego. Kwiatki się kochają tak samo jak ludzie, z tą jednak różnicą, że człowiek, istota rozumna — myśli, istota moralna — posiada sumienie, nie idzie więc za pociągiem owym ślepo, po bydlęcemu, jak to czynią panicze niektórzy, różniący się od bydła tem tylko, że nagość ciała okrywają przy krawca pomocy, gotowaną strawę jedzą i pod dachem mieszkają. Nasz pan Michał pokochawszy, myślał i sumienia się radził.

Na drodze myślenia do oryginalnych doszedł rezultatów.

— Chłopka, — powiadał sobie — cóż więc z tego! Czy to ją poniża?... Bezwzględnie rzecz biorąc, ona taka dobra jak każda szlachcianka, hrabianka, księżniczka, względnie zaś brak jej tylko poloru i ogłady do nabycia tak łatwych. Trzech najwięcej lat potrzeba a po trzech latach możnaby ją na salony prowadzić i z damami wielkiego świata w zawody puszczać. Cóż to damy wielkiego świata? Czy one co warte? Wiedzą tak niedaleko od absolutnej odbiegły niewiedzy... A sercem?... Czy serce pod stanikiem, przez modniarkę uszytym, ma bić inaczej jak pod zgrzebną koszulą?

Na drodze myślenia przeszkód nie było najmniejszych. Młody człowiek usuwał jedne, strącał drugie i torował przejście sumieniu, które jakiś rodzaj przestachu naprowadzało na niego. Stawali mu przed oczyma ojciec, matka, siostry, względem których poczuwał się przecie do obowiązków jakichś. Rozum wprawdzie perswadował mu:

— Będzieszże zważał na przesady?

On jednak nie mógł na tyle zdobyć się odwagi, ażeby perswazji tej bezwzględną przyznawać słusność a to dlatego, że chodziło tu o dogodzenie sobie samemu. Nie wydawało mu się, ażeby to miało być w porządku dla dogodzenia sobie wyrządzać przykrość rodzicom pod pozorem leczenia ich z przesądów. Przytem nie miał pewności żadnej, ażeby środek ten był skuteczny. A nużby się nie powiódł! A nużby sprowa-

dził smutne jakie następstwa! Nie poczuwał się w prawie występować w roli lekarstwa, którego skuteczności pewny zgóry nie był. A jej-że rodzina! Dla tej byłoby to podniesieniem wprawdzie, lecz czy podniesienie owo obróciłoby się na dobre? Jaka była we względzie tym pewność? w czem rękojmia? Rękojmi nie upatrywał w czem innem, jeno w sobie samym, na siebie zaś nie odważał się rachować bezwzględnie z obawy, zwykłej w ludziach sumiennych, przerachowania się.

Rozum drogę przed nim oczyszczał; sumienie jednak ścigało na nią takie przeszkody, że przed niemi stawał i ręce załamywał. Kochał bowiem, kochał bezmiernie, namiętnie, ukochał nawet miłość tę swoją i zrobił z niej pewien rodzaj ideału, w który się wpatrywał jako w rzecz dobrą i piękną zarazem i nie wiedział, co z fantem tym począć.

Wiedział tylko o jednym, o postanowieniu własnem, które było osnowy następującej:

— Jeżelibym miał kiedy przed kimś miłość moją wyznać, to przed nią... na samym ostatku...

Dziwak! — ktoś jeszcze zawołać gotów..

Nie. Każdy na miejscu jego człowiek honoru postąpiłby tak samo. Honor bowiem i sumienie idą w parze nierozłącznej i on nie mógł, słuchając głosu jego, przed sobą tego zataić, że zaczynając wyznanie od niej, mógłby jej głowę zawrócić, mógłby dziewczynę zbałamucić, mógłby dopuścić się uczynku niehonorowego.

Nakazał więc sobie milczenie absolutne.

Zamknął miłość swoją w sobie, jak maszynista parę w kotle zamyka, i nosił się z nią. Nie zdołał atoli tego dokazać, ażeby się nie malowała na jego postaci i nie objawiała zapomocą czynów niektórych. Zrobił się zamyślony i markotny, tak, że go matka i siostry zapytywały nieraz:

— Co ci, Michasiu?

I byłby w kłopotcie nie małym we względzie odpowiadania na zapytanie to, gdyby go nie wyręczała ciocia Karolcia

— Co?... — powiadała. Na Turków czeka i niecierpliwi się.

Ciągnęła pasjansa na intencję Michasia i uspokajała go, mówiąc, że Turcy są już w drodze.

W tym względzie Turcy oddawali mu przysługę znakomitą.

Co się zaś czynów tyczy, te wyrażały się zapomocą nieprzepartej chęci zbliżenia się do ludu i zapoznania się z nim. Zdawało się mu, że jest to wstęp konieczny do rozwiązania tego problemu, jaki mu miłość zadała. Z tego powodu szukał chłopów i szedł pomiędzy nich, to kiedy byli na robociźnie jakiej, to znów kiedy po chatach przebywali. Nie narzucał się im jednak — zbliżał się do nich z tą delikatnością, jaka cechuje człowieka, szanującego godność ludzką. Szukał pretekstów i znajdował je z łatwością. Chłopi sami nastęrczali mu je, jak się tylko z nimi zetknął i po ludzku się do nich odezwał. Gdy do którego zaszedł, każdy mu był rad, gościł go, chwalił się przed nim, użalał się lub też żądanie jakieś zanosił. Temu chróstu wiązki było potrzeba na obręcze, owemu do poprawienia bytu brakowało tylko paru snopów oczeretu z wierzchowiny. Jeden chwalił się pasieką, której posiadał pni sześć i której urządzenie znajdował pan Michał doskonale.

— I... co to!... — odparł chłop. Moja pasieka to nic... Trzeba widzieć pasiekę Serdecznego.

Na wymienienie nazwiska tego pan Michał drgnął lekko.

— A no, chodźmy, paniczu... To niedaleko... Dziś niedziela, to stary w domu... Zobaczycie... Pni dwadzieścia, a jak stoją!

Nie było do odmowy powodu. Michał dał się poprowadzić.

Dziad siedział na przyźbie.

Gdy na podwórze wchodzili, pies się do nich rzucił ze szczekaniem głośnem.

— Zasio, Bosyl!... — krzyknął stary i wstał, ujrzawszy gościa niezwykłego.

— *Pomahaj Bih...*

— *Daj, Boże, zdrowła...*

— Oto, przychodzimy do was, Hryhore... — zaczął właściciel uli sześciu — bo panicz oglądali pasiekę moja, ta chcieliby jeszcze oglądać i waszą.

— I, co tam! — odrzekł stary. — Pasieka jak pasieka... zwyczajnie... Widzieć niema co, ale, kiedy taka wola... chodźmy chyba...

Poszedł przodem, Michał za nim, poszli razem przez sadek, w którym się właśnie gruszki małgorzatkki rumieniły.

Pasieka w liczbie uli dwudziestu kilku ustawiona była w półkole, frontem ku wschodowi słońca. Ogromna lipa osłaniała ją od południa, użyczając jej cienia w skwarną dnia porę. Przed nią wystruganego miejsca kawał, mający narys półkola, obsadzony był szlakiem kwiatów miiododajnych. Nieopodał od uli stały miski wodą świeżą napełnione, na której pływały nakrzyż zbite deszczułki, służące za deski zbawienia dla pszczoł, któreby się topiły. Zboku widzieć się dawał szałas zabudowany, przed którym znajdują się koziołek zwiastował, że starzec oddaje się bednarstwu, a przynajmniej struganiu obręczy. Pod szałasem ule próżne, dla uli zaś pełnych urządzone były tarasy w kondygnacje, niektóre z nich stały na podkopach.

— Oto pasieka moja — rzekł starzec, przyprowadziwszy gościa do szałasu i pokazując mu ręką na szeregi uli.

Michał popatrzył przez chwilkę w milczeniu i odrzekł:

— Urządziliście ją sobie, batku, dobrze...

— At... urządziło się, jak się umiało...

— Z temnika dużo pni wyszło?

— Dziesięć, jak obszył... Schowałem dwanaście, wyszło dziesięć.

— O! był to pomyślny na pasiekę rok.

— Chwalić Boga... Każdy pień stary dał roja, a i dwa młode wyrwały się z porojami.

— To niedobrze, gdy młode poroje dają.

— Jak kiedy... Zarobiły, widziałem, że siła jest, ta i powiedziałem sobie: Dawajcie poroje, kiedy taka wasza ochota!... Mucha silna, to nic jej nie szkodzi...

— Ale poroje nie będą miały z czego pociągnąć... Lipa odkwitła, łąki skoszone...

— Pożywią się na hreczkach, panyczu... A ot, chodźcie-no... ja wam pokażę jeden...

Postąpił kroków kilka wraz z panem Michałem.

— Oto porój późniejszy...

Odstawił deszczuleczkę od oczka, zdjął nakrywę, podniósł ul i wywrócił.

— A co!—odezwał się do Michała.—Niech ino zarobią drugie tyle, to i podebrać będzie co i będzie z czem do temnika schować... To pszczoła choć młoda, ale robocza...

Michał przyznał staremu rację.

— A stare? — zapytał.

— Musiałem wziąć gdzie niektóre na podkopy... ciężkie, niech Bóg uchwaja...

Postawił ul młody na miejscu i na dowód, że nie przesadza, pokazał jeden ze starych, w którym w rzeczy samej plastry nazewnątrz sterczały.

— Prawda — powiedział pan Michał, odstępując i oganiając się pszczołom.

— Nie oganiajcie się, panyczu... one wam nic nie zrobią... Ot patrzcie na mnie...

Dziada pszczoły obsiadły, łążyły mu po nosie, po brwiach, po brodzie, po głowie, po karku i po zarosłych a otwartych piersiach.

— Wam to nic, batku?

— I... — odrzekł stary. — Mucha zna mnie, a ja muchę...

Postawił ul na miejscu i począł dzieje pni jednego po drugim opowiadać.

— Ot ten — prawil — dał roja jednego, ta takiego dużego, co... matko Boża!... Myślę sobie: hodiż tobie!... Aż patrzę, a on we trzy tygodnie ma gotowego drugiego... E!... myślę sobie, co tego to nie moż-

na... taj wyjąłem młodą matkę; a on, trzysta mu kręciło! czy sobie jedną schował, czy się przybiła od drugiego roja... wyszedł taki... Oto, on tam stoi... — pokazał oczami.

— I cóż? staremu nic?

— A nie... Chciał jeszcze jednego wypuścić roja, ale już nie dał...

— A młody?

— Niczego...

W ten sposób gawędka ciągnęła się; stary rozochocił się i rozpowiadał, aż na prowadzącej z chaty do pasieki, wśród drzew ogrodowych wydeptanej, ścieżce ukazała się dziewczyna z wiadrami pełnymi na ramieniu. Weszła i osłupiała, ujrawszy niespodzianie pana Michała. Zsunęła koromysło z ramienia, wiadra na ziemi postawiła i nie wiedziała, co z sobą począć.

— Wnuka moja — rzekł starzec, widząc, że młodzieniec patrzy na przybyłą jakby w zdumieniu z powodu zjawienia się w pasiece istoty, nie będącej pszczołą. — Wnuka moja... przyniosła z krynicy wody świeżej dla muchy... Czegożeś stanęła i stoisz?

Mokryna, jakby ze snu zapytaniem tem zbudzona, drgnęła i oblała się szkarłatem rumieńca, który ją do wiśni podobną uczynił.

— Przyniosłam wody, dziadusiu — wybąkała.

— Ta że widzę... O... ale... Zostaw ty tu tę wodę, ta skocz do babusi, poproś jej, żeby ci dała rzezak i miskę jaką polewaną, weź i tu przynieś.

Dziewczyna się rzuciła pędem, oddaliła i wnet znikła między drzewami.

— Często — zapytał pan Michał, ażeby coś powiedzieć — odmieniacie pszczołom wodę?

— Ile razy potrzeba... pięć, sześć, siedem razy na dzień... rzadziej jak dzień chłodny, częściej jak gorący.

— I ona... wnuka wasza siedem razy do krynicy chodzi?

— Ba nie... rano tylko i wieczorem, a to, mam tu dzban gliniany, w którym się woda chłodno trzy-

ma; dzban ten się napelnia i potem już z niego do misek się nalewa.

— I pszczoły piją?

— No, a jakże!... Ot, gdybyście kiedy o wschodzie słońca do pasieki mojej zaszli, tobyście zobaczyli... Siądzie, napije się i... bzzz... poleciała... Jak ma wodę pod nosem, to za wodą nie lata daleko i więcej razy na dzień z miodem obróci... To tak samo jak chłop na pańszczyźnie; jakby mu żonka obiadu i połudefka nie wyniosła, musiałby chodzić do chaty, ta... co by on zrobił?

Porównanie było trafne i nie zawierało w sobie przymówki żadnej; chociażby jednak i zawierało, to Michała nie dotknęłaby, w tej bowiem chwili zwróconą miał uwagę gdzie indziej — wyglądał powrotu dziewczyny.

Powróciła, lecz już swobodna, bez osłupienia w oczach i bez rumieńca na twarzy. Zdaje się, że przez ten czas nie tylko przytomność umysłu odzyskała, ale i o toalecie własnej pomyślała. Gdy z wiadrami przyszła, była bez zaściżki i bez bławatków w warkoczach. Zaściżka i bławatki nie mogły się pod szyją i na głowie same urodzić. Filutka! ho, ho! Przyniosła rzezak i miskę polewaną i podała to dziadowi, a on jej na to:

— Potrzymajże ty miskę, a ja pni parę poderzną...

Ona trzymała; dziad zaś ule wywracał i wybierając plastry co najpiękniejsze, na misce je układał.

Dziewczyna, chodząc za dziadkiem, z pod oka ku paniczowi spoglądała. Przypominała sobie, że to ten sam, co na Wielkanoc, na hojdałkach tak ją zmieszał widokiem swoim, iż ziemi pod sobą nie czuła. Odwzajemniała się mu więc. Patrzyła śmiało i on oczy spuszczał, jakby znieść nie był w stanie potęgi blasku wzroku, w którym przecie, jeżeli była potęga jaka, to słodczy chyba. Ale i słodczy potężna bywa, zwłaszcza, jeżeli nie jest fabrykatem chemicznym, a pochodzi wprost z duszy i odzwierciedla się w oku. Dowodem miód ów, który się gromadził w stos na misce,

niesionej za dziadem przez Mokrynę. Pochodzi wprost od pszczół, które go zbierają wprost z kwiatów. Dlatego to potęga słodczy jego taka wielka!

Dziad wyrznął w ulach rozmaitych siedem co najpiękniejszych plastrów, ułożył je na misce i rzekł do wnuczki:

— Podajże to paniczowi i powiedz im, niech im tak w życiu będzie słodko, jak słodki jest miód ten.

Mokryna podeszła do pana Michała i, podając mu miskę, zaczęła:

— Nacie wam, paniczu. Niech wam tak będzie słodko jak... jak... jak...

Zająknęła się, zacięła i języka w gębie zapomniała...

Cóż się to stało?

Nic.

Panicz się na nią popatrzył i z niego na nią coś niby przeszło. Wytłumaczymy fenomen ów zapomocą prądu magnetycznego. Prąd magnetyczny w nią uderzył i dziadek za nią frazesu dokończyć musiał, dodając wkońcu:

— Nie dziwcie się, paniczu. Dziewczyna... rzecz wiadoma... takie to durne!

Od czasu owego pan Michał często do chaty Hryhora Serdecznego zachodził. Poznał się z rodziną jego całą, z Oksaną, z Nastją i z Iwasiem. Siadywał z dziadem na przyźbie i rozmowy z nim toczył treści politycznej i społecznej. I tak naprzykład starzec go raz zagadnął:

— Powiedźcie mi, paniczu, co to ono będzie?

— Cóż takiego?

— Ta że ludzie coś tam gadają!... a i w cerkwi czytali nam jakiś tam namichwest (manifest zapewne), ta licho jego wie, co w nim było, ale to pewne, że Moskał idzie szlakami wszystkimi, niby rzeka płynie. Od nas-że podwody pobrali. Najmit mój jak poszedł trzy dni temu, jeszcze nie wrócił.

Młodzieniec wytłumaczył istotę toczącej się wojny.

— Po czyjże stronie prawda?

— Po niczyjej. Car carowi chciałby kawałek posiadłości urwać.

— To to i jest. I ja tak myślę. A biedny naród cierpi. Tylko że, jak się zdaje, jak nasz ma swoich Moskali, tak Turek ma swoich Moskali.

Pan Michał nie zrozumiał, o co starcowi chodzi. Starzec mu wytłumaczył:

— Rzecz wiadoma. Biorą rekruta i pędzą w Moskalę. To samo być musi i u Turka.

Domyślił się Michał, że w rozumieniu Hryhorś Moskalę i wojsko regularne to jedno i to samo... W rzeczy samej wieśniak na Rusi Moskalami nazywa wojsko wszelkie, francuskie nawet, angielskie, włoskie, niemieckie, rozciągając tę nazwę i na urzędników mundury noszących, dalej zaś na ludzi, przemawiających tym językiem, jaki w armji moskiewskiej panuje.

Pan Michał nie wyprowadzał starca z błędu. Musiałby się w obszerne wdawać tłumaczenie.

Hryhor innym razem z innej zaczął beczki.

— Powiadają, że Turek przyjdzie. Ta z czem on przyjdzie?

Odpowiedź na postawione w sposób taki zapytanie była wielce trudna.

— Co on przyniesie? — tłumaczył starzec. — Czy po przyjsciu jego tak będzie jak jest, czy może gorzej jeszcze?

— Może Polszcza stanie — odparł pan Michał.

— Toż to coś takiego ludzie gadają. Gadają jeszcze, że się jakaś swoboda narodowi należy.

— Należy się — odrzekł młody człowiek — i Polska ją nadać musi.

Tu wytłumaczył istotę swobody społecznej, opierającej się na równości obywatelskiej. Hryhor słuchał z uwagą, Iwaś każdy wyraz jego pożerał. Starzec zapytał następnie, dlaczego Polska swobodę nadać musi i pan Michał zniewolony został objaśniać, iż państwo polskie było to państwo szlacheckie, które upadło dlatego właśnie, że się na wyłączności politycznej szla-

checkiej opierało, że zatem, gdyby był niepodległy odzyskało, musiałoby, ażeby się na powtórny nie narażić upadek, mieszkańców wszystkich bez różnicy wiary, języka, kondycji społecznej uczynić współuczestnikami swobód obywatelskich.

Rozumie się, dobierał języka odpowiedniego dla wyłuszczenia prawd tych w formie jak najprzystępniejszej. Uciekał się niekiedy do porównań, do różnych figur retorycznych, obrazujących rzecz. Hryhor i Iwaś pojmovali; pokazywało się nawet, iż kwestje niektóre nie były im obce, jak naprzykład kwestja uwłaszczenia, którą starzec pojmovał tak, że ponieważ ziemia od Boga i człowiek od Boga, a zatem człowiek każdy ma do ziemi prawo.

— Ono to tak... rzecz wiadoma — powiadał. — Tak bywało za dziadów, pradziadów naszych.

Iwaś napomknął coś o skrzyni.

— Cyt! — psyknął na niego dziad.

Pan Michał bywał u starego często. Powiedzieć o nim możemy: poił się trucizną, w której smakował i na którą antidotum znaleźć nie mógł. Szukał go w pracy, napróżno jednak. Rozkładając przed sobą dzieło prawnika jakiego, czytał oczami, ale nie myśla — co więcej, z poza wierszy, z poza liter wyglądały ku niemu modre oczy dziewczyny. To się Świętym Pańskim zdarzało — czytajcie żywoty Świętych z komentarzami ks. Skargi. Rady sobie biedny chłopiec dać nie mógł.

Przyszła jesień — z nią słoty; przyszła zima — z nią śniegi; preteksty chodzenia do Serdecznego wyczerpały się, on jednak po błocie, po śniegu chodził nie do chaty a pod chatę, wieczorami, kiedy się w okienku świeciło; podkradał się niby złodziej — byle postać dziewczyny ujrzeć zdaleka.

Męczył się i trawił. Pozostawał w stanie rozgorączkowania ustawicznego.

Aż przyjechał stryj.

I zabrał go z sobą.

Leczyć miłość miłością — jest to wybijać klin klinem.

Miłość do chłopki takim w serce naszego Ukraińca twardym wbiła się klinem, że przyjechał z nią do Groblisk i ona z nim pojechała na bal.

Któż z młodzieży przyzwoitej, szanującej siebie — nie w drugich (to bowiem co innego, mówiliśmy o tem wyżej) — dopuściłby się podobnego dziwactwa, kochać się w chłopce przez całe dni pięć!

Dziwactwa podobnego Ukrainiec nasz dopuścił się. Stawił się napozajutrz po balu przed panną Kornelą Pakościńską, panną miljonową, z miłością w sercu nie dla panny Korneli, ale dla Mokryny.

I zastał obok niej — mowa o pannie miljonowej — i kontuszowca, i Wołyniaka, i Podolaka.

Jak tylko z sanek wysiadł, natychmiast spadł na niego Podolak, drażał duży, wielki pieśczocho swojej mamy, wielki amator sztosika i faraonika, któremu, pomimo że w studjach nie doszedł wyżej jak do klasy drugiej, do tego, żeby zupełnie porządnym, bo nawet i światłym zostać człowiekiem, majątku tylko brakowało. Podolak pod ramię go ujął i, na stronę odprowadzając, zapytał z miną tajemniczą:

— Pan w zamiarach?

— W jakich?

— Względem tego... tutaj... to jest... Muszę się przed panem wytłumaczyć wyraźnie, ja bowiem w zamiarach... i mam już powody niejakię myśleć, to jest przypuszczać, że... tego... że jeżeli... Jako przeto człowiek honoru, mam sobie za obowiązek powiedzieć to panu.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział Michał i odszedł.

Spadł na niego Wołyniak, młodzieniec wzrostu niewielkiego, ułożenia szykownego, wychowania domowego, skrofuliczny potomek kasztelanów, wojewodów

i hetmanów; ujął go pod ramię i, szepleniąc nieco, zapytał:

— Pan w zamiarach?

— W jakich?

— Jako człowiek honoru mam sobie za obowiązek uprzedzić pana, że jestem prawie przyjęty... Panna za mną i rodzice za mną...

— Bardzo wieszczę — odrzekł Michał i odszedł.

Spadł na niego kontuszowiec. Ten pod ramię go nie brał, dlatego może, iż pod ramieniem konfederatkę białą trzymał, a tylko oświadczył mu, że ma z nim słów parę pomówić.

— Słucham.

Kontuszowiec stanął przed nim, wąs muskał, chrząkał, zasłaniając palcami usta, i wkońcu zapytał:

— Czy pan... tego... *niby*... w intencjach?

— W intencjach — odrzekł Michał, któremu się już śmieszno robić zaczynało.

— Więc... *niby*... w jakich? — zapytał powtórnie kontuszowiec, przybierając postawę wyzywającą.

— W takich samych, jakie biskup Krasicki wkłada w usta mądrym w bajeczce pod tytułem: „Mądry i głupi“.

Kontuszowiec odchrząknął, wąs musnął i zaczął:

— Biskup Krasicki... U nas w Galicji są *niby* hrabiowie Krasiccy, z którymi *jezdem niby* w kuzynostwie, w takim *niby* samem, jak z hrabią Gołuchowskim, namiestnikiem...

Nawiasem tu wtrączę, że Galicjanie są w rzeczy samej wszyscy „*niby*“ kuzynami Gołuchowskiego, jeżeli nie z innego tytułu, to z tego, że Gołuchowski jest ojcem chrzestnym patryjotyzmu galicyjskiego.

— Cóż więc z tego? — zapytał pan Michał.

— Cóż z tego! — zawołał kontuszowiec. A to *niby* pytanie!... Ja pana po przyjacielsku *niby* pytam o intencje.

— A ja panu po przyjacielsku odpowiadam.

— O biskupie Krasickim.

— O intencji.

— No... i jakiejże *niby*?

— Nie odpowiadania na głupie pytania.

— Panie! hm!... — krzyknął Galicjanin i nasrożył się.

Ukrainiec zostawił go w zaindyckzonej postawie, sam zaś wkroczył do salonu, w którym gospodarz domu pochwycił go w objęcia swoje, ucałował i obślinił.

— No i jakże? No i cóż? Ale, ale, panie Michale! Palcem mu groził.

— Godziłoż się to! drapnąć na Ukrainę i przez czasu tyle słychu o sobie nie dawać!

Michał tłumaczył się, jak mógł i umiał.

— Byłbym — powiadał — odmówić sobie musiał na zawsze może przyjemności przestępowania gościnnych progów pana dobrodzieja, gdyby nie wypadki, które mnie w domu zatrzymały.

— Jezus Marja! — krzyknął pan Pakościński.

— Miałem jechać do Kijowa i tam może zamieszkać.

— Domisiu, serce! — zwrócił się pan Baltazar do żony. — Czy ty słyszysz? A to bałamut!

Pani Pakościńska serdecznie gościa witała, rękę mu swoją do ucałowania podała, pomimo że o to nie prosił, i sama go w czoło z przyciskiem macierzyńskim pocałowała.

Panna Kornela od krosienek głowę podniosła, z uśmiechem na witającego się z rodzicami patrzyła, z uśmiechem do niego dłoń wyciągnęła i z pewnym rodzajem niepokoju, jakby w obawie, ażeby go kto nie uprzedził, miejsce mu obok siebie wskazała. Powodem obawy było zapewne to, że się we drzwiach ukazywać poczęli konkurenci jeden po drugim. Michał usiadł na wskazanem krześle. Drągalowaty Podolak podszedł do okna i, złożywszy usta do gwizdania, oddawał się obserwacjom nad spacerującymi po śniegu wronami. Wnuk hetmański zajął miejsce obok stolika założonego albumami i udawał, że się w nich rozpatruje. Kuzynek Gołuchowskiego stanął obok fortepianu, spoglądał na klawisze i wąż zlekka muskał.

Panna Kornela przemówić coś do Ukraińca chciała; nagle jednak serce jej mocno zabiło, schyliła nad krosienkami głowę i szyć poczęła. Panowałoby milczenie w salonie, gdyby nie Michał, którego rozmowy z konkurentami w doskonały wprawiły humor. Rozpytawszy o zdrowie i o to, jak się po tańcach spało:

— Nie ma pani zamiaru jakiego? — zagadnął.

— Mam zamiar skończyć tę poduszkę dla tatka, a po skończeniu jej zacząć co innego.

— Zamiary takie poziome! — zawołał młodzieniec z powagą żartobliwą. — Niech się pani zdobędzie na wznioślejsze jakie...

— Sama nie zdołam. Proszę mi ukazać.

— O! jakżebym pragnął, żeby kto ukazał mnie!

— Skądże się w panu pragnienie to wzięło?

— Stąd, że nim się do salonu dostałem, spadły na mnie trzy zapytania, przez każdego z tych panów (tu ukazał oczami na konkurentów) zosobna zadane: „Pan w zamiarach?!“

Pannę Kornelę do wielkiej relacja ta pobudziła wesołości; śmiać się poczęła serdecznie, tak dalece, że wyjść musiała na chwilkę, wychodząc jednak, szepnęła Michałowi:

— Niechże pan miejsca przy krosienkach nie opuszcza, ażeby nie zajął go „zamiar“ który. Ach! jakże oni mnie nudzą śmiertelnie.

Po chwilce powróciła i pomiędzy dwojgiem tych młodych ludzi zawiązała się gawędka półgłosem, przepłataną wybuchami śmiechu, raz ze strony jego, znów ze strony jej. Michał sypał dowcipy niby z rękawa.

Konkurenci zabawiali się rozmową poważną z tatkiem i mamą o pogodzie tej, co była, o pogodzie tej, co będzie, o zeszłorocznym śniegu i o innych tym podobnych osobliwościach. Co im się dziać musiało, patrząc na poufną gawędkę Ukraińca z panną miljonową, opis tego pozostawiam doświadczonemu jakiemu psychologowi.

Podano do herbaty.

Przy herbacie pan Michał bawił dobrym humorem towarzystwo.

Na kolację nie czekał, pomimo że go i pan Baltazar, i pani Domicela zatrzymywali, zaklinając na rany Chrystusa Pana.

— Ale to nie raz ostatni? — zapytała panienka. Michał skłonił się z akcentem obiecującym.

— Przez karnawał będzie u nas wieczorków kilka — odezwała się pani Baltazarowa.

— Spodziewam się, że... tego... nie drapniesz nam, jak w roku przeszłym — dodał pan Baltazar — i nie będziesz się drożył osobą swoją.

— Nie mam osoby mojej za artykuł drogi nadzwyczajnie — odparł młodzieniec wesoło.

— Tem bardziej, tem bardziej — podchwycił pan Pakościński. Udzielaj-że jej nam.

— Cóż po mnie na wieczorkach!

— Co po tobie, to do ciebie nie należy, trzeba tylko, żebyś wiedział, że prosimy cię szczerze.

Panna Kornela z wyrazem wdzięczności w oczach na ojca spojrzała i serdecznym uściskiem dłoni młodzieńca pożegnała.

Miała ona, jak z czasu balu wiemy, coś mu powiedzieć. Powzięła była we względzie tym postanowienie niezłomne. Gdy jednak przyszło co do czego, nie powiedziała nic a to z tej zapewne przyczyny, iż do powzięcia postanowienia zmusił ją smutek młodego człowieka i wyobrażało się jej, że pocieszenia potrzebuje. Gotowa więc była pocieszać go. Przybył wszakże wesoły. Potrzeba pocieszania upadła sama przez się i panienka to, co powiedzieć miała, zatrzymała dla siebie. Nie na zawsze jednak. Odłożyła rzecz na później — do chwili sposobniejszej... do pierwszej okazji. Zdawało się jej zapewne, że jeszcze kiedyś Michał z wyrazem smutku na obliczu wystąpi.

Jeżeli się jej tak w rzeczy samej zdawało, to zawiódła się.

Pan Michał nie prezentował się jej już więcej ze smutkiem na twarzy.

Bytność jego na herbacie w obecności trzech konkurentów dała niejako nastrój zachowywaniu się jego późniejszemu. Jak raz ubrał się w maskę dobrego humoru, tak już jej nie zrzucał więcej. Było mu w niej wygodnie. Co się w duszy jego działo, zachowywał dla siebie samego; przekraczając zaś próg domu zakajowieckiego, wciągał uśmiech na twarz, jak się wciąga rękawiczkę na rękę, i konserwował go tak długo, ażeby uśmiechem żegnać gościnne gospodarstwo.

Stryj z boku go obserwował.

Trzej konkurenci, z którymi przelotną zrobiliśmy znajomość, wisieli przy pannie przez cały karnawał. Po karnawale odpadli. Podolak i Wołyniak odjechali, odwoząc harbuzy formalne. Galicjanin dostał harbuza także i w dodatku musiał go pan Baltazar swojemi odesłać końmi i dać rubli kilkanaście na opłacenie kosztów podróży do granicy. Pozostało jeno po nich wspomnienie w wyrazie: „zamiary“ i w przysłówku: „niby“.

— Czy nie „niby zamiar“ jaki? — zapytywała panna Kornela, ile razy nowa jaka, podejrzana o kuszenie się o milion figura pojawiała się na posadzkach zakajowieckiego domu.

— „Zamiar niby“, jak mi Bóg miły! — wołał Michał tonem żartobliwym, odpowiadając pannie Pakościńskiej.

Bywał dosyć często i wszedł z panienką w stosunki zażyłości poufalej, z którą dobrze było im obojgu.

Czas zaś — czas, ów lekarz nad lekarze — swoje robił, zbliżniał i goił ranę, z którą pan Michał do Groblisk przyjechał. Zrazu Ukrainiec nudził sobą, rady sobie dać nie mógł, po sto razy zrywał się, chcąc odjeżdżać, i po sto razy, niby rumaka w pędzie silna ręka jeźdźca, osadzało go na miejscu zapytanie:

— Poco?

W rzeczy samej, nie było poco. Do pojenia się trucizną nadawały się tak samo Grobliska, jak Motylnica i różnica cała polegała na tem, że nie mógł jej widywać, że nie mógł każdego wieczora chodzić pod chatę.

Miał jednakże, pomimo że się kochał, zastanowienia na tyle, iż uważał, że to i lepiej. Czuł bowiem i uznawał potrzebę kuracji tak dla siebie, jak dla niej — dla niej mianowicie, w której spostrzegał, jak mu się zdawało, symptomy wzajemności. Pochlebiali mu to i zarazem niepokoiło. Napawało go to rozkoszą i zarazem straszło. Bardziej przeto dla niej, aniżeli dla siebie, rad był temu, że miejsce pobytu jego od chaty Hryhora mil dwadzieścia oddziela i że go stryj zatrzymuje.

Miesiąc upłynął i do chaty Hryhora nie tak już go ciągnęło jak na początku. Miesiąc drugi sprowadził zmianę jeszcze znaczniejszą. Trzeci toż samo. Umniejszanie się pociągu wzrastało stopniowo i w sposób coraz to bardziej stanowczy, tak że wkońcu młody człowiek o ile wdzięczny był wypadkowi, który stryja do Motylnicy sprowadził, o tyle wieszował sobie, iż o władnąc się nie dał porywom pierwszym niecierpliwości, jaka nim w początkach pobytu jego w Grobliškach szarpała. Już i swobodniej rozczytywał się w historii prawodawstw, w filozofji prawa i w dziełach traktujących o różnych gałęziach specjalnych jurysprudencji. Już i bardziej interesował się wypadkami, zachodzącymi na teatrze wojenno-politycznym. Już i łatwiej przychodziło mu chwytać sens zdarzeń i je kombinować. Słowem, odzyskiwał niejako siebie samego, co go cieszyło niepomału. Czuł niejako, że do zdrowia przychodził, albo raczej, że ten kult piękna, który istotę miłości jego stanowił, tracił stopniowo moc swoją pierwotną, przestawał nad nim panować samowładnie. Działo się z nim to, coby się dziać musiało z Pigmaljonem, gdyby bogowie zamiast ożywić Galateę usunęli ją byli z przed oczu jego, kiedy posągiem tylko była.

Przychodzenie Michała do zdrowia objawiało się zapomocą symptomatów, z których parę na uwagę zasługuje. Wpadła mu w oczy osobliwość jedna w zarządzie majątku stryjowskiego. Było to dowodem, że wraca mu już władza postrzegania. Osobliwość ta za-

leżała na tem, że u pana Marcina odbywały się regularnie wypłaty za robociznę — rzecz niepraktykowna w czasie pańszczyńnianym.

— Stryjaszku... — zapytał razu pewnego. Czy stryjaszek bez pańszczyzny gospodaruje?

— Z pańszczyzną.

— Cóż wypłaty te znaczą?

— Premje za robociznę.

— Ależ premje te, jakem uważał, wszyscy dostają chłopil...

— Wszyscy... Wszyscy pracują, więc wszyscy zasługują...

— Nie rozumiem tego...

— Wytlumaczę ci... Byłbym zniósł pańszczyznę w czterdziestym szóstym, a z pewnością w czterdziestym ósmym roku, gdybym się nie bał Moskali... Wynałazłem więc system premij, za pomocą którego robociznę opłacam, pomimo że pańszczyzna istnieje... U nas *wsio można, liszby ostrożno*... Moznaby, ostrożnie postępując, Polskę postawić na nogi, tak iżby Moskałe ani wiedzieli, jak się to zrobiło...

— Na serjo więc, w istocie rzeczy pańszczyzna u stryjaszka nie istnieje?

— W istocie nie. W istocie istnieje tylko mundur pańszczyńniany... forma...

— I dobrze na tem stryjaszek wychodzi?

— Nie najgorzej. Dochód powiększył mi się w dwójnasób, co nie jest nic dziwnego, chłop bowiem pracując dla mnie, pracuje zarazem i dla siebie... Przy-
patrz się maszynerji mojej gospodarskiej i przekonasz się.

Pan Michał przypatrywał się i dostrzegł, ku wielkiemu a coraz to wzrastającemu zdziwieniu swemu, osobliwości następujących: sądownictwo sprawowane przez chłopów samych, kasę oszczędności, kasę pożyczkową, szkołę, słowem, samorząd wiejski funkcjonujący jak najporządniej.

— Toć to cuda, stryjaszku!

— Żadne cuda. Nic łatwiejszego, jak Moskali oszukać... Każdy mógłby zrobić to samo...

— Czemuż nikt nie robi?

— Ha!... Złóż to na karb tej fatalności dziejowej, która Polskę powaliła i dźwignąć się jej przeskadza... Dźwignąćby się jej łatwo było, gdybyśmy jeno zechcieli... Potrzeba tylko, ażebyśmy się z chłopami porozumieli i za ręce z nimi wzięli. To tak łatwo, jak widzisz... A im kto zamożniejszy, tem i łatwiej, i korzystniej, na magnata bowiem zapatrują się inni...

— Szkoda, że stryjaszek nie magnat — zauważył pan Michał.

— Co tam już po mnie! Ja stary... Bądź magnatem ty i zaświeć przykładem gawiedzi szlacheckiej.

Doniosłość słów ostatnich czytelnik zrozumie. Pan Michał nie rozumiał i w żart oświadczenie stryja obrócił, powiadając, że minęły już czasy owe, w których wzamian za bogactwa wystawiało się cyrografy na dusze z możliwością łamania ich, jak to uczynił pan Twardowski.

— Potrzebaby mi tylko postarać się o żoneczkę taką, jak pani Twardowska...

— Postaraj ty się raczej o żoneczkę, jak należy...

Pan Michał zamilkł i pan Marcin zamilkł. Jeden i drugi natrafił na kamień, którym dla pierwszego była Mokryna, dla drugiego panna Kornela.

Obok tego symptomatu, okazującego powrót władz obserwacyjnych, objawiał się inny, tyżący się właśnie panny Korneli. Pan Michał rozsmakowywał się w jej towarzystwie. Nie stawało się mu ono niezbędne, ale bardzo miłe, ponętne. Gdy wiosna nastąpiła, gdy lato przyszło, Ukrainiec nasz wsiadał niekiedy na koń, mknął mgłówkami do Zakajówki i często się tak zdarzało, że, przejeżdżając mimo parku w celu objechania i dostania się na podwórze, dostawał się do parku, zwabiony tam sygnałami, dawanemi mu parasolką i dostania się na podwórze, dostawał się do parku, no, że gość przyjechał. Dowiadywano się o tem przy herbacie, na którą, zanim lokaj odszukał panienkę, ta

pędziła czas z panem Michałem i to w sposób taki, że nie nudzili się oboje, pomimo że miłosnych nie prowadzili rozmów... Może nie nudzili się właśnie dlatego.

Miłosne bowiem rozmowy, a ckliwość i jałowość ich znane są tym, co przechodzili przez chorobę kochania. Po wygłoszeniu w duecie zgodnym czasownika „kocham“ nie pozostaje już do mówienia nic i wszystko to, co się później mówi, funta kłaków niewarte. To też zazwyczaj kochankowie nie mówią a gruchają, — chrząkają, on basem, ona dyszkantem; spoglądają na siebie, co się nazywa rozmawianiem oczami duszy; jeżeli się które odezwie, to niezawodnie jakąś niedorzeczność palnie, i dopiero gadać po ludzku ze sobą zaczynają po ślubie, gdy się pokłóca. Pierwsza kłótnia małżeńska jest to rzecz bardzo pożyteczna. Jest to przebudzenie z rozmarzenia miłosnego... krok pierwszy na drodze żywota praktycznego.

Młodzi nasi przeciwnie czas ze sobą spędzali na gawędce ustawicznej, która ich wielce zajmowała. Dowód, że nie znajdowali się jedno względem drugiego w stosunku miłosnym. Panna Kornela frapowała młodego człowieka naiwnością dziewczęcą, która była w niej niby rola nowinna, pełna siły rodzajnej. Zarzucała Michała zapytaniami, mająceni pozór problemów, zbieranych na polu działalności bądź przyrodzonej, bądź człowieczej. Stało się to w ten sposób, że gdy zadała mu zapytanie pierwsze i on jej na nie zadowolającą dał odpowiedź, wówczas uwleczona niejako ciekawością sypać zaczęła zapytania bez końca. W sposób ten konwersację wieki można prowadzić i treści nie zbraknie... I im też nie zabrakło jej nigdy. Naprzykład:

— Panie Michale, niech mi pan powie, czemu to ludzie jedni są dobrzy, drudzy źli?

— Jest to wynikiem wolnej woli ludzkiej, pozostawiającej wybór dróg. Ten idzie dobrą drogą i jest dobry, ów złą i staje się zły.

— A wolna wola przebywa w duszy?

— Tak.

— Duszę zaś mamy z rąk Boga?

— Tak nas naucza religja.

— Taka więc wola jaka dusza, czyli Pan Bóg roz-
daje ludziom jednym dusze dobre, drugim złe... Cze-
muż nie rozdaje dusz dobrych tylko, ażebyśmy byli
wszyscy dobrzy?

Łatwo sobie wyobrazić, jakie z zapytań podobnych
wyradzały się rozprawy. Pan Michał nieraz się pocił,
zmuszony bywając lawirować pomiędzy systematami
filozoficznymi, unikać teologji i trzymać się języka
zrozumiałego. Dusza dziewczyny pełna była cieka-
wości drażnionej tem, że nie odebrała edukacji systema-
tycznej, a pochwyciła tu i owdzie, raz z tego, co za-
słyszała, znów z tego, co przeczytała, pojęcia różne,
rodzące w niej wątpliwości rozmaite, wątpliwości czę-
stokroć nadzwyczajnie drażliwe, tak że nasz Ukrainiec
w prawdziwym nieraz znajdował się kłopotcie. Łatwiej
szło mu z kwestjami historycznymi, politycznymi i li-
terackimi. W tych potraçał strunę patriotyczną i ta
wydawała oddźwięk w sercu panny Korneli.

— Ach! panie Michale, kiedy Polska będzie?

— Kiedy? nie wiem. Że jednak będzie, tego pew-
ny jestem.

Tłumaczył dziewczęciu pewności powody, które
opierał na tym, wysnutym z doświadczeń dziejowych
pewniku, że państwa giną, będąc wytworem sztucz-
nym, narody zaś przeobrażają się tylko, występując
w czasów kolei te same w zmienionych bytu formach.

Dla panny Korneli były to rzeczy nowe, o których
słuchała z uwagą łakomą.

Niekiedy czytawali razem. Pan Michał dobrze czy-
tał, umiał zwłaszcza utworom poetycznym nadawać
akcent właściwy, tak że do głębi przejmował.

Niekiedy też panna Kornela grała na fortepianie
nie uczenie, za to z duszą mazura jakiego, poloneza
Ogińskiego albo dumkę ukraińską.

I tak czas im schodził.

O miłości ani wzmiankowali, wówczas nawet kie-
dy dotykali materji filozoficznej, do której panienci

najskromniejsze umięją tak zgrabnie kochanie przystosowywać. Był to przedmiot pomiędzy nimi zakazany, jak w niektórych towarzystwach przyzwoitych zakazuje się mówić o polityce. Nie dotykał go dla powodu wiadomego czytelnikom; nie dotykała go ona dla powodów tkwiących w głębi dziewiczości serca zadowolającego się tem, że pan Michał był przy niej, że go widywała, że głos jego słyszała, że się jej udzielał duchowo, moralnie. Jej miłość dla niego wiele miała podobieństwa do miłości jego dla Mokryny. — Jedno i drugie ukochało piękno, z tą atoli ważną różnicą, że przedmiot kochania jej był do wzięcia, przedmiot zaś kochania jego otaczała nieprzystępność sumienna. Zachodziła jeszcze różnica i w naturze przedmiotów samych, w tę atoli subtelność wdawać się nie będziemy. Mokrynie brakło jeno poloru i ogłady, ażeby naturą swoją przedmiotową stanęła narówni z panem Michałem.

Upłynął rok cały pobytu pana Michała w Groblichach i przez ten czas dwa jeszcze harbuzy wyniesione zostały z dworu zakajowieckiego. W stosunkach pomiędzy naszym państwem młodem nie zmieniło się nic ani na jotę. Wciąż byli sobie radzi i wciąż czasownik „kocham“ stronił od nich zdaleka. Lękali się chyba, ażeby im ust nie pozamykał. I to być może. Dostyć, że jedno drugiemu miłości nie wyznawało — i w tym stanie wstrzeźliwości romansowej doczekali się chwili rozstania.

Pan Marcin wybierał się na kontrakty.

— I pan ze stryjem jedzie? — zapytała panna Kornela na dni kilka przed wyjazdem ich.

— Jadę — odparł pan Michał.

Panna spojrzała na niego. W spojrzeniu tem odbił się jakiś błysk dziwny. Spuściła oczy i znów spojrzała z tym samym błyskiem. Następnie, jakby sama sobie na zapytanie jakieś odpowiadała, odezwała się:

— Ale pan powróci...

— Nie wiem — odrzekł Michał z ramion lekkim wzniesieniem. — To zależy...

— Od woli pana, czy od okoliczności?

— Od okoliczności...

Na odpowiedź tę w oczach panny Korneli odmawiał się rodzaj pewien przerażenia, które jednak wnet przeminęło.

W kilka dni później stryj i synowiec przyjechali z pożegnaniem. Byli na herbacie i pozostali na wieczery. Przez czas cały pobytu ich w zachowywaniu się panny Korneli panowała swoboda usposobienia wesołego. Przy herbacie posługiwała się panem Michałem i wyśmiewała go z powodu niezgrabności, z jaką jej cukier i sucharki podawał. Przy wieczery wymawiała panu Marcinowi, że mało je. Rzuciła zapytań parę o Kijowie. Trochę grała, wybierając sztuki jak najweselejsze: jakiegoś walca szalonego i szumkę ukraińską, którą zakończyła tęsknym finałem. Kiedy panowie pożegnali się i, otrzymawszy od pana Pakościńskiego i pani Pakościńskiej życzenia podróży jak najpomyślniejszej, opuścili salon i w przedpokoju ubierali się w futra, panna Kornela zjawiła się nagle w przedpokoju. Podeszła wprost do pana Michała i, zanim ten, zmieszany nieco niezwykłością widoku, do opamiętania przyjść zdołał, pochwyciła rękę jego i, przycisnąwszy ją do ust swoich, długi, gorący pocałunek na niej złożyła.

Pan Michał rękę wyrwał i krzyknął.

— Pani!...

Panna Kornela zwróciła się i wybiegła.

XI.

W roku 1855 ogólny poziom nadziei szlachty polskiej znacznie stał niżej, aniżeli w roku 1853, pomimo że Moskwa ledwo dyszała pod ciężarem wojny, którą sama ściągnęła na siebie. Imperjum carsławne bokami robiło. Pojedynek w zwartych szrankach, odbywający się w sposób turniejowy pod Sewastopolem, za długo się jak na kompleksję Moskwy ciągnął.

Cesarz Mikołaj wymówił się, że wojny żądaniem pokoju nie przerwie tak długo, póki nie wyda na nią rubla ostatniego i żołnierza ostatniego. Słowa carskie święte! Ciągnęła się więc wojna, której sens i racja wyrazićby się dały zapomocą wierszyków następujących:

Za lasem, za górą,
Zeszedł się wiatr z chmurą.

Wierszyki te tak się kończą:

Wiatr się obrócił,
Chmurę w morze rzucił.

To, co dwuwiersz pierwszy powiada, stało się pod Sewastopolem dosłownie. Wiatr — Moskale — zeszedł się z chmurą — armjami sprzymierzonych — i chciał ostatnie w morze rzucić, napinał się — nie mógł. Czynił wysiłki nadzwyczajne i dobierał się już do owego rubla ostatniego i żołnierza ostatniego, które Boży pomazaniec spalić zamierzał na ołtarzu pychy monarszej.

„Jak trwoga, to do Boga“ — głosi przysłowie.

Trwoga w monarchach wyradza wściekłość, ta zaś rzuca się w nabożeństwo. Car głuszyć się kazał biciem we dzwony, a przy biciu tem, które jękiem pogrzebowym niby napełniło całe imperjum, odczytywano ludowi z przed ołtarzów w stylu napuszonym proklamacje i manifesty, ogłaszające ojczyznę w niebezpieczeństwie. Nie mówiło się w nich, kto niebezpieczeństwo to nawołał. Nieomylność monarsza wypływała w utworach tych niezdrowych w czystości całej, nieskazitelna i sama jedna stawała wyraźnie. Bóg i car! To jedno lud rozumiał, zresztą nie wiedział, o co chodzi, zwłaszcza, gdy odezwy carskie przeszły przez usta czynowników podrzędnych i gdy ci sens ich wyłożyli. Rząd sypnął zagadkami sfinksowemi, które w gubernjach wielkorosyjskich znalazły rozwiązanie swoje w tem, że sztyftować poczęto pospolite ruszenie tak zwane „*opółczenie*“. W krajach atoli, których ludność wydawała się rządowi podejrzana —

w prowincjach, mianowicie Polsce zabranych — przeczytano odezwy i na tem poprzestano. Opołczenia nie formowano. Obawiano się uzbrajać lud, któryby się później z pewnością rozbroić nie dał. Lud wysłuchał odezw napuszystych i gwarzyć począł.

— Co to jest?

— Coś to ono jest.

Lud szlachecki nie miał potrzeby gwarzyć w ten sposób. Wiedział, co to jest. Słabość Moskwy manifestowała się jawnie dla ludzi, co czytać umieli rzeczy drukowane, i wprawiała ich w rodzaj pewien świerbiączki w dłoniach, połączonej ze zgryzotą sumienia.

— Ej, gdybyż-to! — odzywali się gdzie niektórzy.

— Moznaby, — odpowiadali rozważnie — gdyby nie... chłopi...

Widmo rzezi, utrzymując umysły w trwodze, odgrywało rolę zmory politycznej. Chłopi gwarzyli, usiłując rozwiązać zagadki rządowe, podawane im pod postacią odezw i manifestów; szlachcie wydawało się, że się zjawiają.

W stanie takim znajdowały się umysły na Ukrainie, gdy nasi panowie, Marcin i Michał, przyjechali do Motylnicy.

Zanim jednak o ich przyjeździe co napiszemy, wspomnieć należy o następstwach wyskoku panny Korneli. Jak wiemy z rozdziału poprzedniego, pożegnała ona młodego Zborzeskiego w sposób niezwykły. Pan Michał umknął rękę, chciał coś począć, chociaż nie wiedział, co mianowicie; lecz nim zdobył się na powzięcie postanowienia jakiegoś, panny nie było już przed nim. Uciekła. Pan Michał stanął w osłupieniu. Gotów był biec za nią, ażeby postąpić sobie z tym pocałunkiem, jak postępuje człowiek uczciwy, gdy rzecz cudzą znajdzie na drodze, to jest gotów był pocałunek ten oddać jej z procentem, lecz stryj temu przeszkodził. Zanim zdecydował się na coś, pan Marcin rzekł:

— No... jedźmy...

Słowo to zabrzmiało panu Michałowi w uszach ni-by wyrok losu.

Wyszedł, wszedł do sanek — konie ruszyły.

Pocałunek rękę mu palił.

W Grobliskach pan Marcin, rozebrawszy się z futra i berlaczy, stanął przed Michałem, wziął się w boki, patrzył na niego przez chwilę i rzucił mu wyrazy następujące:

— Ona ciebie kocha...

Oddał mu dobranoc i odszedł do sypialni swojej.

Wyrazy: „ona ciebie kocha“ spadły panu Michałowi na głowę niby kamień.

Rozebrał się, położył, lecz spać nie mógł. Pozostawał pod wrażeniem opisać się nie dajacem. Położenie jego podobne było nieco do położenia dłużnika, przed którym nagle i niespodzianie stanął wierzyciel, upominający się o dług honorowy.

— Masz oddać, czy nie masz? Jeżeli nie masz, toś infamis!

Ciężko jest zostawać pod zarzutem tego rodzaju.

Nad ranem sen powieki mu skleił i coś mu się tam majaczyło, jakieś marzenie senne rozpoczynało się, gdy usłyszał z pokoju przyległego wołanie stryja:

— Michale!... komu w drogę, temu czas!

Zerwał się, wpół godziny był gotów; po upływie drugiej pół godziny siedział już w łubiastych saniach, które cztery w lic zaprzężone konie rażno unosiły.

Pan Marcin przez drogę całą o pannie Korneli, o Zakajówce ani wspomniał. W Motylnicy wspomniał, ale nie przed panem Michałem i byłby może nie wspominał przed nikim, gdyby pani Janowa nie zaczepiła go pytaniem:

— I cóż tam, bracie kochany?

— Hm... nic... Interesy matrymonjalne nie są jeszcze ferowane, ale na drodze ku nim prowadzącej postawił się już krok jeden, zahaczone bowiem zostały interesy sercowe... Powiadam to siostrze kochanej jako obserwator, przypatrujący się z boku i zdaleka. Trzymam się bowiem tego, com powiedział przed rokiem: jeżeli się ma zrobić małżeństwo, niech je oni zrobią sami.

— A zrobią?

— Zdaje się... Poznali się ze sobą dobrze i, jak się zdaje, smakują jedno w drugim... Coś jednak idzie to powoli...

— Ja bratu kochanemu powiem, — podchwyciła pani Janowa — co przeszkadza...

— Co?

— Wojna. Michasia absorbuje ona.

— Być może... Być może... Poczekajmy więc, aż się wojna skończy.

— Ach! dałby Bóg, żeby to nastąpiło jak najprędzej! i Jan odetchnąłby swobodniej.

Życzenie pani Janowej miało rację jak najzupełniejszą. Pan Jan od czasu, jak Francuzi w charakterze strony z Moskwą wojnę toczącej wystąpili, znajdował się w stanie gorączki trawiącej. Napoleon wzbudzał w nim ufność, do której nie przyznawał się otwarcie i która może nieograniczona nie była, która jednak jemu, żołnierzowi staremu, napoleoniście, wydawała się racjonalna.

— Napoleon ten — tak sobie rozumował — nie jest to tamten, ale dlatego właśnie bardziej, aniżeli tamten potrzebuje wyszukiwać dla tronu swego, dla dynastji swojej podwalin silnych. Jakaż podwalina silniejsza byłaby mogła jak Polska niepodległa i potężna przez niego postawiona. Zrozumiał to Napoleon I, ale za późno. Ten zaś ze zrozumieniem tem na tron wstąpił. Miałżeby być tak ograniczony, ażeby nie korzystał ze sposobności, która mu sama w ręce wlaża?

Ale ten Sewastopol?

Chyba że jest to wybieg, fortel! Może to Anglicy z prostej zepchnęli go drogi? Może zniewoliły go do tego względy jakie dyplomatyczne?

Staremu Zborzeskiemu w głowie się nie mogło pomieścić, ażeby Napoleon nie miał ze sposobności korzystać.

Pan Marcin odmiennego był zdania. Zdania atoli swego bratu nie narzucał i, kiedy pan Jan swoje wi-

dzenie rzeczy wykladał, wzruszał ramionami i odpowiadał:

— Może.

— Może jednak — rzekł raz pewnego — wypadłoby nam ład jakiś u siebie zrobić.

— Z kwestją społeczną? — zagabnął pan Jan.

— A no...

Pan Jan głową strząsnął, jakby niemłą jakąś myśl z niej zrzucił.

— Kwestja ta — rzekł — należy nie do nas, ale do rządu, do sejmu polskiego. — On ją rozstrzygnie. Dla nas niewola jest to klosz maszyny pneumatycznej. Pozostajemy pod nim bez powietrza, bez życia, w stanie konserwy narodowej i nie możemy, choćbyśmy władzę posiadali, wprowadzać reform, nadwerężających ustrój społeczny dawnej Polski... Z drugiej znów strony nie mamy do tego prawa najmniejszego. Ja pierwszy obstawać będę za zniesieniem pańszczyzny, za uwolnieniem włościan, za uwłaszczeniem ich, ale w sejmie polskim, z ręką na konstytucji polskiej, w całej pełni swobody swojej obywatelskiej, nie zaś w niewoli moskiewskiej, na to, ażeby Moskale na własny to, co słuszne jest i piękne, zakarbowali rachunek.

Ze słów powyższych wygląda szlachcic polski w całym majestacie swoim.

Bracia nie zgadzali się w zdaniach. Pan Marcin był bardziej Polakiem, niż szlachcicem; pan Jan bardziej szlachcicem, niż Polakiem. Pierwszy na względzie miał naród, drugi państwo. Mimo to kochali się jednak i szanowali, a to dlatego zapewne, że gruntem wspólnym, na którym schodzili się obaj, była uczciwość, płynąca z czystości i uczciwości przekonań. Panu Janowi przekonania jego szlacheckie nie przeszkadzały być dla włościan pewnym rodzajem czuwającej nad nimi Opatrzności. Czynił dla nich wszystko, co ludzkość nakazywała, był panem jak najlepszym i najsprawiedliwszym; był jednak panem w tem przeświadczeniu, że chłop chłopem pozostać powinien, aż konstytucja polska coś względem niego postanowi. Uznać

należy, że tkwił w tem patryjotyzm swego rodzaju, błędny wielce, bo nie biorący w rachunek ducha czasu, który i pod kłosem niewoli żyje i rozwija się — ale na poszanowanie zasługujący.

Pan Marcin zabawił w Motylnicy tyle tylko, że dniówkę sobie sprawił. Przyjechał dnia jednego, pozostał przez następny, na trzeci ruszył w podróż dalszą, w której towarzyszył mu nie sam jeden pan Michał, ale oraz i pan Jan. Szlachta w większej, jak zwykle, liczbie podążała do Kijowa. Ciągnęły ją tam nie same jeno interesy majątkowe, ale przeważnie ta okoliczność, że na kontrakty zjeżdżają się ludzie ze stron różnych, że można o czemś się dowiedzieć, że można zresztą i poradzić się.

Ciekaw kto może wiedzieć, jak młody Zborzeski zachował się w Motylnicy we względzie tej miłości, która mu przeszkadzała miljonowym zostać panem. A nie! Nie podejmując postanowienia wyraźnego, zamierzał nie zaglądać do Hryhora chaty; chciał przez wioskę rodzinną przemknąć się z zamkniętymi, że się tak wyrazimy, oczami. Nie wytrzymał jednak. W dzień dniówki wieczorem poszedł do dziada, mówiąc sobie:

— Powitam, o zdrowie zapytam, popatrzę i powrócę... Nie zabawię jak minut dziesięć... kwadrans najdłużej.

Umyślnie też wybrał moment taki, ażeby dłużej nie móc zabawić. Wybrał się przed samą kolacją.

Serce mu biło tętnem przyśpieszonym, gdy we wrota wkraczał; zatrzymał się, ażeby odnowić praktykę dawniejszą, oglądania sylwetki dziewczęcia przez okienko.

Zatrzymał się i nie szedł dalej. We wrotach przykuł go do miejsca widok jakiś niezwykły. Spodziewał się ujrzeć cieniów kilka znanych sobie, przesuwających się przed szybkami, oświeconemi blaskiem kagańca, i pośród cieniów tych rozróżnić kształtną dziewczyny postać; zamiast kilku jednak widział tłum. Świetlicę po jednej i po drugiej stronie napełniali ludzie jacyś. Przypatrzywszy się lepiej, rozpoznał w nich

chłopów w czapkach i kozuchach. W głowie strzeliła mu myśl:

— Czy nie wesele to?... Iwasia albo i... jej?

Gdyby jednak wesele, byłaby muzyka, byłoby sły-chać śpiewy. Tu zaś ani muzyki, ani śpiewów; gwar tylko jakiś głuchy o słuch mu potraçał.

— Co to znaczy?

Machinalnie postąpił kroków kilka i znajdował się już pod chatą prawie, kiedy z wnętrza jej wyszły dwie postacie. Pan Michał wbok uskoczył i za węglem się ukrył. Postacie zbliżyły się do niego. Poznał głos Iwasia.

— Co będziecie obchodzili! — mówił parobek. — Niema, dziadku, nikogo.

— Dowierzać nie można — odparł mu głos jakiś nieznanym, trochę chrypliwy. — Z Lachami trzeba być ostrożnie... podczołga się psiawiar! niby wąż, ażeby tylko podglądać i podsłuchiwać, co naród robi i mówi... O! trzeba być z nimi ostrożnie...

Pan Michał do ściany przyłgnął i dech w sobie zataił. Iwaś z towarzyszem przeszli mimo niego; nie spostrzegli go. Młody człowiek, gdy niebezpieczeństwo przeminęło, wymknął się z poza węgła, szybko puścił się do dworu i starał się wmówić w siebie, że nic nie widział i nic nie słyszał.

Nie zdołał atoli zamaskować się tak dobrze, ażeby matka i siostry, ciotka, a nawet ojciec i stryj nie dostrzegli na nim wzruszenia pewnego.

Zarzucono go pytaniami.

Pan Michał na zapytania odpowiadał żartami naciąganymi, zapomocą których i swoich uspokoił i uspokoił się sam, ale zewnątrz tylko, nie mógł bowiem wyrzucić z duszy przekonania tego, że się coś knowa — że może teraz dopiero niebezpieczeństwo jakie serjo zagraża tak szlachcie, jak rodzinie jego. Nie mógł nie myśleć nad sposobami odwrócenia jego. Obraz tej, którą kochał, i obraz tej, która jego kochała, ulotniły się z wyobraźni jego. Myślał.

Cóż jednak wymyśleć mógł?

Ojcu powiedzieć — na to, ażeby usłyszeć z półtórzeniem wyrazy następujące: „Wolę, ażeby mnie chłopci zarznęli, niż żeby Moskale bronić mnie mieli!”

Szlachtę uwiadomić — na to, ażeby popłoch pomiędzy nią rzucić i bardziej jeszcze niesposobną do samodzielnej czynności jakiej uczynić?

Położenie zarysowywało się krytycznie, tem bardziej, że pan Michał z kilku niechcący podsłuchanych wyrazów ani znać nie mógł istoty niebezpieczeństwa, ani też sądzić nie był w stanie o rozległości jego. A może to było nic. Może chłopci zeszli się na gawędkę do starego, zwierzali się i nie życzyli sobie, ażeby wynurzenia ich wzajemne odbywały się wobec świadków zbytecznych. W razie takim zaalarmowanie fałszywe byłoby śmiesznością. Nie pozostawało więc panu Michałowi nic innego jak milczeć i — i cóż jeszcze?

Nie oddalać się od rodziny, ażeby na wypadek, gdyby się co stać miało, los jej podzielić.

Takie nasz pan Michał postanowienie powziął i pojechał z ojcem i stryjem do Kijowa.

Na drodze już wieszował sobie, że postąpił tak a nie inaczej. W Wasylkowie, gdzie na noclegu zebrało się towarzystwo liczne, dowiedział się z ust obywateli kilku, że szlachta powiadomiona jest o knowaniach chłopskich, nie wyjmując pana Jana, który wiedział nawet więcej i dokładniej, aniżeli inni. Pokazało się, że powodem bałamuctwa stał się manifest carski, wzywający do *opółczenia*. Lud ukraiński wytłumaczył to sobie po swojemu, nazywając manifest *ukazem* i utrzymując, że popi i stanowi czytali mu nie to, co w ukazie napisano stoi.

— Chłopi moi — powiadał pan Jan noclegującym w Wasylkowie spółobywatelom — byli u mnie żądając, ażebym im prawdę odkrył...

— Czy był i Hryhor Serdeczny? — podchwycił pan Michał.

— Był i on — odparł pan Jan — no... wyłuszczyłem im rzecz całą i, zdaje się, odeszli zadowoleni... Działo się to nie dawniej jak tydzień temu...

Michała uspokoiło to znacznie, chociaż niezupełnie.

— Coś jednak nurtuje im po łbach — odezwał się któryś z obywatelstwa.

— Tradycje kozacze — odrzekł inny.

— Oj, tradycje to! — wtrącił pan Marcin — lecz w postaci powłoki, okrywającej aspiracje, których lud właściwie nazywać nie umie.

— Co za aspiracje?... — zareplikował jeden z poważniejszych. — Jak czerń ciemna aspiracje mieć może?

Pan Marcin odpowiedział na to śmiechem przez nos i westchnieniem.

Nazajutrz podróżni nasi stanęli w Kijowie i utonęli w tej masie obywatelstwa Podola, Wołynia i Ukrainy, jako też prowincyj zadnieprzańskich, jaka się rok rocznie na kontrakty zjeżdża w części dla załatwienia interesów, w części dlatego tylko, ażeby się otrzeć o ludzi. Hotele pełne, domy prywatne pozajmowane przez przyjezdnych. Kijów, drzemiący przez rok cały, wre życiem w pełni całej; rozdzwania się koncertami śpiewaków i grajków zamorskich, rozkwiera się dla teatrów i kuglarstw rozmaitych, rozkłada się wystawami towarów i dzieł sztuki, rozpasowuje się na rozkosze wszelakie, mające urok owoców zakazanych, słowem, zmienia się na tygodni kilka w miasto zachodnie, zażywane na sposób ukraiński. Szlachta rzuca pieniądze garściami pełnemi na fraszki i gorzej jak na fraszki, hula, szumi, gra w karty — och! gra w karty — przez tydzień jeden, drugi, trzeci i powraca do domów... ze skórkami na trzewiki dla małżonek.

Gra na wielką skalę w roku 1855 odbywała się w pomieszkaniu marszałka Y. Zgromadzali się tam sami swoi — i na tem głównie polegał patryjotyzm marszałka, żeby z Moskalami w karty nie grywać. Osobliwy patryjotyzm! Faktem jednak jest, że w pomieszkaniu marszałka Y. Moskale nie byli do towarzysstwa przypuszczani; towarzystwo zaś, które się tam zbierało, czytało kredą na zwierciadłach wszystkich napisane literami wielkimi ostrzeżenie następujące:

„Tu się o polityce nie gada“ i stosowało się do ostrzeżenia tego. O czemże gadać było? O pogodzie, urodzajach, cenie ziemiopłodów? — czy nie nagadano się o tem przez rok cały! O literaturze, filozofji? jeszcze czego nie stało! Nie gadano więc o niczem, tylko grano — grano rankami, wieczorami, po nocach całych, grano ustawicznie w obecności i w nieobecności gospodarza, grano bez wytchnienia. W towarzystwie, co się tam zbierało, zdarzali się z pokolenia młodszego zuchy, co się po trzy doby nie rozbierali i nie kładli. Dzielną młodzież!

Marszałek Y. urzędował w powiecie, w którym leżała Motylnica — był tam przewodnikiem szlachty (dosłownie po moskiewsku *prewoditelj dworianstwa*).

Owóz poranka pewnego szlachciców kilku uwijało się po kwaterach obywatelskich i zapraszało do marszałka i na wieczór. Zapraszanie to miało minę tajemniczą.

— Zachowaj to dla siebie i przyjdź na pewno... o dziewiątej punkt.

I panowie Zborzescy inwitację otrzymali. Przyniósł im ją szlachcic papinecik, znany nam pod imieniem Romcia.

— Pocóż my tam? — zapytał pan Marcin. — W karty nie grywamy.

— To też ekscyjonalnie nie będzie gry wieczora dzisiejszego.

— Cóż będzie?

— Marszałek dał się uprosić prezesowi Xelewiczowi, mnie i innym jeszcze — odpowiedział Romcio głosem niższym — i użycza pomieszkania swego na odbycie w niem narady obywatelskiej... Trzeba bowiem, żebyśmy o czemś pomyśleli...

— Trzeba... — głosem jednym odparli panowie Marcin i Jan.

— A więc, dziś wieczorem, punkt o dziewiątej...

Marszałek Y. mieszkał przestronnie, zajmował pokojów kilka i salon jeden obszerny, w którym zmieścić się mogło osób do sześćdziesięciu. Gospodarz

przedsięwziął stosowne środki ostrożności. W dniu tym właśnie wypadła obiad proszony u gubernatora; pod tym więc pretekstem kazał apartament swój zamknąć od rana i każdemu, coby się w ciągu dnia zgłosił, odpowiadać, że gry niema i nie będzie aż jutro, jak jaśnie pan powróci. Zapomocą tego fortelu oddalono wszystkich uważanych w obywatelstwie za zera. Punkt o dziewiątej zeszli się same tuzy w liczbie osób około sześćdziesięciu i w doborze takim, że każdy Podola, Wołynia i Ukrainy powiat posiadał w tem gronie reprezentanta swego przynajmniej jednego. Byli to sami prawie marszałkowie i prezesowie, sędziowie i deputaci, z okrasą główaczy paru i powag uznanych, chociaż nie tytułowanych, takich, jak panowie Marcin i Jan. Michała nie wezwano na to *conciliabulum* obywatelskie.

Punkt o dziewiątej zeszli się i wnet potem prezes Xelewicz obrady zagał. Zaledwie jednak usta otworzył i...

— Jaśnie wielmożni i wielmożni panowie dobrze... — przemówił.

— Za pozwoleniem!... — zawołał marszałek Y. — Trzeba pozmazywać napisy na zwierciadłach.

Czyn ten heroiczny rozrzewnił obecnych niektórych. Napisy znikły i prezes w przemówieniu związłem przedstawił, że okoliczności są takie, iż trzeba by coś pomyśleć.

Prezes trzymał się w ogólnikach, głos więc po nim zabrał Romcio i popostawiał, że tak powiem, kropki nad i. Przemówienie jego da się w następujących streścić słowach:

— Napoleon nie przychodzi... Moskwa pędzi do Krymu sił swoich ostatki...

— Więc na koń w imię Boże! — ktoś krzyknął ze środka.

I kwestja stała jasno.

Powstał szmer aprobacyjny; odezwało się wykrzykników parę i uciszyło się, zabrał bowiem głos szlachcic jakiś chudy, blady, otwierający oczy szeroko i wy-

rażający się z goryczy pewnej akcentem. Ten wyłuszczył, że w rzeczy samej Moskwa ostatkami goni i powstaćby było można, ale...

— Zachodzi fatalne „ale“, panowie! — zawołał z naciskiem. — Rząd przewidział ewentualność tę i, wiem to z pewnością (tu palec do góry podniósł), trzyma przeciwko nam chłopstwo w odwodzie. Dlaczegoż powołał chłopów do *opólczenia* w gubernjach wielkorozyjskich, u nas zaś nie? Zróbmy powstanie dziś, jutro mamy rzeź galicyjską u siebie.

Słowa te wielkie sprawiły wrażenie. Nastąpiła cisza, a w ciszy tej słyszeć się dał głos spokojny.

— Ja się rzezi nie boję — odezwał się pan Jan, głową kiwając.

— Pan dobrodzieju! — podchwycił mówca poprzedni. — Pan dobrodzieju stanowisz może wyjątek szczęśliwy; ale tu chodzi o ogół, nie zaś o wyjątki.

— Ogół ma na rozporządzenie swoje środek do zneutralizowania pańskiego „ale“ — odezwał się pan Marcin: — zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów.

Pan Jan głową wstrząsnął.

— Eksperyment, panie dobrodzieju, — zareplikował mówca — który się może nie udać, jak się w Galicji nie udał. Do środka tego powinniśmy się byli przygotowywać od lat pięćdziesięciu.

— Prawda... — rzekł pan Marcin. — Nemezis staje przed nami pod postacią zapytania: co to jest Polska.

— Nie pora, panie dobrodzieju, na rekryminacje! — przerwał szlachcic od „ale“. — Tu nie o Nemezis mowa, ale o tem, co robić?

Pan Marcin ramionami ścisnął i przez nos „hm“ rzucił.

W chwili tej zapanowała cisza, w której słyszeć się dało chrząkanie, po którym nastąpiło odezwanie się szlachcica miny buńdziucznej, tuszy nie złej, wąsa ostro podkręconego, czoła wyniosłego i marsowatego.

A my, panie, jużemy zrobili.

Oczy wszystkich z wyrazem zapytania zwróciły się na szlachcica. Ten, miny nie tracąc, prawił dalej:

— Nie wdając się w korowody żadne, wysyłamy do Napoleona umyślnego z zapytaniem: czy i kiedy zrobić powstanie? Jak on każe, tak zrobimy i kwita. Co tu gadać i myśleć długo! Rzecz trzeba brać po żołniersku. Przyjdzie rozkaz... marsz! mości dobrodzieju. Hrrrm!...

Ochrząknął z przyciskiem i zakończył.

Szlachcic ten wyprowadził obywatelstwo z kłopotu wielkiego, dając mu czyn dokonany, który nikogo nie kompromitował, nikogo do niczego nie zobowiązywał i odpowiedź na pytanie „co robić?” odkładał na czas nieograniczony. Każdy przecie rozumiał, że droga ta do niczego nie prowadziła, właśnie jednak dlatego była za dobrą uznana przez wszystkich, z wyjątkiem panów Marcina i Jana, którzy, spostrzegłszy, jaki rzeczy wzięty obrót, chyłkiem się wynieśli. A szkoda, albowiem naprzód nie dowiedzieli się nazwiska wysłańca, które obiegło z ust do ust i powszechną zyskało aprobację, następnie nie wzięli udziału w ostatnim akcie obradczym. Marszałek Y. głos zabrał i tak przemówił:

— A teraz, kiedy narada nasza poufna tak pomyślnie i tak zgodnie się zakończyła, oświadczyć panom winienem, że z ust własnych gubernatora słyszałem, iż chłopstwo spokoju mu nie daje, domagając się oręża. Deputacje od gromad wiejskich idą po deputacjach. Opędzić się im nie może. Jeżeli przeto cesarz Napoleon każe lub nawet tylko pozwoli *) nam powstać... dobrze. Nie wystygła u nas jeszcze krew staropolska, sięgniemy do korda. Jeżeli jednak nie

*) Wyprawienie z krajów zabranych do Napoleona III wysłańca celem uzyskania pozwolenia na powstanie, jest faktem acz nieprawdopodobnym, ale rzeczywistym. Galicja także do Napoleona III wysłańców wyprawiała. Stąd na drogach naszych politycznych bałamuotwa tyle. Nie wiemy, co to jest Polska.

pozwole ani każe, to znaczy, że nie daje rękojmi ani też odpowiedzialności nie bierze na siebie, albo jeszcze, że chce Moskale pod Sewastopolem zgnębić, zniszczyć, ostatki wojska im wytłuc, triumfalnym marszem do Polski wkroczyć i w Warszawie pokój poddyktować. Moskale się tego lękają, generał-gubernator dał mi to do zrozumienia. A więc nie pozostaje nam, jak uwieńczyć poufną naszą naradę zwyczajem storopolskim... pijąc starym węgryzmem za pomyślność zamiarów Napoleona III.

Otworzył drzwi, huknął na służbę, zjawily się tace z kielichami i butelkami, wypito naprzód toast zaproponowany przez marszałka, wypito następnie na cześć wysłańca, wypito dalej zdrowie marszałka, wypito zdrowie szlachcica tego, co z kłopotu wyprowadził, — pito — pito — pito — cieszone się szczerze z odkrycia planu Napoleona III — pito.

A stary węgryzin płodził nie bez duszy żarty.

Toast ostatni był: „kochajmy się“.

XII.

Conciliabulum szlacheckie, któreśmy powyżej opisali, — a które się tak dobrze zakończyło i tak pięknie uwieńczyło — miało odbicie swoje w *conciliabulach* chłopskich, które się ani gorzej kończyły, ani piękniej wieńczyły. Dwie te bowiem połowy społeczeństwa, szlachta i chłopci, stanowią jedno, które, gdyby jednotę swoją zrozumiało, nie przemogłyby go bramy piekielne, a nie dopiero Moskale, powodujący się tą samą polityką, jakiej trzymali się Turcy względem ludów podbitych. Wzorem ostatnich zaborcy Polski usiłują przenaturzyć naród. Dowodzi to tylko, że ufają sobie, nie dowodzi jednak bynajmniej, ażeby zamiarów swoich dopiąć mieli. Szlachta polska na Rusi jest kością z kości, krwią z krwi chłopskiej; chłopskiego jest pochodzenia; może w lud napowrót wsiąknąć masą całą, jeżeli Moskale poforsują; to atoli

nie może Moskalom do osiągnięcia ich celów posłużyć. Rusin Rusinem pozostanie, bo Rusinem z rąk natury wyszedł. Moskale chcą naturę w narodowym względzie poprawiać. Można im tej chętki winszować w tym sensie, w jakim winszuje się półgłówkowi, drającemu się przez okno na księżyc.

Szlachta wyprawiała posłów do Napoleona III; chłopci wyprawiali poselstwa do Wasilczykowa — ostatni z lepszym skutkiem, bo przynajmniej w karki od *wiestowych* dostawali. Jednym i drugim w istocie rzeczy chodziło o jedno i to samo, o wyzwolenie się, pierwszym zapomocą Francuzów, drugim zapomocą Białego Haraba; ci kołatali o pozwolenie, o rozkaz do powstania, ci zaś o oręż czyli także o pozwolenie na powstanie. Moskale chwalili się później, że lud ukraiński okazywał przywiązanie do tronu, dając za dowód zgłaszanie się chłopów do rządu. Dowodów takich samych mieli Turcy ręce pełne przed wybuchem powstania serbskiego w r. 1804. Serbowie narzucali się sułtanowi z wiernością, z miłością, z przywiązaniem bezgranicznym, prosząc, żeby pozwolił im bronić siebie. I chłopci ukraińscy o toż samo prosili. I temu jeno dziwić się należy, dlaczego rząd rosyjski nie wystawił tej ich gotowości na próbę, wówczas kiedy *opółczenia* formować musiał z garnących się niechętnie do szeregów Moskali. Tych chętnych nie ruszał, tamtych zaś niechętnych pędził na obronę ołtarza i tronu. Czemu nie uzbrajał Ukraińców, uzbrajając Moskali?

Manifest carski stał się powodem bałamuctwa umysłów. „Gmin ciemny — pisze Zenon Fisz (Tadeusz Padalica *) — gdy mu przeczytano po cerkwiach

*) W książce p. t. *Udział Polaków w wojnie wschodniej*, wyszłej w Paryżu 1858 r., znajduje się w przypisach na str. 205 i nast. opis treściwy powstania ludowego na Ukrainie w r. 1855. Opis ten jest pióra zmarłego niedawno *Zenona Fisz*a, znanego w literaturze pod nazwiskiem *Tadeusza Padalicy*. Póki Z. Fisz żył, nie można było zdradzać autorstwa jego w tym opisie, odpowiadającym wszelkim wiarogodności warunkom.

manifest cesarski, gdy nadto mądry petersburski synod dołączył swoją do niego odezwę, ozdobioną krzyżem, a zawiłym i niezrozumiałym napisaną stylem, splótł te dwa wypadki jeden z drugim i wyobraziło mu się, że kto chce zostać wolnym Kozakiem, zapisać się powinien do świętego Jerzego... Św. Jerzy zbliżał się, chłopci zaczęli znosić się z sobą, porozumiewać się; chodziło o wpisanie się do Kozaków, ale nie dlatego, żeby iść i walczyć, ale dlatego, żeby zostać wolnym“.

Notujemy świadectwo poważne i wiarogodne, ażeby się zgóry od zarzutu przesady oczyścić.

Chłopom ukraińskim manifest wbił ćwieka we łby.
— Coś to ono jest.

Gromady wsi wszystkich, a więc i gromada motylnicka wyniosły z cerkwi zakłopotanie, z którego wybrnąć nie umiały.

— Naczytał... naczytał... nakręcił językiem, ta licho jego wie, do czego to wszystko idzie...

Odnosiło się to do popa.

Chłop schwycił rozumieniem jedno tylko — ton — ton nie ukazu, a wezwania, prośby. Car prosi. On tego nie pojmował, ażeby car prosić mógł. Car w przekonaniu chłopca przemawia jeno ukazami. Gdzież więc ukaz?

— Hryhore, — zapytywali dziada mieszkańcy Motylnicy — tu czegoś nie dostaje!...

— Nie dostaje...

— Gdzie ukaz?

— Albo ja wiem!

— A gdybyśmy poszli do pana?

— Chodźmy...

Wybrało się trzech conajśluszniejszych gospodarzy, wzięli kure, jaj pół kopy i pszona dwie kwarty i udali się do dworu. Do pana Jana przystęp każdej chwili był otwarty. Zastali go w kancelarji nad książką. Stanęli rzędem przy progu, w pas się pokłonili i podarek na sofie złożyli.

— Cóż mi powiecie dobrego, ludzie dobrzy? — zapytał pan Jan.

— Przyszliśmy oto do wielmożnego pana, naprzód z pokłonem, a potem z... prośbą o radę — odparł Hryhor, składając dłonie obie na lasce.

— Cóż takiego?

— Naczytał nam pop, naczytał, nakręcił, ta czegoś w tem wszystkim nie dostaje...

— Cóż on wam czytał?

— Djabeł jego wie, co...

— Dwa papiery?... jeden bez krzyża, drugi z krzyżem?

— Ono to tak niby...

— Owóż, jeden z tych papierów jest to manifest carski, drugi odezwa synodu. W manifestacie car odwołuje się do narodu, prosząc go, żeby mu pomagał, bo przyszła na niego zła godzina; w odezwie synod popiera słowa carskie, tłumacząc, że wojna, która się obecnie toczy, a o której wiecie zapewne, jest wojną o wiarę prawosławną.

— Car przeto niby prosi, żebyśmy jemu pomagali?

— Tak.

— No i jakżeto?

— Nie wiem — odpowiedział pan Jan.

— Niema na to ukazu jakiego, albo co?

— Nie słyszałem o żadnym, odnoszącym się do tej sprawy ukazie.

— Hm... Pan wielmożny nie wiedzą, naprawdę?

— Nie wiem, naprawdę...

— No... i cóż to ono będzie?

— Nadejdą zapewne rozporządzenia jakieś...

— Nam się jednak zdaje, — rzekł po chwili Hryhor — że ono to bez ukazu być nie może. Bo jakżeby car ukazu nie napisał!...

Pan Jan uśmiechnął się na te słowa i ramionami ścisnął. Uśmiech ten nie uszedł uwagi chłopów. Hryhor chrząknął, głowę spuścił, pomilczał przez chwilę, westchnął i znów zaczął:

— Ot licho, taj hodi... Poradźcie nam, wielmożny panie, co robić mamy...

— Czekać spokojnie — odrzekł pan Jan. — Innej rady niema.

— A jeżeli ukaz jest?

— To go wam przeczytają.

Starzec głową pokiwał z wyrazem nieufności.

— O jakiż to wam ukaz chodzi?... — zapytał pan Jan.

— O jaki? A o tenże, co się hramoty tyczy! Maja to niby naród spisywać, taj niewiadomo, ani kto spisywać będzie, ani kiedy, i naród się niepokoi, boć to przecie wiadomo, że wolność miła każdemu.

— Nic wam we względzie tym powiedzieć nie umiem — podchwycił pan Jan. — Radą moją jest, czekajcie spokojnie, jeżeli nie chcecie biedy jakiej na głowy wasze nawołać. Nie wiem ja ani o ukazie żadnym, ani o żadnem spisywaniu, a jeżeliby coś podobnego było, to dowiecie się o tem nie ode mnie, ale od urzędników, których car na ten cel trzyma, od sprawnika, od stanowego... od popa zresztą. Panom car nie dowierza i przez nich rzeczy takich nie robi. Czekajcie więc i ja czekam, jak widzicie.

Skłonili się w pas wysłańcy gromady, podziękowali za radę i z rozmowy z panem Janem sprawę przed gromadą motylnicką zdali.

Lotem po okolicy całej wieś się rozeszła, że motylniccy chłopci gadali z dziecicem. Do Motylnicy zaglądać poczęli ciekawi, udając się wprost do Hryhora. Z powodu tego chata Hryhora stała się mimowolnie ogniskiem agitacji, nurtującej głucho w gruncie społecznym. Zbierali się w niej chłopci po kilku, po kilkunastu, po kilkudziesięciu.

W chwili, kiedy wspomnienia niewygasłe sprowadziły pana Michała pod okienko chaty Hryhorowej, odbywała się w niej narada walna. Obecni byli na-przód wszyscy prawie starcy, których oglądaliśmy w dniu drugim Wielkiejnocy lat temu dwa bezmała, następnie wielu chłopów innych, gospodarzy poważ-

nych, wszystkich razem około trzydziestu. Obrady rozpoczęły się poważnie, pomimo że zagajenia nie było.

— Coś ja wam powiem, panowie gromada, odezwał się jeden.

Na słowa te chłopci się uciszyli, ścisnęli się około mówcy, ten zaś zapytał:

— A niema tu pomiędzy nami psiawiary jakiego?

Obecni spojrzeli po sobie i po chwili odpowiedzieli pomrukiem, w którym brzmiał akcent obrazy godności osobistej.

— Samiśmy swoi przecie — odezwało się głosów kilka.

— To dobrze — odrzekł mówca. — Trzeba jednak chatę obejść dokoła i zobaczyć, czy nie czai się tam gdzie pod oknem niedolaszek jaki. Bo to, panowie gromada, ostrożność nie zawadzi.

Jedni uznawali ostrożności potrzebę, drudzy nie, skończyło się jednak na tem, że z gospodarzy jeden dla dogodzenia jedynie ostrożnym wyszedł z Iwasiem i, powróciwszy po chwili, zaspokoił zgromadzonych temi niemal słowami, którymi w roku 1851 generał Changarnier zaręczał w wigilję zamachu stanu grudniowego, że zamach stanu niemożliwy jest. Generał Changarnier powiedział:

— Reprezentanci Francji, obradujcie w spokoju...

Chłop, co chatę obchodził, zmodyfikował powiedzenie to w sposób następujący:

— Panowie gromada, bezpiecznie nam tu! Mówcie!

— Owóż, słuchajcie — zaczął ten, co zapowiedział, że ma coś do powiedzenia. — Słuchajcie. Ukaz jest, a w nim napisano stoi, żebyśmy się zapisywali w wolne Kozaki... Stoi w nim napisano tak samo, jak w hramocie, której bez Białego Haraba nie dostanie; car jednak dlatego widać, żeby mieć naród po sobie, wydał ukaz, w który wpisał to samo, co w hramocie, i nakazał stanowym i popom, ażeby ukaz ten narodowi przeczytali i do zapisu pociągali, ale oni uka-

zowi łeb skęcili. Snać Lachy ich podplęcili. Oto jak ono i jest. Lachom nie dziw; rzecz wiadoma, każdy ciągnie na swoją stronę i, jeżeli naród pójdzie w wolne Kozaki, to nie będzie komu pańszczyzny robić... Ale stanowi!... ci biorą pieniądze hosudarskie... Ale popi, ci z narodu żyją.

— I schowaliż, psiawiary, ukaz ten? — odezwał się głos z tłumu.

— Schowali, ta nie tak, żeby się on nie pokazał — odparł mówca pierwotny. — Djak jeden pokazywał go ludziom i ludzie widzieli go na własne oczy...

— Doprawdy? — zapytano pomrukiem.

— A otże, świadek wam naoczny!

Świadkiem tym naocznym był nie kto inny jeno Semen, ów Semen, co to Iwasiowi wykładał czasu onego szczegóły, tyżące się skrzyni z siedmiu zamkami o siedmiu kluczach.

— Widziałem na oczy własne — potwierdził świadek — tak, jak oto teraz widzę was... Pokazywał go djak z naszej wsi mnie i ludziom innym, ta on nie tak spisany jak *bumaga* *), a tak jak książka... Pięknie spisany, mówić niema co! A słyhać także, że gadał o nim panicz z innej wsi.

— Z mojej! — podchwycił chłop jeden. Gadał... sam słyshałem na uszy własne...

— Ta i Francuzi jakieś to niby przedpisanie przysłali — odezwał się inny.

— Przysłali, ale pop przedpisanie to do sądu odstawił...

— Oo!... — zawołało głosów kilka.

Powstał gwar rozmowy ogólnej. Ten prawil to, ów prawil owo, aż się znów uciszyło, pomimo że nikt zabrania głosu nie żądał, i głos zabrał Iwaś. Stało się to jakoś niechący. Coś on komuś odpowiadał, i kiedy rozmowa ogólna ustała nagle, zrobiło się tak, że słowa jego brzmiały śród ciszy i uwagi powszechnej.

— Narodowi wypada teraz — takimi były słowa

*) Bumaga — papier. W Rosji nazywają tak akta urzędowe.

te — samemu o sobie myśleć... A cóż!... Będziemy czekali, aż ukaz przeczytają... a nuż nie przeczytają nigdy!... Będziemy czekali, aż rejestra otworzą... a nuż nie otworzą nigdy!... Przeczekamy i wszystko przypadnie... Mamy się wpisywać w wolne Kozaki, zbierajmy się do wpisu; jak zobaczą, że nas gromada, to będą musieli zrobić, jak należy... Z gromadą nie żarty...

— Dobrze mówi, *bihme*, dobrze mówi — odezwał się Semen pierwszy, temu zaś zawtórowało zgromadzenie całe...

Hryhor urósł niby, usłyszawszy szmer uznania, jaki pokrył pierwsze wnuka jego wystąpienie publiczne.

Stara Oksana, Nastja i Mokryna siedziały rzędem na przypiecku, w głębi świetlicy, przysłuchując się obradom gromadzkim. Babka, gdy tylko głos Iwasia zabrzmiał, potrąciła łokciem matkę i rzekła pocichu:

— Słyszysz?

Matka cała w słuch zmieniona wlepiła w syna oczy.

Siostra nie widziała nikogo, jak Iwasia i widziała go w opromieniu niby. Nigdy ona nie słyszała, żeby kto tak pięknie przemawiał. Zdawało się jej, że z ust mu płynie miód czysty, a kiedy skończył i odezwał się pomruk uznania, dziewczyna westchnęła głęboko i myśl jej popłynęła wprost do Boga, brzemienne uczuciem dziękczynnem.

Po Iwasiu głos zabrał Hryhor. Uznał on zdanie wnuka i poparł je nawet przytoczeniem przysłowia stosującego się do okoliczności, lecz doradzał rozwagę w postępowaniu.

— Należy, — powiadał — poczynać po gospodarstwu. Gdy się bierzesz naprzykład do młocki, nie zrzuć spóów na kupę i nie walisz w nie cepem odrazu, ale je naprzód rozkładasz porządnie, okłotujesz z jednej strony, okłotujesz z drugiej, dalej stawiasz sztorcem i rozbijasz je zlekka, wkońcu przewiązła rozwiązujesz i dopiero młócisz, że aż w krzyżach trzeszczy. Tak i tu. Dobrze, jak wnuk mój powiada, zbierajmy się do wpisu...

rajmy się w gromady, pierwiej jednak odokłotujemy, jak należy, i z jednej strony, i z drugiej strony. Byliśmy u pana, no, i nic. Pan coś wie, bo się uśmiechnął, jakeśmy mu powiedzieli, że bez ukazu być nie może, uśmiechnął się i mówił, że nie wie o niczem. Bóg z nim!... To pewna jednak, że car ukazów nie przesyła na ręce panów, bo oni z nim to tak niby, jak ogień z wodą. O ukaz więc dopytywać się potrzeba u popów i u stanowych.

— Alboż się u popów nie dopytywano!... — podchwycił Semen.

— A ze stanowym czy się dogadasz po ludzku! — zawołał inny.

— Ono to prawda, — odrzekł Hryhor — zawsze jednak trzeba poczynać po porządku. Nad popem i nad stanowym jest przecież jakiś starszy.

— Sprawnik, — odpowiedziano — ale ten na to starszy, ażeby naród obdzierać lepiej.

— A nad sprawnikiem?

— *Gubernator... jednorał...*

— No... to do niego...

— Chodzili ludzie do Kijowa, — zauważył ktoś z tłumu — taj powrócili stamtąd z guzami na karkach i *gubernatora jednorala* nie widzieli.

— To bo to i jest, że nie widzieli. Gdyby widzieli, toby się i po karku nie nabrali i onby im przecie odpowiedź jakąś dać musiał. Czy nie tak?

— Ono... to tak... zdaje się — odpowiedzieli chłopci zgodnym chórem, a jeden się wyrwał:

— Idźcie wy chyba, Hryhore...

Propozycja ta znalazła poparcie ogólne.

— Hm... — mruknął starzec — jeżeli taka gromady wola...

— Idźcie!... idźcie!... — wołano ze stron wszystkich. — *Hodi, hołatni* do panów, do popów i do stanowych.

— Ja-ż sam jeden nie mogę!... — Samemu jakoś nie wypada... — wymawiał się dziad.

— To dobierzcie sobie jeszcze kogo!... — odezwał się jeden.

— Niech idzie z wami Semen! — dorzucił inny.

— Niech idzie Taras, szewc!

— Niech wam i parobek towarzyszy, ażeby *jednoraz* widział, że to nie od samych starców idzie rozprawa, ale że i młodzi mają do kozakowania ochotę! — wtrącił któryś.

Starzec wymawiał się jeszcze, nacisk jednak tak był wielki, że wymówić się nie mógł. Decyzja zapadła jednomyślnie i jednozgodnie. Hryhor, Semen, Taras, Iwaś i jeszcze jeden, który sam ochotę okazał — wybrani zostali do składu deputacji, opatrzonej w plenipotencję, acz ustną, ale nieograniczoną i — dodać należy — nieokreśloną. W takiej samej deputacji i z taką samą plenipotencją pojechał wysłaniec szlachty do Napoleona III.

Na tem się *conciliabulum* chłopskie zakończyło. Uwieńczeniem jego nie był, jak u marszałka Y., węgrzyn, był jednak napitek. Flaszka z ciecżą rzemienną pojawiła się w izbie. Hryhor napił się w ręce do sąsiada czy kuma, ten do następnego i czarka w kolej poszła.

— Na zdrowie! na *szczęście! w ręce wasze! Daj, Boże, ażeby dzieci nasze nie znały pana nad sobą... Daj, Boże, ażeby synowie i wnukowie nasi po wieki wieków byli wolnymi Kozakami...

Tak przemawiali chłop do chłop.

Któryś tam wspomniął o spisach, o krwi.

— Panie, broń! — zakrzyczano go. — Co Kozak to nie hajdamaka!... Co swoboda to nie Koliszczyzna!

Po obejściu kolei jednej, drugiej chłopci po jednemu, po dwóch wysuwać się poczęli z chaty Hryhora i w niespełna godzinę wypróżnili ją całkowicie. Pozostali sami domownicy.

Hryhor zakurzył sobie lulkę, usiadł na stołeczku i zamyślił się; kobiety starsze krzątały się około wieczerzy, spóźnionej z powodu narady; Iwaś stanął przed piecem i, zdawało się, śledził bacznie okiem

za zwojami uciekającego w komin płomienia; Mokryna, ująwszy się ręką za słupek podtrzymujący okap, wpatrzyła się w brata. Wpatrywała się w niego niby w obraz cudowny. W oczach jej jaśniało coś nakształt zachwytu. A było w tem wpatrywaniu się coś takiego, że aż zwróciło na siebie Iwasia uwagę. — Rzucił razy parę okiem na siostrę zukosa, wkońcu zapytał jej:

— Co ty, Mokryno?

Dziewczę na zapytanie to nie odpowiedziało nic.

— Czego ty się tak patrzysz na mnie?

— Niczego, braciszku... Patrzę się i myślę sobie...

— Ta o czymże?

— O tej siostrze, co bratu konia wyprowadzała i czystym owsem z dłoni go karmiła...

— O tej z pieśni?

— Z pieśni, Iwasiu... Ta mi smutno jakoś, a smutno mi dlatego, że pieśń powiada, że siostra czekała i doczekała się biedna tego, że przyprowadzono konia wronego, a brat pozostał w czystym polu, na mogile i rosa mu oczy płókała... I cóż, że był atamanem!...

Tu łzy dziewczynie z oczu strumieniem popłynęły.

— Co tobie, Mokryno! — odezwał się Iwaś z przyciskiem.

— Jaby nie chciała pozostać jak ta siostra...

— Więc cóż?

— Jaby ciebie nie odstępowała...

— I!... co się tobie po głowie płacz!... Ot, pomyśl lepiej o tem, że nie widać, jak Ochrym przyśle swatów z ręcznikami...

— Nie chcę!... — krzyknęła dziewczyna z pewnym rodzajem przerażenia, które w głosie jej zabrzmiało. — Nie chcę ani swatów, ani ręczników.

— Nie chcesz od Ochryma, to od drugiego przyjdą parobka, który ci będzie luby... — rzekł Iwaś tonem spokojnym.

Mokryna głowę spuściła i odpowiedziała, jakby mówiła sama do siebie:

— Który mi będzie luby?... Alboż to będzie który luby mi kiedy!...

— Na toż ty się dziewczyną urodziła... Pora przyjdzie, polubisz...

— Oj nie... pora ta nie przyjdzie nigdy chyba...

— Et, gadasz!... Tobie przecie nie w głowie panicz żaden!

— Ani panicz, ani nikt, Iwasiu! — podchwyciło dziewczę. — Mnie w głowie ty jeden, bratijku...

— Jaż tobie bratem jestem i bratem pozostanę... — odrzekł parobek tonem rozrzewnienia — i nie przestanę być bratem tobie, chociaż ty zamąż pójdziesz... Ot widzisz, i babusia za mężem była, i matka była, i tobie to samo sądzono...

Dziewczyna westchnęła i byłaby, zdaje się, coś odpowiedziała, gdyby matka na wieczerzę nie była zawołała.

Powieczerzali i na spoczynek się udali.

Od dnia następnego rozpoczęło się wyprawianie deputowanych w podróż. Kobiety wzięły się do prania i szycia, mężczyźni do przyrządzania pojazdu. Ostatni przedstawiał niełatwą do rozwiązania zagadkę. Zima jeszcze trwała i sanna trzymała się dobra, sanie przeto nastreçały się same przez się — i gdyby tu chodziło o mil kilka, albo, zresztą, i o kilkanaście, lecz z powrotem natychmiastowym, to myśleć nie było o czem, jeno zaprzęgać do sani. Droga jednak była daleka i czas pobytu w Kijowie w żaden sposób zgóry obliczyć się nie dawał. Wypadnie może zabawić dzień jeden tylko, a może tydzień jeden, drugi i trzeci, śnieg zginie i... wracaj tu saniami po błocie! Hryhor przeto głową kręcił i na to się wkońcu zdecydował, że wasąg na sanicach osadził, osie włożył do środka, koła poprzywiązywał ztyłu i po bokach, wziął maźnicę, sworzeń, lusznie, wagę, kołki, bardę, siekierę, świder, strug, słowem, wszystko, co potrzeba do przerobienia sani na wóz. Rzeczy takie nie robią się w chwili jednej. Przysposabianie się do podróży zabrało dni kilka, wybieranie się drugich kilka, a trzebaż było jeszcze i o *wid* się na ekonomji wystarać, ażeby, broń, Boże, nie dostać się gdzie w ręce policji

i, zamiast w Kijowie, w furdydze nie siedzieć. Należało przytem pomyśleć i o tem, żeby przed gubernatorem z próżnemi nie stawać rękami, co się przedstawiało pod postacią sęka niełatwego do rozbicia. Lachy lubią kury i jaja; kołaczem ich ująć można. Ale gubernator!

— Moska!... — myślał sobie stary, Moska! się nie łakomi na łakocie... Co on lubi?... *Hroszi* lubi... *hroszi* mu dawaj: stanowemu karbowańców trzy, sprawnikowi sześć, a... to gubernatorowi chyba ze dwanaście...

Cmoknął stary, markotnie mu się zrobiło, podrapał się w zatyłek, westchnął i odliczył rubli dwanaście osobno, które w kwiciastą zawinał chustkę.

Przygotowywanie się, wybieranie i rozmyślanie zajęło czasu około tygodni trzech. Nareszcie przyszła godzina odjazdu. Dnia pewnego równo ze świtem wyruszył z Hryhorowego podwórza wasąg na saniach, zaprzężony trzema konikami i wyładowany po brzegi; Iwaś powoził, czterej zaś towarzysze jego usadowili się w ten sposób, że im nogi z półdrabków w powietrzu wisały. Konięta, napiąwszy się w szlach z sił całych, ledwie nie ledwie pojazd z miejsca ruszyły. Trzeba było zachęcać je cmokaniem i batogiem. Ruszyły jednak, ale poszły stępem, co dało możność Oksanie, Nastji i Mokrynie odprowadzić podróżnych naszych za wieś aż do figury. Mogłyby towarzyszyć im, idąc piechotą, do Kijowa samego, gdyby nie chata, której opuszczać się nie godziło. Kobiety więc przy figurze się zatrzymały, życzeniami drogi dobrej i powrotu pomyślnego podróżnych pożegnały i napłakawszy się, do chaty powróciły.

O! jakże chata pusta się im wydawała.

Jeszczeż w dzień, jak w dzień. Jasność dniowa ma to do siebie, że rozprasza myśli posępne. Ale wieczór!... wieczór pierwszy, wieczór drugi, wieczór trzeci, a dalej czwarty, piąty i następne. Wieczorami czuć się dawało najdotkliwiej sieroctwo niby.

— Gdzież oni teraz?... — zapytywała jedna drugiej.

Mokryna myślała wciąż o Iwasiu, a nie snuła myśli smutnych, wydawało się jej bowiem, że wyprawa, do której Iwaś należy, nie może niepomyślnego wziąć obrotu. Taką względem brata ufnością nieograniczoną przejęta była!

— „Niechno jeno przed gubernatorem stanie i niech tylko do niego przemówi!...“ — powtarzała sobie często, siedząc z kądzielą na przypiecku, kiedy babka i matka za domem się około gospodarstwa krzątały.

Tak minęło tygodni parę. O podróży wieści żadnej, zato krążyć zaczęły pogłoski o występowaniu gromad tu i owdzie. Pogłoski te przychodziły wraz z odwilżą i były natury niepokojącej wielce. Rozpowiadało dziwne dziwy. Gromada ta zaprzysięgła, tamta się w rejestry wpisała. Trudno było temu wierzyć. Podawano jednak szczegóły najwiarogodniejsze, o których kobiety w Hryhorowej chacie długo nieraz w noc gwarzyły, wnioski różne wysnuwając.

— Kto wie, gdzie oni. Może oni wolnymi Kozakami na podwórko wjadą, nie na wozie, ale na koniach wronych...

Mokryna przędła nić i wraz z nicią przędła rojenia, ukazujące jej brata w atamańskiej odzieży. Na przypiecku było jej dobrze. Zapominała się nieraz. Puszczano wrzeciono i zamykała oczy, ażeby słuchać pieśni jakiejś uroczej, która we wnętrzu jej duszy niby śpiewała słowami, niby grała muzyką czystą i w której widziała Iwasia harcującego na koniu, na takim samym koniu, na jakim widywała panicza, co tak często niegdyś do dziadka przychodził, tak dziwnie na nią spoglądał i tak pięknie o Kozaku śpiewał. Pieśń ta, którą z pod topoli niegdyś słyszała, służyła jej niejako za nastrój ducha w tworzeniu rojeń o bracie. Brat był jej bohaterem.

— Mój braciszku!... mój Iwasiu! — mówiła sama do siebie. — Ja tobie konia wyprowadzę, ale ciebie samego nie puszcę...

I roiała, i śniła na jawie, siadając godzinami całej-

mi z kądzielą na przypiecku. Zdarzało się jej nieraz, oczy otworzyła i ujrzała w izbie babkę, albo matkę, nie słysząc, kiedy weszły.

Zdarzyło się jej raz tak: oczy otworzyła i ujrzała w izbie panicza. Stał przed nią, patrząc na nią. Mokryna nie wiedziała, co z sobą począć. To gorąco, to zimno się jej robiło; poprawiła kądziel za pasem i pochwyciła wrzeciono, chcąc prząść dalej, lecz się nitka urwała i wrzeciono z rąk jej wypadło. Zeskoczyła z przypiecka i była chwilka, w której mignęła jej myśl w głowie: uciekać. W tej jednak chwili panicz przemówił:

— Dzieńdobry, Mokryno...

Głos jego był taki jakiś zaspokajający, że zamiaru uciekania odrazu zaniechała. Oczy spuściła, wnet je atoli podniosła i odpowiedziała pocichu:

— Dzieńdobry.

— Ty sama?

— Sama... Babusia i matka na podwórku... pójdę po nie...

— Gdzież Hryhor?...

— Dziadusia w domu niema...

— Chciałbym się z Hryhorem widzieć... Prędko przyjdzie?

— Nie przyjdą oni, bo oni pojechali z Iwasiem dwa tygodnie temu i niewiadomo, kiedy powrócą...

Panicz zakłopotany się być wydał odpowiedzią tą. Brwi zmarszczył, niecierpliwie ręką rzucił i rzekł z przyciskiem:

— Ha!...

Przez chwilę zachował milczenie, poczem odezwał się, lecz nie w rodzaju zapytania:

— Ani Hryhora! ani Iwasia!...

I westchnął.

Po chwilce znów się odezwał:

— Ja tu nie przyjdę, póki oni nie powrócą, a jak powrócą, niechże mi znać dadzą natychmiast...

Mokryna na to nic.

— Powiesz im to, Mokryno?... — zapytał tonem prośby.

— Powiem... — odbąknęło dziewczę.

Panicz zwrócił się, jakby chciał odejść, lecz się zatrzymał; znów się ruszył, znów się zatrzymał; spróbował po raz trzeci — zdawało się, że siła jakaś wyjść mu nie pozwala; nareszcie rzekł:

— Bądź zdrowa, Mokryno... Ja tu nie przyjdę... aż powrócą...

Głos jego miał akcent smutny, rzewny, do duszy przenikający. Westchnął i wyszedł. Mokryna go do drzwi oczami zdziwionemi odprowadziła i także westchnęła. Żal się jej go zrobiło, nie wiedzieć dlaczego.

XIII.

Podróż deputowanym naszym wiodła się nieosobliwie, pomimo że wypadków nie doznali żadnych. Szwankowała na pośpiechu. Konięta słabe, pojazd obciążony, ich pięciu, nie dziw, że na dzień więcej nad mil trzy zrobić nie mogli. Droga sanna dobra wprawdzie była, lecz szła nabojem i dlatego koń trzeci na przyprzążce nie tylko się nie przydał, ale trzeba go było wyprząc i ztyłu uwiązać. I tak jednak pośpieszać nie mogli, jechali bowiem do Kijowa, kiedy obywatelstwo z kontraktów wracało, musieli więc ustawicznie prawie trzymać się bokiem traktu i brodzić w śniegu po pas. Wlekli się przeto tydzień cały, aż się zawlekli nareszcie.

— *Hospode, sława tobi!*... — zawołał Hryhor, żegnając się, gdy ujrzał wdali złociste kopuły Ławry i sofijskiej sobornej cerkwi.

Kijów wędrowcom naszym, nie wyjmując Iwasia, nieznany nie był. Iwaś raz, inni po razy kilka w życiu odbywali pielgrzymkę w celu oddania pokłonu cudotwórcom i wybrańcom pańskim i utwierdzenia się w przesądach, krzyczących o pomstę do nieba. Hryhor miał w Kijowie kuma, który na Łebedi mieszkał

i u którego się zazwyczaj zatrzymywał. Stary trzyznał mu dziecko do chrztu lat temu z pięćdziesiąt. Kum szynkował i było u niego gdzie i konie postawić, i ludziom się przytulić. Do niego więc zajechali podróżni nasi.

— *Słychom słychaty, wydom wydaty!*... — zawołał kum od szynkwasu, gdy Hryhora wchodzącego zoczył.

Starzec na powitanie stosownie odpowiedział.

— Cóż tam u was słychać? — Formują się u was pułki i sotnie kozacze?

— Licho tam, formują się! — My tu poto właśnie przybyli, żeby o tej rzeczy popyt wziąć.

— Kiedy tak, — kum na to — to wracajcie do domu! Nie mieliście przyjeżdżać poco...

— Ha! gromada nas wyprawiła, to wracać nie możemy bez rozmówienia się z *gubernatorem jednorałem*.

— Wola wasza... Wiecie, jak się generał-gubernator nazywa?

— Djabli jego wiedzą!...

— Książ Wasilczykow — rzekł kum z przyciskiem. — Hej! a jaki sobie pyszny!

— Książ to tak niby od cara? — zapytał Hryhor.

— Nie niby, a wprost od cara...

— No, no... Trzeba będzie w cerkwi którejs świeczki przed obrazem postawić, nim do niego pójdziemy...

— Nie na wiele to się przyda...

Ręką kum machnął.

Nie był to wstęp zachęcający. Nie było jednak rady. Nie wypadało wracać od progu prawie gubernatorskiego, zrobiwszy drogi tyle. Deputowani więc nasi, wypocząwszy dzień jeden i spędziwszy drugi na zwiedzaniu cerkwi, stawianiu świeczek i biciu pokłonów przed świętymi na intencję pomyślnego sprawy obrotu, w dniu trzecim, ubrawszy się odświętnie i zabrawszy chustkę kwiecistą z karbowaniami, udali się na Peczersk do pałacu gubernatorskiego.

Dzień ten stracili daremnie; dzień następny i następnych kilka jeszcze stracili także daremnie. Albo ich nie wpuszczano, albo też sami wejść nie śmieli. Aż przyszła ich godzina. Wchodzą do sieni — sień ogromna — zatrzymali się. Czynownik jakiś czy służący ukazał im schody i powiedział:

— Idźcie tam... na górę...

Poszli i przed drzwiami jakimiś znów się zatrzymali. Przed drzwiami temi stał szyldwach.

— Wy do kniazia?

Chłopi odpowiedzieli potwierdzająco.

— Tak, *wot*, idźcie tędy. Książę dał przykaz wpuszczać muzyków.

W rzeczy samej deputowani nasi trafili szczęśliwie na moment, w którym książe Wasilczykow, ówczesny generał-gubernator, słysząc o ruchach chłopskich w powiatach kijowskim, wasylkowskim, kaniowskim, skwirskim, zwinogródzkim, humańskim, czerkaskim i czehryńskim i wiedząc o wyprawianych do niego deputacjach, powziął był zamiar rozmówienia się z deputacjami kilku osobiście, ażeby wpłynąć na chłopstwo powagą swoją gubernatorską. Deputowani przeto nasi potrącani byli niejako od drzwi do drzwi, aż dostali się pomiędzy adjutantów, okrytych akselbantami i naszywkami. Złoci owi a barwiści ludzie zaimponowali im i strwożyli, zarzucili ich bowiem pytaniami i zasypali żartami, które ustały nagle, gdy się ukazał jegomość jakiś w błękitnym mundurze z galonami i orderami, miny ostrej a zamaszystej. Hryhor w pas mu się pokłonił, myśląc, że to gubernator. Jegomość ów jednak, który był pułkownikiem żandarmerji, kazał im iść za sobą, wprowadził ich do komnaty przyległej i rzekł:

— *Wot jeho sijatielstwo, książę Wasilczykow, generał-gubernator...*

Znaleźli się wobec innego jegomości, również w mundurze i z gwiazdami.

— *Czto wy?* — było odezwanie się, którem Wasilczykow powitał deputowanych chłopskich.

Hryhor złożył mu naprzód ukłon w milczeniu i następnie podał chustkę z karbowaniami.

— *Eto czto?*...

— To nic... to tak sobie — odparł starzec, kłaniając się. — To z pokłonem.

Gubernator wręczył chustkę pułkownikowi, ten rozwinął ją i pokazał mu, co zawiera w sobie.

Był moment, w którym Wasilczykow osłupiał. Wnet jednak zmiarkował, że w datku dwunastorublowym nie może tkwić intencja przekupstwa. Ochłonął więc i zapytał, co to znaczy.

— To pokłon... My do panów kury i jaja niesiemy, a do jaśnie wielmożnego *jednorata i gubernatora* i kniazia przyszedliśmy z karbowaniami.

— Skąd wy?

— Z Motylnicy.

— Powiatu?

Chłopi powiatu nazwać nie umieli, ani też sprawnika po nazwisku, ani stanowego. Nazwali tylko dziedzica (*pomieszczika*).

Gubernator, usłyszawszy nazwisko pana Jana, zwrócił się z zapytaniem o niego do pułkownika, który mu jednym odpowiedział słowem:

— *Złoumyślennyj* (źle myślący)...

— Czegoż wy chcecie?

Na zapytanie to Hryhor, pokłoniwszy się raz jeszcze, wyrecytował całą przemowę, jaką sobie zgóry ułożył, w której wyłuszczył pretensję do popów i stanowych za ukrywanie ukazu, polecającego otworenie registrów i wpisywanie narodu do wolnych Kozaków. Książę z przemówienia tego nie zrozumiał nic a nic. Wiedząc jednak mniej więcej, o co chodzi, odpowiedział przemówieniem również zgóry ułożonem, w którym, pochwaliwszy chłopów za ich wierność i przywiązanie do tronu i wiary prawosławnej, zalecił im, ażeby spokojnie siedzieli, pańszczyznę odrabiali i nieposłuszeństwa żadnego nie okazywali, jeżeli nie chcą pod pałkami ginąć. Ostatnia część przemowy wygłoszona była najenergiczniej i najdobitniej.

Wyraz „pałki“ spadkowy rozmaicie bił chłopom młotem w bębenki uszne. Nic też więcej nad to nie zrozumieli. Wysłuchali przemowy gubernatorskiej w pokorze i z uszanowaniem głębokiem; Wasilczykow skończył, kazał pułkownikowi oddać im rubli dwanaście i wyprowadzić ich za drzwi.

— Ot i *nahoworył!* — rzekł Hryhor do towarzyszy, znalazłszy się na ulicy.

Semen, Taras, Iwaś głowy pospuszczali i szli za starcem kupą.

— Zrozumiał kto z was aby słowo jedno?

— Pałki — odpowiedzieli wszyscy razem.

— Ot tobie i rozmowa z Moskałem! Książ czy nie książ, gubernator czy nie gubernator, aby ino Moskał, tak się wnet z pałkami wyźwierza. Ot tobie i masz! I cóż my teraz narodowi powiemy?

— Powiemy, dziadusiu, niech sam myśli o sobie — odrzekł Iwaś.

— Chyba, że tak.

Przyszli na miejsce przytuliska swego.

— I cóż tam? — zapytał kum z za szynkwasu.

— Nic.

— Widzieliście księcia?

— Tylko tyle, żeśmy go widzieli.

— I mówiliście z nim?

— Ta jakie to było mówienie! Ja jemu rozpowiedział po ludzku, jak należy, a on mi odpalił po moskiewsku, tak samo jak i stanowy potrafi. Daremnieśmy się tylko obtracili i natrudzili.

— Dziękujcie Panu Bogu, że wam karków nie natłukli. Tyle waszej wygranej.

— Pałki, te pałki — rzekł Hryhor sam do siebie. Nie, my się z Moskałami nie dogadamy nigdy. Książ ten łaskawie przyjął i od czegoś ta zaczął, bo mówił głosem takim, jakim dziedzie nasz przemawia, a jednak na pałkach skończył. Dogadamy się my chyba z Lachami, niechno jeno Moskał lepiej ich pociśnie.

Nie mieli już czego dłużej w Kijowie pozostawać. W zamiarze starca było pokłonić się jeszcze na od-

jezdnem świętym ugodnikom, lecz ponieważ z niczem wracał, więc i ugodnikom dał pokój. Ruszyli więc, nie zwłócząc, w podróż zpowrotem.

Powrót mieli bardzo ciężki. Saniami zaledwie się do Wety dowlekli, a tam przez dni parę zabawić musieli, ażeby wasąg na kołach osadzić. Niewiele to atoli pomogło. Roztopy przyspieszać nie dawały, pomimo że zamróż trzymała jeszcze; wóz na drodze grzązł po osie i szedł niby w pługu. Podróżni nasi posuwali się naprzód noga za nogą, korzystając jeno z porankowych i wieczornych przymrozków. — Zdarzały się dnie atoli, w których mili jednej zrobić nie mogli.

Nie w samej jednak drodze tkwił powód opóźnienia w podróży. Przyczyniały się do tego i rzeczy postronne, a mianowicie ruchy ludowe, na które tu ówdzie natykali. I tak naprzykład, dojeżdżając do wsi pewnej nad wieczorem, kiedy ostry przymrozek błota ścinał, zdaleka już słyszeli gwar głosów ludzkich i wrzawę okrzyków, wśród których odzywały się wywoływania męskie i piski niewieście. Wjeżdżają i widzą gromadę całą zebraną pod cerkwią.

Zatrzymali się.

— Co to się dzieje? — zapytał jeden z nich chłopca pierwszego lepszego.

— A co! — pop psiawiara schował ukaz, ta gromada z nim rozmawia... Musi, maćby mu kręciło! i ukaz pokazać i mołebień odczytać i do przysięgi przyprowadzić i wpis otworzyć. Prosili my długo po dobru!...

W chwili tej ujrzeli podróżni nasi popa wśród gromady. Wyglądał nie najlepiej. Rasa na nim poszarpana, włosy rozczochrane, twarz pobita i skrzywiona, odzież zabłocona; chłop jeden trzymał go za warkocz, drugi za ramię, baby zaś wrzeszczały z sił całych:

— Złodziej! złodziej!...

Toczyła się z nim indagacja w sposób niezupełnie godziwy.

— Gdzie ukaz? — wołano na niego ze wszystkich stron.

— Ludzie dobrzy, — odpowiadał pop głosem lęklwym — co wam, Bóg z wami... o żadnym nie wiem ukazie.

— Ukaz!... Ukaz! — rozlegały się krzyki.

— Niech mołebień prawil!...

— Nie, niech ukaz pierwej pokażel!...

Pop ręce składał i błagalnym przemawiał głosem:

— Przysięgam Bogu! niech mnie krzyż pobijel! niech z dzieci pociechy nie doczekam! jeżelim widział ukaz na oczy...

Jęknął, szarpnięty za włosy silnie.

— Ukaz!... pokaż ukaz!...

— Ludzie, dajcie mi pokój!... Bóg was ciężko pokarze za męczarnię moją niewinną.

— Ha, ha!... chleb nasz jesz, a przeciwko narodowi stajesz!...

— Ja nic o niczem nie wiem!...

— A no, wsadzić go na koła!... — zawołał ktoś z tłumu.

W tłumie zrobił się ruch. Pop prosił, błagał, zaklinał, ręce składał — nie pomogło nic. Posadzono go na osi przedniej z dyszlem od wozu drabiniastego, uwiązano go do niej i wśród śmiechów i okrzyków wesółych gromady, powozić poczęto po grudzie. Do dyszla zaprzęgli się parobcy młodzi i starali się biegać jak najszybciej. Męczarnie popa musiały być straszne. Wydawał jęki i wołał:

— Ludzie! zlitujcie się!... duszę wytrzęsieciel!... oj!... och!...

Obwożonego razy kilka w ten sposób, za każdym przystankiem zapytywano:

— Ukaz?

Za każdym razem pop odpowiadał:

— Skąd-że ja go wezmę!...

Aż ktoś krzyknął w ciżbie:

— Wody!...

Wnet wożenia zaniechano; odwiązano popa i poprowadzono go do znajdującej się nieopodal studni

i tam wpół-obnażonego wodą oblewano, powtarzając za wiadrem każdym:

— Ukaz!...

— Skądże ja go wezmę! — jęczał pop.

— Wyśpiewasz ty wszystko, jak woda obmarznie na tobie! — odezwał się jeden z gromady.

Rzecz była możliwa, co się obmarznięcia tyczy, albowiem mróz pociskał coraz to silniej.

Nareszcie, gdy zimno śnać przejmować popa zaczęło do kości i gdy poznał, że ani prośby jego nie pomagają, ani stan politowania nie wzbudza, ani odprysięgania się i zaręczania najuroczystsze wiary nie znajdują, zawołał rozpaczy głosem:

— Puście mnie!... ukaz jest!... pokażę!...

— A no!... Aha!... O!... I!... — odezwały się zewsząd okrzyki męskie, niewieście i dziecinne.

— Widzisz... pop gadzina!... — wołał jeden.

— Tylko z nim umieć gadać potrzeba! — dodawał drugi.

— I mołebień odczytasz? — zapytał ktoś z tłumu.

— Odczytam — była odpowiedź popa, zdecydowanego już na wszystko.

— Niechże starosta cerkiew otworzy, a pałamarz świece pozapala!...

Na Ukrainie, ba i na Rusi całej lud nie ma dla popa żadnego istotnego szacunku ani też zaufania do niego. „Uważa on go — powiada T. Padalica *) — jako narzędzie potrzebne przy cerkwi dla odprawiania służby Bożej, dla chrzczenia nowonarodzonych i chowania zmarłych, ma nawet przy każdej cerkwi obieralnego starostę, który pilnuje skarbcza od długich rąk popa i oblicza go zawsze co do grosza. Ciemnota tych kapłanów i łakomstwo są przedmiotem wielu pogardliwych anegdot u ludu, a stan w pojęciu ich najlepiej uposażony w dochody, gdyż, wedle treściwego ludowego określenia, „z żywego i z umarłego on bierze“.

Zaniechano zadawania popu męczarni i chłopów

*) Udział Polaków w wojnie wschodniej, str. 207.

kilku udało się z nim od studni na probostwo, skąd niebawem wyszli z zadrukowaną jakąś, z książki *in foljo* wydartą ćwiartką. Ćwiartkę pop w rękę trzymał.

— Oto ukaz, panowie gromada! — zawołał chłop jeden głosem triumfu.

— Czytaj! — krzyknął tłum głosem jednym.

Pop rozkaz ten wykonał. Czytał. Co on tam czytał, tego zapewne i on sam nie wiedział; nie rozumiał go nikt — zresztą, o rozumienie nikomu nie chodziło. Niezrozumiałość *bumag* urzędowych aż nadto znana była ludowi. Dość, że jest ukaz, że go im pokazano narzeczcie, że go własnymi oglądają oczami. Interpretację aktu tego wzięli całkowicie na siebie, po którego uzupełnieniu udali się do cerkwi.

Cerkiew jaśniała wewnątrz setkiem świec i świeczek, pozapalanych przed obrazami.

Pop ubrał się w ryzy i wystąpił z moлебniem.

Lud napełnił świątynię pańską.

I był to widok imponujący. W oświetleniu wyglądały ikony niby żywe i patrzyły z wysokości ikonostasu na lud kornie skupiony u stóp ołtarza, przed którym kapłan w szatach pozłocistych zanosił modły do Pana zastępów. Głos kapłana, drżący od wzruszenia, mimo to uroczysty, uroczystem echem rozpływał się po cerkwi, nad głowami pochylonemi ludu i wpływał w wydrążenia wież, ażeby tamtędy do nieba się dostać. Filozofa, moralistę, człowieka na świat i rzeczy ludzkie zapatrującego się trzeźwo widok ten przejałby zgrozą oburzenia. Wiedząc, jak do modłów tych przyszło, włosyby mu na głowie powstały. Na rzeczy jednak podobne zapatrywać się należy okiem przyćmionem nieco, chcąc iluzje zachować. Tym, co wołają: „Mniej szkół, więcej kościołów!“, widok ten podobałby się wielce. Widzieliby w nim triumf wiary, który był w rzeczy samej. Wiara uratowała popa od zamrożenia. Pokazał wydartą z księgi kartę i lud uwierzył. Stał przed ołtarzem i lud z wiarą go otoczył. Skończył moлеbeń i lud pogarnął się do przysięgi, którą

składał na ewangelję i przy której djak chłopów imiona na arkuszu papieru spisywał.

Deputowani nasi asystowali aktowi temu od początku do końca. Widowisko, jakie mieli przed oczami, obalamuciło ich. Nie umieli sobie z niego sprawy zdać jasnej. Nocowali we wsi tej w karczmie, do której z wieczora zeszło się ludu huk, słyszeli gwar rozmów wesołych, słuchali pieśni kozacych, dźwięki jakiś, pozostałość śnać lirników dawnych, opowiadał kazkę długą — w gwarze tym noc spędzili i nieprędzej aż nazajutrz zastanowić się mogli nad tem, co widzieli i słyszeli.

— Ot, taki do ukazu się dobrali! — odezwał się Semen.

Hryhor głową pokiwał z akcentem niedowierzania.

— Cóż robić mieli! — odparł Semen.

Hryhor ramionami ścisnął i odrzekł:

— Jakoś to tam ono nie tak się zrobiło, jak powinno...

— Jakże się robić powinno...

— Inaczej jakoś... Ten pop?... hm...

— Co pop, to hadiuka — rzekł Semen sentencjonalnie.

— Ja nie mówię nic... przecież... licha jego wie!... w tem wszystkiem jednak jest jakaś *gańcz*, ot nie chciałbym już podobnego oglądać widowiska.

Chceni starca w części jeno stało się zadość. Nie oglądał już wprawdzie widowiska, w któremby pop główną odgrywał rolę; ale oglądał inne. We wsi o mil parę od Motylnicy odległej, w swojej już okolicy, w swoim powiecie ujrzał przed karczmą gromadę całą, zebraną w pełnym komplecie, nie brakło bowiem dzieci nawet przy piersi. W gromadzie tej deputowani nasi mieli znajomych. Ci, gdy ich zoczyli, do wozu podeszli i rozpoczęli wzajemną wymianę zapytań i odpowiedzi, z których pokazało się, że gromada wymówiła posłuszeństwo dziedzicowi, radzi sama o sobie i właśnie oczekuje na stanowego, który bytność swoją zapowiedział.

— Cóż dziedzic? — zapytał z deputowanych jeden.

— No nic. Powiedział: „Róbcie sobie, jak chcecie... jak sobie pościelecie, tak się wyśpicie...” zabrał się, ta pojechał. A my dwór opieczętowali pieczęcią gromadzką i warta tam chodzi, ażeby, Boże, uchronić, co nie zginęło, żeby potem nie powiedziano, że się na rozbój albo rabunek puszczaamy.

— Ot i dobrze! — zawołał Hryhor uradowany. Ot, jak potrzeba!

— Trzy dni już, jak jesteśmy sami po sobie, — ciągnął dalej chłop miejscowy — i, Bogu dzięki, jak to ono idzie...

— Daj, Boże, żeby szło i nadal...

— Taj tylko licho wie, czego chce stanowy!

Zaledwie wyraził te wymówił, aliści słyszeć się dało pojękiwanie dzwonka wdali i niebawem ukazała się czwórka koni w poręcz założonych, ciągnących bryczkę tę samą, w niej zaś tego samego człowieka, z którym czytelnik w pierwszym powieści niniejszej rozdziale przelotną zabrał znajomość. Konie szły kłusem tęgim; za bryczką podążali naprzód pochyleni czterej kozacy.

Bryczka w tłum wjechała z rozpędem takim, że ludzie uciekać musieli, i zatrzymała się.

Stanowy był sam. Wyglądał czerwono, jak dawniej, tylko bardziej trochę nadęto.

Kozacy z koni pozeskakiwali.

— Hej! — dał się nagle głos stanowego słyszeć. Podejdźcie tu!

Mówił po moskiewsku. Tłumaczymy słowa jego na polskie przez wzgląd na czytelników, pomimo że język nasz nie posiada w wyrażeniach pewnych dosadniczości tyle co moskiewski.

Chłopi podeszli do bryczki i czapki pozdejmowali.

— Co to wy tu zamyślili!... hej?

— A nic... wielmożny panie... — My po ukazu...

— Co za ukaz!... Ukazu żadnego niema!... Ja wam ukaz pokażę!... Kto tu *zaczinszczik* (herszt)!

Gromada milczała.

— Wam, *sukinsyny! podleczy! mierzawcy! driań! chachły!*... — krzyczał stanowy, sypiąc obelgami niby z rękawa — wam słuchać, pańszczyznę odrabiać i o niczem nie myśleć!... — Wy ścierwo!... Wy *czorbany!* — (tu znów pół kopy obelg sypnął) — kto tu *zaczinszczyk?*

Milczenie znów było odpowiedzią.

— Ja was tu (tu w matki i w ojców łajac począł)... Ja was *pletniami* pozasiekam, *pałkami* pozabijam!... — Wam słuchać, pańszczyznę odrabiać i o niczem nie myśleć... Kto tu *zaczinszczyk?*

Milczenie po raz trzeci. Dzieci nawet nie kwiliły, zachwycone snąc bogactwem nieprzebranem mowy moskiewskiej i dobitnością organu stanowego.

— Ej! kozaki! — huknął rękę wyciągając. — Wziąć mi tego *maszennika!*

Dwóch kozaków poskoczyło i na wskazanego palcem przez stanowego chłopą się rzuciło.

W chwili tej z tłumu wysunął się dziad z brodą białą, rękę ku kozakom wyciągnął i donośnym, a pełnym akcentu rozkazującego tonem krzyknął:

— Nie rusz!...

Dziad ten był nasz Hryhor Serdeczny.

— Bierzcie go!... — wrzasnął stanowy, ukazując na Hryhora.

Kozacy się do starca pogarnęli i znaleźli przed nim Iwasia z dłońmi do czynnego przygotowanemi oporu.

Stanowy, jeżeli nie przez znajomość serca ludzkiego, to instynktowo, poznał, że położenie jego stawało się dla niego krytyczne i zależało od szybkiej i stanowczej ze strony jego determinacji. — Nie miał do stracenia chwili jednej. Gromada mruczeć poczynała i baby okrzyki wydawały. Zeskoczył więc z bryczki i niby tygrys skoczył na Iwasia, za piersi go chwytając i krzyząc:

— *Wiaży etawol!*...

W chwili tej baby wrzasnęły. Coś one mówiły, wyrazy jakieś rzucały, lecz w odmęcie wrzawy nie można było słówka jednego zrozumieć. Skutek jednak okazał

się ten, że odmęł wrzawy babskiej popchnął połowę męską do czynnej obrony. Chłopi rzucili się na kozaków i na stanowego. Kozacy uciekli. Stanowy pozostał jeńcem w rękach gromady. — Związali go — pod karczmę zawlekli i pod ścianę rzucili.

Karczmarz w tym momencie wyniósł gromadzie wiadro wódki, które zafundował ten pierwszy, co był jako *zaczinszczik* wytknięty. Po wypiciu wiadra tego nastąpiło drugie, po drugim trzecie, dalej czwarte, piąte — chłopci gwarzyli, gdzie niektórzy śpiewać próbowali, pełni byli poczucia triumfu, jakby po odniesieniu zwycięstwa nad nieprzyjacielem, wkońcu delibrować zaczęli, co zrobić z tym Moskałem-gadziną. Jedni radzili to, drudzy owo. Ten i ów podchodził do niego, stawał nad nim, w boki się biorąc, usta krzywił, głową kiwał i darzył go takim lub temu podobnym komplementem:

— Sto czartów twoją matkę!... *hadiuko!*... synie sobaczy!...

On zaś na to odpowiadał głosem błagalnym:

— *Pamilujtie... pażałuita!*... ojcowie rodzeni!

— Ta co z nim robić?... Nie utopić?... nie powieścić?... wodę psiawiara zanieczyści i powroza szkoda.

— E! — odezwał się jeden, trochę podcięty — wyrznać mu na szyi kołnierz czerwony i puścić... niech idzie wystraszać innych Moskali.

Pomysł ten podobał się wielu. Brakowało jeno noża odpowiedniego; znalazł się atoli kosa odłamek na brzytwę wyostrzony i z tym to instrumentem przystąpili chłopci do zoperowania Moskala. Stanowy wniebogłosy wrzeszczał, o litość błagając. Nic nie pomagało. Szarpał się. Chłopów kilku siadło na nim, do karku zaś jego wziął się ten, co, gdy bydlę zdechnie, skórę z padliny zdejmuje. Moskał ryczał; ten krajał, ztyłu zaczynając i do gardła zachodząc. Krew broczyła. Operator skórę narzynał wpoprzek, ażeby łatwiej mu było następnie odedrzeć i kto wie, na czym operacja skończyłaby się była, gdyby niespodziana dla stanowego pomoc nie zjawiała się w osobie Hryhora.

— Rzućcie to!... — krzyknął starzec, zoczywszy, co się robi.

— My tylko Moskalowi czerwony wyrzynamy kołnierz.

— Rzućcie to!...

— Toć on krzywdą ludzką żyje...

— Rzućcie to!... — po raz trzeci groźnie krzyknął starzec i chciał za kołnierz chłopów brać i od operacji odciągnąć, to atoli niepotrzebne się okazało, ci bowiem zaniechali jej.

— Rozwiążcie Moskala, ta niech idzie do licha!...

— Rozkaz ten, acz nie nader chętnie, wykonany jednak został. Stanowy, krwią zboczony, z guzami i sińcami na ciele i twarzy, poszarpany i obłocony, dzwignął się, stękając, w pas się kłaniał Hryhorowi i powtarzał:

— Ojcie rodzony!... wieki nie zapomnę.

XIV.

Powstanie chłopskie na Ukrainie w r. 1855 nosi w całości swojej i we wszystkich swoich częściach cechę takiej oryginalności, że nawet nie można o niem powiedzieć, jak się zazwyczaj o powstaniach mówi, „wybuchło“, ale raczej wysnuło się, wywikłało z pośredka sprzeczności i wyszło na jaśnię, jakby je duch ów, co Polskę sformował przed wieki w całokształt polityczny, za rękę prowadził. Wystąpiło ono przeciwko szlachcie jako dziedzicom, ale nie przeciwko żywiolowi polskiemu, gdy przeciwnie, w odniesieniu do Moskwy, właśnie nie z czem innem jeno z żywiółem moskiewskim za bary się wzięło. Jako wrogów wytknęło sobie urzędników, wojsko i popów — popów prawosławnych, pomimo że o odstąpieniu od prawosławia mowy nie było. Kwestja religijna, niewydmuchiwana sztucznie, nietknięta na stronie pozostała — dowód, co to za krzywdę bolesną wyrządzili Polsce w przeszłości ci mężowie stanu, co kwestję religijną

do polityki polskiej wprowadzili! Lud ruski poczuł się *nie-Moskalem* i zapragnął zrzucić z siebie to piętno, jakim go władza zwierzchnia znaczy.

Ruchy chłopskie zaniepokoiły rząd, który też ze zwykłą sobie energją wziął się natychmiast do poskramiania ich, używając na ten cel rezerw armji, bijącej się w Krymie.

Wystąpienie siły orężnej przeobraziło odrazu kupy gromadzkie w rodzaj armji z czasów onych, w których za broń służyło ludziom narzędzie wszelkie, dające możliwość zabicia lub skaleczenia przynajmniej.

Wróćmy jednak do wątku powieści naszej.

Deputowani, przenocowawszy we wsi, w której się odbywała rozprawa ze stanowym, wyjechali nazajutrz przededniem i wieczorem stanęli w Motylnicy.

O! cóż za radość przybycie ich pod Hryhorową sprawiło strzechą. Okrzyki i powitania zabrały czasu niemało, gdy zaś opowiadania się rozpoczęły, to tym końca nie było. Kobiety mieszały wszystko razem, ni-by groch z kapustą, sprawozdania gospodarcze i relacje o wypadkach zasłyszanych. Pytały one podróźnych, gdy ci jednak odpowiadać zaczęli, mówić im nie dawały, przerywając i opowiadając swoje.

Jak się atoli wyczerpuje wszystko, tak wyczerpał się wkońcu i potok opowiadań kobiecych, i Mokryna wtrącić mogła ze swojej strony to, z czem się kilkakrotnie odezwać chciała, lecz ustępować musiała babce i matce.

— Dziadusiu, był tu panicz ze dworu.

— I cóż? — zapytał stary.

— Mówił, żeby mu dać znać, jak przyjedziecie, bo chce z wami widzieć się koniecznie.

— Hm... — pomyślał stary — to chybaby mu dać znać... Ale jak?... Posłać do dworu... Ale kogo?

— Jaby poszła — odezwała się stara Oksana.

Starzec wyjrzał przez okienko.

— Jeszcze to niebardzo ciemno. — Ale tam psy, to babie samej jednej jakoś niebardzo rażno. Ot, niech z tobą Mokryna idzie albo co...

— Niech idzie — odrzekła Oksana.

Baba i dziewczyna ubrały się w świty, poprzykrywały głowy chustkami, uzbroiły się w pręty i ruszyły. Na podwórze dworskie dostały się z łatwością. Szczęściem w psach nie wzbudziły podejrzania i te przepuściły je do oficyn, gdzie spotkały dziewczkę piekarnianą, która Hryhorową odrazu poznała.

— A to wy, ciotko?

Ciotką tytułuje się na Rusi każdą kobietę niemłoda, jak każdego niemłodogo mężczyznę wujaszkiem (diad'ko).

— Ja, serce... Przyszłyśmy do panicza, mamy mu słówko powiedzieć...

— Panicz ot tu — odpowiedziała dziewczka, ukazując ręką w jedno z okien oficyny. Świeci się u nich, to znaczy, że są u siebie.

— Prowadź-że nas...

Dziewka przodem poszła, Oksana z Mokryną za nią. Przechodząc mimo oświeconego okna, dziewczyna okiem rzuciła i ujrzała pana Michała przed stołem, przed nim książek kilka, siedział i pisał. Weszli do sieni ciemnej. W sieniach przewodniczka drzwi im otworzyła i do pokoju wpuściła, cofając się sama.

Pan Michał od stołu się odwrócił, popatrzył przez chwilkę na dwie kobiety przy progu się szykujące, a poznawszy Oksanę, wstał i przemówił:

— A... to wy Oksano?... o... i Mokryna?... Goście! Jakże się macie? Siadajcie.

— My tylko na momencik, ażeby słówko wam, paniczu, powiedzieć — odrzekła stara. — Mój z Kijowa przyjechał.

— Przyjechał!... z Kijowa? — zawołał młody człowiek, wyrażając przy wyrazie pierwszym uradowanie, przy drugim zdziwienie.

— Przyjechał... Chcieliście, żeby wam dać znać...

— Natychmiast idę... Idę z wami... Ale może wy, Oksano, choć chwileczkę posiedzicie u mnie?

— Śpieszno mi do mego, któregom tak długo nie widziała...

Mokryna nie odzywała się wcale. Rozpatrywała się w izbie, która w niej ciekawość wzbudzała, pomimo że w niej osobliwego nie było nic: szafa z książkami, komoda na suknie, łóżko proste, przed oknem stolik do pisania, stołków kilka, kanapka, obrazów świec-kich parę na ścianie, na komodzie gotowalnia nie wy-myślna, w kącie pod ścianą butów szereg.

Pan Michał wziął czapkę, wziął laskę w rękę sę-katą, zapiął na sobie surdut i rzekł:

— Chodźmy.

Wyszli wszyscy troje razem. Przez drogę młody człowiek ze staruchą rozmawiał, rozpytując ją to o zdrowie Hryhora, to o co innego. Za chwilkę wcho-dzili do chaty.

— No, Hryhore, jakże się miewacie?

— Niczego, chwalić Boga — odparł starzec, wsta-jąc przed gościem.

— Siadajcie-no... Wyście strudzeni... Ja przy was usiądę, bo mam do pomówienia z wami... Co to się dzieje?

— Co się dzieje... Hm... Ot, przyszła pora... naród wolę czuje.

— Cóż naród zrobi sam?

— A któż ma robić! Przyszło do tego i już odwró-cić niesposób...

— Niesposób, Hryhore? — zapytał pan Michał.

— Widziałem męczonych popów i stanowych.

Przez to chciał starzec powiedzieć, że rzeczy zaszły już za daleko. Pan Michał to zrozumiał i pomyślaw-szy przez chwilę, rzekł:

— Jakże jabym chciał być z wami!

Słowami temi przemówiło serce, którego oddźwięk tknął starego, tknął Iwasia, tknął Mokrynę. Oksana i Nastja krzątały się po izbie.

— Paniczu — odparł stary. — Kto wie, jak to się obróci.

— Obróciłoby się dobrze... może... gdyby my i wy szli razem.

— Ba! — podchwycił Hryhor i zaciął się, jakby

uderzony myślą, której w sobie nie przetrwał. O tem wszystkim jednak i gadać jeszcze niema co... Bóg wie, co to będzie... Ja tylko co przyjechał, ta jeszcze się i nie rozpatrzył.

Michał chwilę jeszcze posiedział. Starzec opowiedział ustępów kilka z wypadków podróży; skonstatował fakt, że od Kijowa prawie samego do Motylnicy naród się ruszył i *hude*, i dodał parę spostrzeżeń własnych. Na tem zakończyła się konferencja, która, jak się zdaje, inaczejby się była obróciła, gdyby pan Michał zastał Hryhora wówczas, kiedy Mokrynę na gorącym uczynku rojenia zeszedł. Obecnie czyny dokonane zmieniały postać rzeczy. Nie było już gadać o czem. Stało się.

Nazajutrz gromada motylnicka zebrała się naprzód u Hryhora, gdzie krótka odbyła się narada, następnie udała się ze starcami na czele do dworu i wypowiedziała panu Janowi posłuszeństwo. Pan Jan przyjął to umysłem spokojnym i, wysłuchawszy przemowy Hryhora, który go niejako przeproszał, odrzekł:

— Złe robicie... Puszczacie się na wodę bez wiosła... Niedaleko zapłyniecie i, daj, Boże, żebyście się nie potopili... Ale wola wasza... Ja pomiędzy wami zostanę i ani was przed Moskalami skarżyć, ani na was Moskali nawoływać nie będę... Radzę wam tylko, nie wydalajcie się z Motylnicy, ażebyście biedy nie nawoływali sami na siebie... Chcę i będę, ile w mocy mojej, przed Moskalami was zakrywać...

Chłopi panu Janowi podziękowali, życzyli mu zdrowia dobrego, pomyślności wszelakiej i panowania i rozstali się z nim jak najlepiej, ale rady jego nie posłuchali. Jakże bo słuchać było! Ze wsi okolicznych przybywali wysłańcy za wysłańcami, wzywając do działania za jedno. Nie chodziło już o żaden ukaz. Ukaz w kął poszedł, posłużwszy jeno do ruszenia z miejsca tej maszyny ciężkiej, jaką jest lud rolny.

Zahuczało na Ukrainie. Szlachta chroniła się do miast, nie rozumiejąc w przełknięciu znaczenia ruchów, szerzących się nakształt pożaru.

Gromady występowały idąc jedna do drugiej, zbierając się w kupy ogromne, zakładając obozy i obradując.

Obradowanie stanowiło cechę główną ruchu w r. 1855. Obozy były to, wiece starosłowiańskie, na których wnoszono kwestje i uchwalano postanowienia. I tak uchwalono *), że lud ma zostać wolny od wszelkiej pańszczyzny i nazywać się Kozakami; że ziemia jest własnością ludu, więc weźmie jej sobie każdy tyle, ile mu potrzeba, a resztę obywatel; że zboże siać należy, bo dar Boży, święty i potrzebny, a buraków nie sadzić, bo to niemiecki wymysł i głodu bez nich nie będzie. Wydano przytem rozporządzenia, dotyczące się robót w polu, nietykania osoby ani własności żadnego obywatela, wstrzymania się od picia wódki i pozamykania szynków, gorzelnii i magazynów, wreszcie robienia noży i pik kozackich. Ostatnie znamionoowało powstanie formalne.

Jakoż w rzeczy samej było to powstanie.

W tygodni parę po wypowiedzeniu posłuszeństwa panu Janowi gromada motylnicka wyciągnęła w pole. Iść mieli mężczyźni sami, nie było jednak sposobu kobiet odsunąć. Hryhor miał powagi na tyle, że go posłuchały żona i córka. Wnuczce wszakże ustąpić musiał. Mokryna z dziadkiem i bratem rozstać się nie chciała. Nie było sposobu wyperswadować jej. Nie było zresztą i racji dobrej. Obecność kobiet wśród tych, co w pole wyciągnęli, nie tylko niezbytieczna, ale konieczna się okazała. Mobilizacja chłopska nie miała na rozporządzenie swoje środków mobilizacyjnych armij regularnych. Obozy nie odsuwały się zbytecznie od wsi, z których gromady pochodziły, i kobiety donosiły mężczyznom pożywienie. W gromadzie motylnickiej mężczyźni wystąpili z widłami, kosami, kłonicami w rękę i z toporami za pasem, kobiety z kobiałkami, bliźniakami i węzełkami.

Zebrało się ludu do tysięcy pięciu. Rozłożyli się na

*) Udział Polaków w wojnie wschodniej.

połowie drogi pomiędzy Malowaną a miasteczkiem K... pod lasem, nieopodal od potoku na łące obszernej: mieli pod ręką i wodę do picia, i drzewo do rozkładania ognisk. Starsi zbierali się dzień w dzień wkółko i obradowali; do starców przyłączali się inni, kiedy i jak się komu spodobało, i w różnych dnia porach zawiązywali się obrady ogólne.

Dni kilka upłynęło spokojnie; życie obozowe podobało się wielu, pomimo że wszyscy czuli, iż jest to stan przechodni, że tak trwać wiecznie nie może. Mokryna nasza wprawiała się w rzemiosło gońca ustawicznego, utrzymującego stosunki pomiędzy obozem a chatą; wieczorem odchodziła z próżną kobiałką, pozostawała na noc w domu, powracała rano i dni całe spędzała na przysłuchiwaniu się obradom i przypatrywaniu się bratu, który uzyskiwał poważanie powszechne. Dziewczęciu serce rosło, gdy za każdym odezwaniem się Iwasia słyszała szmer uznania.

— Młody... — powiadano o nim — a co za rozważny! jaki roztropny!

Usłyszała raz nawet słowa następujące:

— Jak do obierania atamana przyjdzie... ot, ataman gotowy.

— Braciszku! atamanie! — szeptało sobie dziewczę, napawając się zgóry chlubą jakąś niewysłowioną, dumą jakąś rozkoszną.

I było dobrze, spokojnie, aż nagle nasuwać się zaczęły trwogi, przychodzące pod postacią pogłosek o uwijaniu się Moskali po okolicy, o pojawieniu się Dońców. Dońcy łapali chłopów po drogach i ćwiczili; o Moskalach słyhać było, że rozpędzali gromady pomniejszych i stan dawny pańszczyźniany przywracali. Trwogi przybierały rozmiary, zwiększające się z godziną niemal każdą. Do obozu przybywali ludzie z gromad rozpędzonych. Wszyscy tacy jednogłośnie użalali się na brak rozporządzenia.

— Nie było komu zarządzić... Starszyzna nie wiedziała, jak i któredy... Moskale szli *strojem* (szykiem)... my *stroju* nie znamy...

Obrady stawały się coraz to ważniejsze i coraz to drażliwsze; kwestje społeczne z pola zeszyły a miejsce ich zajęła kwestja jedna: co począć, jak Moskale przyjdą?

O rozejściu się nikt ani wspomniał, nikt ani pomyślał. Poczucie gromadne, wrodzone ludowi, wyszłemu z łona Słowiańszczyzny, przejmowało chłopów poczuciem solidarności, nakazującej stawać jednemu za wszystkich i wszystkim za jednego. Instynktowo trzymali się kupy. Starsi rozmyślali, rozważali i naradzali się, głowami kiwali i, co począć, nie wiedzieli.

Nagle wieść gruchnęła, że Moskale w pobliżu.

Zebrał się wnet wiec pełny. Nie obradowano jednak długo, natychmiast bowiem postanowienie powzięto, postanowienie, które się poczęło w natchnieniu dziewczyny. Mokryna pochwyliła Iwasia za rękę i, wspinając się mu do ucha, szepnęła:

— Panicz...

— Gdzie? — zapytał jej Iwaś.

— W Motylnicy... Mówił, że chciałby iść z nami...

Iwaś pomyślał przez chwilę i podszept ten siostry wniósł w kole obradnem w postaci następującej:

— A czy nie możnaby porozumieć się z Lachami?... Oni *strój* znają, rzadko który z nich nie wojował... zaprowadziliby *strój* pomiędzy nami... Oni z Moskalami jak ogień z wodą...

— Ta gdzie ich szukać! — odezwał się ktoś z tłumu — kiedy puciekali i domy pozostawiali otworem...

— Puciekali, ta nie wszyscy — odparł jeden z motylniczian.

— Trzeba więc jeszcze raz do Zborzeskiego — odezwał się Hryhor. Ha! niema innej rady...

Wybrano starców pięciu i ci udali się do motylnickiego dworu. Hryhor przez drogę myślał głęboko, układając sobie w głowie przemówienie.

— Panie! radźcie nam — zaczął, stanąwszy wobec pana Jana. Przychodzimy do was od gromady wielkiej, od siły ludu, któremu potrzeba jeno *stroju*, bo

Moskal następuje... My *stroju* nie znamy, wy znacie... Przyjdźcie do nas, prowadźcie nas, rozkazujcie nam i może z tego korzyść jaka, chociaż nie dla nas, ale dla wnuków naszych, wypadnie, jak powiedziane będzie, że Lachy z narodem poszli... Hej, panie!...

W ciągu przemowy tej była chwila, w której w oczach pana Jana pokazała się jasność jakaś, niby błysk myśli natchnionej. Jasność ta atoli wnet przygasała.

— Nie — odparł. — Przekonanie mi nie pozwala... Przekonanie w człowieku, co rozumie, jest to to samo, co sumienie w człowieku, co nie rozumie... Wy nie rozumiecie, idziecie za głosem sumienia... Ja wam jak najlepiej życzę, ale do roboty waszej ręki nie przyłożę... Wy wiecie, że ja z Moskalami nie trzymam...

— Toż to jest — podchwycił Hryhor. — My wiemy, że i ci nawet, co domy porzucili i pod moskiewskie skrzydła pobiegli, i ci nawet z Moskałem nie trzymają... Przyjdźcie do nas... popatrzcie się tylko... na tę narodu siłę... „Siła jest, rozumu niema...”

Starcowi śnać wydawało się, że pana Jana wstrzymuje nieufność w siłę gromady w obozie zebranej, że gdyby ją jeno ujrzał, toby się skusił, powstał i porządek wojenny zaprowadził.

— Przyjdźcie jeno... popatrzcie tylko...

— Tátku — dołączył prośbę swoją pan Michał. Moźnaby zrobić dla nich rzecz tak małą...

— Tak małą! — podchwycił pan Jan, odpowiadając synowi. — Małą tę rzecz robili Rożyńscy, Lanckorońscy, Wiśniowieccy i utorowali drogę Chmielnikiem...

Nie pora była z ojcem dyskusji zawiązywać. Pan Michał zamilkł; Hryhor jeszcze prosił, lecz pan Jan niezłomny się okazał.

Starcy powrócili do obozu z niczem.

— Ha! — odezwał się głos jeden ogólny, gdy przed gromadą sprawę zdali. — Trzymajmy się jeno razem, jakoś to ono będzie... a będzie tak, jak Bóg da.

Każdy atoli czuł, że odmowa pana Jana była cio-

sem. Odbijało się to na obliczach i w oczach chłopów wszystkich, kobiet nie wyjmując.

Czuł to i pan Michał, wiedząc, że na nicby się nie przydało próbowanie przekonania ojca, a nie wiedząc, jakby złemu zaradzić. Bił się z myślami, dał się opadować smutkowi; przy kolacji nie jadł prawie i na zapytanie matki, siostr i ciotki odpowiadał niewłaściwie. Po kolacji poszedł do siebie, zamknął się i oddał tej zwyczajnej przed myślami czarnemi ucieczce: chodzeniu po izbie. Chodził, rzucał wyrazy urywane, brwi marszczył, ręką wymachiwał, niekiedy stawał i myśl jakaś chimeryczna wykrzywiała twarz jego w uśmiech ironji gorzkiej pełen. Myślał o Kościuszcze — wydawało się mu, że ojciec jego odpycha na Rusi tę rolę, jaką ten hetman chłopski na Mazurach odegrał.

I kiedy tak chodził i myślał, nie obliczając się z czasem, który się ku północy zbliżał, nie zważając, że oddawna wszyscy we dworze w sennym spoczynku pogrążeni byli, nie zwracając uwagi na szmery żadne, z zewnątrz dochodzące, ani na psów naszczekiwania, drzwi od izby jego otworzyły się nagle i wpadła przez nie dziewczyna chłopska. Pan Michał drgnął, zatrzymał się i osłupiał. W dziewczynie poznał Mokrynę, która pogarnęła się do niego z rękami wyciągniętymi i do nóg mu upadła.

Młodzieniec odstąpił krok wtył.

Dziewczyna podniosła się na klęczki i dłonie do niego błagalnie złożyła.

Murillo pół zyciaby dał za oglądanie widoku tego. Miałby wzór do obrazu, na który ktoby jeno okiem rzucił, powiedziałby sobie: Modlitwa. Twarz dziewczęcia, piękna w stanie spokoju, a wzruszeniem upiękniejszona jeszcze, wyobrażała błagalność, która taki na młodzieńca wpływ wywarła, że sam ręce w pół podniósł, w zachwycie zapomniał się i słowa przemówić nie umiał.

Trwało to chwilę. Czar zachwytu rozbiła dziewczyna sama.

— Paniczu, — przemówiła — chodźcie wy do nas!

— Mokryno, wstań! — zawołał pan Michał.

Dziewczyna mu w oczy błagalnie patrzyła.

— Wstań!

I postąpił krok naprzód, robiąc ruch, zdradzający zamiar podniesienia jej z klęczek. Mokryna zamiar ten uprzędiła. Wstała i powtórzyła:

— Paniczu, chodźcie do nas!

— Cóż to znaczy?... Co to jest?

— Moskał gdzieś niedaleko, a gromada uradziła, że, aby jeno Lach choć jeden szedł z nią, to onaby się Moskala nie lękała... Paniczu, wy-ż Lach!

Pan Michał westchnął.

— Nic nie mówiąc nikomu przybiegłam do was. Wysłałam z obozu późno, bo tam radzili, radzili do nocy, ta przychodził człowiek jakiś, co przyniósł przekaz, że do K... przyjechał *jednorał*, który wzywa gromadę, ażeby do niego na rozmowę przyszła. Ta ja się boję *jednorała* tego... żeby on... żeby te... płątała się dziewczyna, nie umiejąc się wyrazić jasno — taj pomyślałam sobie o was i przybiegłam tu prosto... Paniczu, chodźcie.

Dłonie złożyła.

— Gdzież obóz? — zapytał pan Michał, zdecydowany na wszystko.

— Ja was poprowadzę.

Młodzieniec surdut zapinać na sobie począł, oglądając się za czapką i za laską.

— A czyby wam nie wdziać świty chłopskiej? — zapytała Mokryna nieśmiało.

— Masz rację! — odparł Michał, słowami temi uderzony. — Tylko skąd ja ją wezmę natychmiast? — Musiałbym zbudzić kogo z dworskich.

— W chacie naszej jest świta Iwasia, jest tam i wszystko, co do świty potrzeba.

— Skądże ci ta myśl przyszła? — zagadnął pan Michał, zdejmując czapkę z kołka.

— Myślałam o tem przez drogę... Jak ludzie zobaczą was w odzieży chłopskiej, to prędzej uwierzą, że chcecie iść z nimi.

Pan Michał wziął świecę ze stolika, poświecił dziewczynie w sieni, świecę zdmuchnął, drzwi zamknął i ruszył obok Mokryny.

Zaszli naprzód do Hryhorowej chaty, do której dobywać się długo nie trzeba było, albowiem od czasu wyciągnięcia gromady w pole Oksana i Nastja jednym tylko, jak to się mówi, sypiały okiem. Mokryna w okno zapukała. Drzwi otworzyły się natychmiast, kaganek zaniecono i matka na spotkanie córki wyszła. Nastja powstrzymać okrzyku zdziwienia nie mogła, gdy pana Michała ujrzała. Toż samo i Oksana. Dowiedziawszy się jednak, o co chodzi, jedna i druga zajęły się niezwłocznie przebraniem panicza na parobka. Iwasiowa odzież przypadła do miary i postawy pana Michała. Wziął na siebie chołonec i świtę, pasem się opasał, czapkę na głowę włożył i przed Mokryną stanął, która tymczasem kobiałki napełniała.

Dziewczyna zapomniała się na chwilę, zapatrzwszy się na niego. Wyglądał bo na parobka, na którego popatrzeć się było warto. Jeden Iwaś — w mniemaniu Mokryny — mógł się z nim równać.

Nie był to czas atoli na zapatrywanie i czynienie porównywań. Mokryna śpieszyła się z przyprowadzeniem pomocy do obozu. Północ minęła, świtanie porankowe już następować miało — czas naglił.

— Chodźmy... chodźmy... — nalegała dziewczyna. Poszli.

Mokryna pomknęła przodem, sunąc w pomroku nocy kształtnym cieniem przed młodzianem, który za nią podążał. Minęli groblę i stawiska, weszli na koso-gór, przewodniczka rów przeskoczyła i wydostała się na sugłówek, który się ciągnął wzdłuż traktu. Sugłównikiem tym iść mieli aż do Malowanej, milę drogi, a tam przejść przez trakt i znów wejść na sugłówki. — Poranek się zbliżał. Mokryna pośpieszała bez oglądania się poza siebie, pomimo że ją zbierała chętka popatrzeć na tego panicza przeobrażonego. Chętki wszakże wszelkie tłumilo w niej poczucie rozradowania niewy-

słowionego, którego źródłem była ta myśl, że prowadzi narodowi Lacha na pomoc.

Może w poczuciu tem było nieco miłości własnej lub próżności; może miało ono przerodzić się w co innego — do czego prawdopodobieństwo zawierało się w tem porównaniu pana Michała do Iwasia, o którym wspomnieliśmy powyżej; może... Ale nie pora na wniośki teraz!

Dziewczyna pomykała przodem — pan Michał za szedł za nią.

O panu Michale to tylko w sposobie nawiasowym powiemy, że tak idąc, jak szedł w tej chwili, gotów był zająć choćby tam, dokąd rusałki ludzi zaciągają. Za przewodnikiem takim idzie się ochoczo i zapomina się o wszystkim. Zdaje się przeto, że pan Michał w chwili tej o wszystkim zapomniał, a dowód na to znajdujemy w tej okoliczności, że nie on pierwszy usłyszał tętent koni i pobrzękiwanie głuche na trakcie. Usłyszała to Mokryna.

Zatrzymała się.

— Tsss... — syknęła.

Wówczas i o uszy pana Michała obłyły się tętent i pobrzękiwania, w których rozpoznać się dawała jazda, maszerująca stępem po trakcie. Niebawem i prykanie koni słyszeć się dało. Jazda znajdowała się niedaleko, już się nawet pokazywać zaczęła na tle ciemności nocnej. Dziewczyna, wiedzona snąc instynktem samozachowawczym, ujęła Michała za rękaw i, sama do ziemi przypadając, pociągnęła go wraz z sobą. Położyli się obok siebie za okopem rowu, idącego wzdłuż traktu. Mimo nich, o kroków nie więcej jak pięć, przeciągnął oddział kozaków dońskich, koni dwanaście.

Kozacy przeszli, dziewczyna się zerwała.

— Panie Boże! — zawołała. — Moskale!...

— Toć ich tak mało! — odparł pan Michał.

— Ale nasi *stroju* nie znają... Powiadają, że jak naród *stroju* nie zna, to nie wytrzyma przeciwko Moskalowi, choćby najmniejszemu... Oni jednak — ciągnęła dalej po chwili przestanku — zatrzymają się

zapewne przy Malowanej, to nam do Malowanej iść nie można...

To rzekłszy, przeskoczyła przez rów, przebiegła przez trakt i poprowadziła pana Michała polami.

Tyle było rozmowy ich całej. Michał nie czuł się w siłach zawiązywania gawędki jakiej pospolitej. Dziewczę to proste wydawało się mu istotą jakąś wyższą. Postępował więc za nią w milczeniu, nie zdając sobie ani próbując nawet zdawać sprawy ze znaczenia, z zadania i z celu wyprawy swojej.

Niebawem świtać zaczęło. Niebo wschodnie zaczerwieniło się jutrzeńką. Zaszczębiotał skowronek w powietrzu. Jasność porankowa rozlewała się coraz to szerzej, ukazując tumany w dolinach, zalewające je nakształt potopu dymnego.

Słońce jeszcze nie wschodziło, kiedy w obozie stanęli. Obóz spał. Widok jego przedstawiał się malowniczo w szczegółach, w całości jednak swojej podobny był raczej do zbiegowiska jarmarcznego, aniżeli do zbiorowiska wojennego. Wojennego bowiem nie miał on w sobie nic. Broni sterczącej nigdzie żadnej, sztyldwacha na warcie ani jednego, ładu szeregowego żeby ślad. Przestrzeń obszerną zapełniały wozy i wózki, przy tych woły i konięta i gdzie niegdzie szatrapa napięta. Pod wozami i pod szatrami chłopcy uśpieni. Tu i owdzie ognisko spopielale.

Smutny obóz ten widok przedstawiał.

Na pana Michała, pozostającego pod urokiem, bijącym na niego od dziewczyny, nie wywarł on wrażenia żadnego. Szedł naoslep niejako. Mokryna, biegnąc prawie, poprowadziła go między wozy i szatrapa, aż zatrzymała się przy wozie, obok którego na ziemi gołej, świtami przykryci, dwaj ludzie spoczywali. Z pod jednej z nich wyglądała broda biała.

— Dziaduniu! — zawołała dziewczyna.

Dziad chrząknął i głowę powolnie podniósł, ujrawszy jednak pana Michała, zachwiał się.

— Ot ja Lacha na pomoc przyprowadziła...

Hryhor zerwał się, oczy garściami przecierając.

Zerwał się i Iwaś.

Dziadek i wnuk nie wiedzieli, zdaje się, zrazu, czy śnią, czy też na jawie widzenie mają, tak zdumiło ich to nagłe i niespodziane ukazanie się wśród nich Lacha.

Starzec wkońcu rozbudził się na dobre.

— Bądźcie pozdrowieni — przemówił. — Przybywacie wczas... z rozumem do siły...

Niestety! nie było to wczas.

XV.

Rzeczy stały tak: „Przekaz od generała“, o którym Mokryna panu Michałowi powiadała, było to wezwanie przysłanego z Petersburga generała Jafimowicza, mające na celu ściągnąć gromadę do miasteczka K... dla zadania jej ciosu stanowczego. Niewielka ilość wojska, jakim rząd mógł rozporządzać, wymagała działania obmyślonego. Obóz pod Malowaną był jednym z większych, liczył bowiem głów, mężczyzn samych, do tysięcy pięciu; wysłańcowi przeto carskiemu chodziło o to, ażeby zniszczyć go doszczętnie i odrazu i przez to zgasić jedno z większych ognisk buntu. Dwa bataljony piechoty i parę sotni kozaków, działając przeciwko niemu w otwartem polu, przepędziłyby go jeno na inne miejsce i możeby nawet przyczyniły się do zmilitaryzowania kupy bezładnej. Umyślono więc na kupę tę samotrzask nastawić i zwabić ją w niego. W tym celu generał przez chłopów pojmanyh powiedzieć kazał obozującym: „Niech przyjdą, niech się rozmówią, niech żądania swoje przedstawią, przybywam wprost od cara i mam moc zrobienia wszystkiego, co słusność nakazuje“.

Wezwanie to wielce było ponętne, chłopci bowiem uważali sprawę swoją za jak najślusniejszą.

Wezwanie stało się przedmiotem narady walnej, na której zapadło postanowienie pójść... w samotrzask.

Nie można atoli powiedzieć, ażeby chłopci ostrożności zaniechali. Posyłali z wieczora do K... na zwia-

dy, czy Moskali niema — nie było. We dworze, w pałacu raczej, rezydencji dziedzica miejscowego, który z familją w Kijowie przesiadywał, uciekwszy przed ruchami chłopskimi, znajdował się jeno generał z pułkownikiem żandarmerji i z eskortą złożoną z żandarmów i kozaków, nie przenoszącą liczby głów pięćdziesięciu. Głów pięćdziesiąt nie budziło obawy w tłumie pięciotysięcznym.

— Po stronie naszej siła, — powiedział któryś — niech po stronie tego *jednorata* będzie prawda, to się porozumiemy.

Postanowienie zapadło z wieczora. Pan Michał trafił na moment, w którym się wykonać miało.

— Idziemy — mówił starzec. — Zobaczymy, jak to ono wypadnie... Nie mam ja nadziei, żeby co z tego było, ale i z Moskałem pogadać można. Ot, będziecie, paniczu, widzieli i słyszeli.

Obóz się rozbudził niebawem. Powstał w nim ruch i gwar. Ludzie niektórzy jedli, spożywając przyniesione przez kobiety śniadanie, inni lulki kurzyli, inni znów konięta i woły opatrywali, przysposabiając się do odbycia przechadzki do K..., odległego o jakie trzy ćwierci mili. Ktoś na drugim końcu obozu na supiłce zagrał i odgłos grania echem poszedł po rosie.

Nadeszła nareszcie godzina wymarszu. Ludzie się ruszyli, formując się w kupę gęstą, taką samą, w jakiej czasu onego, na drugi dzień Wielkiejnocy z kołaczami i pisankami do pana Jana chodzili. Starcy, gospodarze poważniejsi, z długimi w rękach laskami i z toporami za pasem szli przodem, Hryhor pomiędzy nimi. Obok Hryhora Iwaś i pan Michał.

Dziad przez drogę prawił:

— Trzeba Moskałowi powiedzieć wszystko, jak należy, co, jak i dlaczego... Wszak my nie idziemy po złodziejsku. Idziemy środkiem drogi. Niechże się dowie, jeżeli nie wie... chociaż on, psiawiara, wie, bo mu *gubernator* powiedzieć musiał, a ja *gubernatorowi* rozpowiedział het... wszystko na czysto... Niech on

jednak was, paniczu, nie widzi, bo możeby, psiawiara, gadać nie chciał, ta daremnyby był nasz trud...

Mokryna trzymała się od dziadka niedaleko.

Z chłopów niektórzy kosa nasztorcowane w rękę nieśli, inni widła, widać było i spis kozackich z dzieśiątek; część większa nie posiadała oręża żadnego; broni palnej w tłumie całym ani na lekarstwo.

W tłumie tym wojowniczość nie przebijała się w niczem, tak że, patrząc nań, wierzyć się nie chciało, że jest to potomstwo tej ludności bohaterskiej, co wielkie wojny toczyć umiała i w annałach swoich zapisała bitew tysiące. Przypatrzwszy mu się jednak pilnie, wojowniczość się odkrywała. Tkwiła ona w duszy i biła z oczu. Drzemała w głębi. Trzeba jej było szukać, znaleźć i najaw wyprowadzić, ale w sposób zarazem serdeczny i umiejętny.

Pochód odbył się bez wypadku najmniejszego i w godzin parę po wyjściu z obozu starcy wkroczyli na podwórzec obszerne, zabudowany domem piętrowym w głębi i pawilonem z boków — i zatrzymali się opodal od ganku głównego. Za nimi powoli wlewał się tłum, szykując się ztyłu w półkole i zajmując przestrzeń całą aż do sztachet, stanowiących zewnętrzne podwórza ogrodzenie. Na podwórzu nie pomieścili się wszyscy, część znaczna pozostać musiała za sztachetami. W tłumie znajdowały się i kobiety.

W oknach pałacowych od czasu do czasu ukazywały się figury w mundurach, przypatrujące się z uśmiechem ironicznym na twarzy czarniawie chłopskiej, której ognisko niejako stanowiło starców białobrodych kilku, opartych dłońmi na laskach. Niektóre z figur w mundurach zęby sobie wydłubywały słomkami i czyniły uwagi jakieś, palcami pokazując.

Chłopi czekali.

Po upływie pół godziny, jeżeli nie więcej, drzwi główne wchodowe rozwarły się i wyszedł z nich człowiek wzrostu dużego, przy pałaszu, w orderach i w mundurze błękitnym z galonami i akselbantami. Z nim razem wyszło kilku innych w mundurach roz-

maitych a za nimi kozaków i żandarmów kilkunastu. Hryhor, Taras, Semen i Iwaś poznali w tym, co był na przodzie, tego samego, co ich do kniazia wprowadził. Poznał go i pan Michał, który z czasów uniwersyteckich z widzenia znał pułkownika żandarmerji.

Pułkownik zeszedł z ganku na podwórze. Równocześnie z zejściem jego z dwóch stron pałacu, z poza pawilonów pokazała się piechota i biegiem wsunęła się wzdłuż ściany pałacowej, schodząc się pośrodku, zatrzymując się i zwracając we front okiem w oko z czarniawą chłopską. Zabrało to czasu chwilę jedną. Odezwała się komenda, broń głuchy wydała szcęk, — żołnierze wzięli karabiny na tuj.

Pułkownik zatrzymał się na połowie mniej więcej odległości pomiędzy frontem chłopskim a frontem piechoty, krzyknął „Hej!“ i ręką kiwnął z gestem przywołującym.

Starcy z tłumu wystąpili — i tłum cały naprzód się podał, lecz się powstrzymał, widząc pułkownika cofającego się tyłem i słysząc go krzyczącego:

— Stać!... Z miejsca się nie ruszać!...

Zatrzymał się tłum, a z nim i starcy się zatrzymali; on jednak krzyknął na nich:

— Nu!...

Wówczas Hryhor wysunął się rezolutnie, zostawiając towarzyszy o kroków kilka za sobą, podszedł do pułkownika i stanął przed nim z miną butną, z czołem do góry podniesionem, z dumą na czole, tak że żandarm, jakby zmieszany postawą dziada, usunął się nieco wtył ciałem i odezwał głosem prawie łagodnym:

— *Je starik... ja poznaję ciebie...*

— I ja poznaję was, wielmożny panie *jednorale*... Miał tu być *jednorat* jakiś od cara...

— Czego wy chcecie? — odparł pułkownik.

— Czego my chcemy?... Czy wy tego nie wiecie!... Czy od narodu nie chodzili do was ludzie z pokłonem i z dobrem słowem!... Czy to my nie prosili!...

— Ukazu niema żadnego! — przerwał pułkownik.

— Naco nam ukaz teraz!... Gromada uradziła, a co gromada uradzi, to wyżej idzie, niż ukaz!...

— Milcz! — krzyknął pułkownik, oburzony snąc potwornością zasady postępu rzeczywistego w ustach chłopca prostego. — Ach! jaż wam pokażę, co to gromada!... Jaż was, buntowszczyki! miatieżniki! maszeniki! jaż was ze skóry żywcem obedrę, pałkami na śmierć pozaćwiczam, pletniami do nagich kości pobijam!... A do posłuszeństwa!... a do poddaństwa!... a do pańszczyzny!...

Aż do wymówienia ostatniego słowa tego starzec milczał i dłonie na lasce złożone trzymał. Policzki mu tylko drgały i brwi się trzęsły. Nagle dłoń prawa od laski się oderwała i w dłoni tej błysnął topór, nad głową pułkownika w powietrzu wzniesiony. Pułkownik do ziemi przysiadł, rękami głowę zasłaniając; a z poza niego żandarmi i kozacy na starca skoczyli, czepiając się go, jak dzika psy się czepiają, i wtył ku pałacowi wlokąc.

W chwili tej tłum ryknął głosem jednym i naprzód się podał.

W chwili tej odezwały się okrzyki komendy:

— Cel... pal!...

Karabiny szeregu pierwszego pochyliły się i rozległ się traskot wystrzałów.

— Nabijaj!... Drugi szereg, cel!... pal!...

Zagrzmiało powtórnie.

— Nabijaj!... Trzeci szereg, cel!... pal!...

I po raz trzeci dało jeszcze żołnierstwo ognia.

Zamieszanie, jakie wśród chłopów powstało, opisać się nie da. Było to konwulsyjne miotanie się tłumu w gęstą zbitego kupę, w której zapanowała wrzawa, złożona z jęków boleści, z wycia przestachu i z okrzyków zachęty. Ostatnie były rzadkie i bez echa ginące. Odzywały się one jak sieroty niesłuchane. Tu zagrzmiało:

— Ano, ludzie, wraz!...

Owdzie:

— Hej!... razem tylko!...

Jeden zaś okrzyk wygłoszony był czysto po polsku:

— Naprzód!... na Moskala!...

Okrzyki te przebrzmiały bez echa. Po raz czwarty Moskale już nie strzelali, bo nie było do kogo. Nad podwórzem pałacowem unosił się dym, na podwórzu leżało paręset zabitych i rannych.

Tłum, panicznym przejęty strachem, wysypał się za sztachety, które przełamał, i uciekać począł, pędząc naoslep za miasteczko. Wkoło w rotach wojsko stało. Chłopi rzucili się na rowy i płoty. Miasteczko obstawione było pikietami kozackimi, które wymykających się pojedynczo łapały i wiązały. Pokazało się za późno, niestety! że miasteczko K. było matnią. Niektórym atoli, przytomniejszym i odważniejszym, udało się wymknąć. Do takich należał Iwaś.

Iwaś wymknął się i nie sam. Za połę świty jego trzymała się dziewczyna. Na barkach jego leżał człowiek. Dziewczyna biegła, pojękując. Człowiek ręce miał zwieszane bezwładnie, głowę z trudnością podnosił, krwią ociekał.

Do miasteczka przylegały zarośla. Iwaś przebrał się niemi, wydostał się w pole, pomknął do lasu i zwrócił się w kierunku Motylnicy. W lesie zwolnił kroku, szedł jednak ciągle, aż się zatrzymał przy źródle i ciężar swój ostrożnie na ziemi położył.

Dziewczyna, co się poły jego trzymała, była to Mokryna.

— Ach!... dziaduś!... — krzyknęła, za włosy się garściami chwytając.

— Cyt! — odparł Iwaś. — Co żal pomoże!... Ha!... A patrzno...

Ukazał na leżącego oczami.

Ranny głowę dźwignął i cichym przemówił głosem:

— Wody...

Nie było czem zaczerpnąć. Brat i siostra czerpali garściami i wlewali mu do ust potrosze.

Rannym tym był pan Michał.

Woda go orzeźwiła. Odzyskał władzę w rękach. Dźwignął się i usiadł. Był bardzo blady i upływem krwi mocno osłabiony. Miał dwie rany, jedną w karku, drugą w boku, obie nawydot.

Ani Iwaś, ani Mokryna o ran opatrywaniu wyobrażenia nie mieli. Pan Michał miał o tem wyobrażenie niejaki, wiedział przynajmniej, że krew zatamować trzeba. Przy parobku i dziewczynie znalazły się chustki i pasy. Zatamowano więc krew zapomocą pozatykania dziur i związania, poczem w dalszy puszczono się pochód. Pan Michał chciał o własnych iść siłach. Okazało się to jednak niemożliwe. Iwaś przeto wziął go znów na barki i niósł, zatrzymując się od czasu do czasu i odpoczywając.

W ciągu pochodu nie zaszedł wypadek żaden. Przebierali się manowcami. Szli przez dzień cały i późnym wieczorem dobili się do Motylnicy, udając się wprost do dworu.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie przerażenie widok pana Michała sprawił na rodzinie jego. Nie przeraził się jeden pan Jan tylko, zalecając żonie i córkom spokój absolutny.

— Więcej mu zaszkodzić mogą lamenty, aniżeli rany — były słowa jego. — Rany bowiem bywają do zagojenia; lamenty zaś ściągają Moskali niezawodnie.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie przerażenie powrót Iwasia i Mokryny bez Hryhora sprawił na Oksanie i Nastji. W chacie Serdecznego uspokajać i perswadować nie było komu. Uderzyły więc kobiety w płacz i lament wielki i nie uspokoiły się, aż dzięki naturze, która je zmogła i w sen wtrąciła. Sen jest dobrodziejstwem wielkiem — przerywa ból i do gojenia się przyczynia. Przebudzenie jednak straszne było dla tej chłopskiej rodziny, której stan rozpaczy przedstawił się pod postacią przyszłości całej. Kobiety łkały ustawicznie; Mokryna była niby spokojniejsza, lecz i ona od czasu do czasu płaczem się zachodziła; Iwaś sępniał, stał się ponury, niby noc chmurna. Żadne z nich nie umiało sobie sprawy zdać z tego, co za-

szło; żadnemu ani w myśli powstało przedsięwzięcie kroków jakichś zaradczych, ubezpieczenie się przeciwko następstwom, chronienie tego, co ocalało. Kobiety starsze pograżyły się w smutek całkowicie; Iwasiowi zaś i Mokrynie w oczach stała postać dziadka z toporem w ręku nad Moskałem do ziemi przypadłym, postać posągowa, piękną uderzającą, zachwycającą, godną dłota rzeźbiarza najpierwszego, Praksytelesa samego; — ta postać tylko, wyobrażająca sobą wyzwolenie ludu, w oczach im stała, a zresztą w umysłach ich panował chaos, pełen huków, błysków, jęków, dymu, ścisku, jakichś świstów, jakiegoś deptania i Lacha omdlałego, krwią ociekającego.

Cóż Lach ten tam robił? Przedstawiał rękojmię swobody narodu. Jako takiego Iwaś go na barkach wyniósł, od zdeptania przez tłum uchronił, z rąk moskiewskich wydarł. Czyn ten był dziełem instynktu politycznego. Iwaś w rozbiciu ratował pomoc, którą Mokryna przyprowadziła.

W smutku, w rozpaczę upłynął dzień jeden, upłynął drugi, upłynął trzeci. Na tem się jednak skończyć nie miało. Moskale uśmierzyli powstanie orężnie; pozostawało im jeszcze uśmierzać je moralnie. Na cel ten car-ojciec wyznaczył komisje i pałki, które za zadanie miały wyrwać z korzeniem z duszy ludu poczucie swobody. Komisje rozpoczęły dzieło swoje, przenosząc się ze wsi do wsi i przywracając porządek.

Kolej na Motylnicę przyszła prędko, a to z tego zapewne powodu, że z Motylnicy pochodził jeden z głównych *zaczinszczyków*, który wpadł w ręce moskiewskie.

Zjechała komisja na grunt i pierwszą czynnością jej było wyszukiwanie winnych. Chata Hryhora znajdowała się pod palcem, ukazicielem sprawiedliwości moskiewskiej. Iwan zaś po Hryhorze był najwinniejszy. Przyciągnęli więc żandarmi i kozacy, wieś otoczyli i udali się wprost do Hryhorowej chaty.

Iwaś nie uciekał ani się bronił.

Zabrali go.

Oksanie i Nastji sił już zabrakło na płacz i lamenty. W osłupieniu wypadek ten przyjęły. Mokryna zaś, kiedy kozacy brata wiązali, skoczyła do nich, ręce wyciągnęła i krzychała:

--- A ja!... a ja!

I siebie na związanie oddawała. Kozacy jej żartami nieprzyzwoitemi odpowiadali, wkońcu odtrącili ją i jeńca uprowadzili.

Komisja urzędowa czynności swoje sprawowała w karczmie z powodu, że był to lokal najdogodniejszy we wsi z wyjątkiem dworu, w którym zakwaterowali się generał Jafimowicz i pułkownik żandarmerji. Karczma motylnicka była zarazem domostwem zajazdnem. Zamknięto ją jako karczmę i zajazd, na czas sądów stajnię zmieniono na więzienie, a w głównej izbie gościnnej zainstalował się trybunał. Oprócz żandarmów i kozactwa przyciągnęło do wsi i wojska dwie kompanje.

Iwasia poprowadzono do więzienia. Na podsieni, w której szyldwachowało żołnierzy kilku, dostarczanych przez strażnicę, założoną w izbie szynkowej, wachmistrz żandarmski zatrzymał go dla zapisania imienia i nazwiska jego. O nazwisku po ojcu parobek nie wiedział. Chłopi nie nazywają się, a przezywają. Nazwisko po dziadku: Serdeczny.

— Och! — odezwał się żandarm, zapisując — serdecznie-ż ci wsypią, Serdeczny!

Iwasiowi było to wszystko jedno. Zrobił kroków kilka dalej i znalazł się oko w oko wobec dziadka.

— Iwasiu!

— Dziadusiu!

Dwa okrzyki, rozradowanie jedno.

Starzec okuty był w kajdany na rękach i nogach. Iwaś był związany. Nie mogli więc uścisnąć się, tylko się przytulili jeden do drugiego i parobkowi łyzy obfite z oczu się puścili.

— Płaczesz? — odezwał się dziad. — Wstydz się. A popatrz-no na mnie... Mnie wesoło...

W rzeczy samej na twarzy dziada smutku znać nie było.

— Wesoło mi, — powtórzył — bo stoję z Moska-
lem na czysto. Dla mnie się skończyło, ale dla narodu
zaczęło i naród teraz wie już, czego się trzymać, to on
prędzej, później, tak czy owak dojdzie do swego i na
końcu na swoim postawi... I Moskał, co nas teraz je,
sam się zje wkońcu... Ot widzisz, i dlatego to ja we-
soły.

— Dziadusiu! dziadusiu! — wołał Iwaś przez łzy
i przez śmiech.

— Siadajmy na słomie... Jakaś dusza litościwa...
bodaj jej Bóg zato zapłacił!... słomy furę całą nało-
żyła.

Usiedli.

— Widziałeś babę moją?... widziałeś matkę?...
co się dzieje z Mokryną?

Iwaś opowiedział dziadkowi o boleściach i płac-
zach.

— Et! — podchwycił dziad. — Czyż one nie wie-
dzą, że mnie trzy dni do śmierci? A umierać tak lub
inak, wszystko jedno!... Żal mi ciebie młodego.

Wyrazy ostatnie rzewniejszym wymówił tonem.

Na Iwasia ton ów podziałał nakształt kropel orzeź-
wiających. Przytoczył dziadkowi przysłowie kozacze:
„Raz maty rodyła“.

— Ono to prawda... I z dziadów naszych nie je-
den młodo skończył, ta przez to naród nie zginął...
Gdzie o swobodę idzie, tam śmierć nie przebiera...
No! — A jakżeście się z tej matni korsuńskiej wydo-
stali?

Iwaś opowiedział dziadkowi rzecz całą.

— Tsss — syknął dziad, gdy o panu Michale
wnuk wspomniał. — Gdyby się o to na doprosach
pytali... ani piśnij!... Niech psiawiary zabijają, a niech
nie wiedzą, że się naród z Lachem wacha. To rzecz
nasza rodzona... Stary Zborzeski powiadał, że my nie
rozumiemy; a to on nie rozumie, ale rozumie syn je-

go, a syn syna tego zrozumie jeszcze lepiej... Ono do tego idzie...

W ten sposób prawil dziad dluzej jeszcze, wkońcu oznajmil wnukowi:

— Z nas dziś beda doprosy ciagneli, a jutro... koniec.

Wyraz „koniec“ zabrzmial ponuro. Odnosil sie on do procedury, jaka komisja przyjela, ktora wlasciwie nie sadzila, a tak zwany porzadek przywracala i dla pozniejszego sledztwa materiały zbierala. Wydawala jednak wyroki. W Moskwie potwornosci podobne sa na porzadku dziennym. Wladze i wladz tych atrybucje rozdzielaja sie lub lacza stosownie do kaprysu wladzy najwyzszej. Komisja przeto, zasiadajaca w Motylnicy, byla i nie sadem, i sadem, indagowala, wyroki wydawala i sama je egzekwowala.

W izbie sadowej — popelniamy eufenizm ten umyslnie — za stołem zasiedli generał, pułkownik i paru jeszcze indywiduów umundurowanych, popod ścianami w grupach i w szeregach stali żandarmi i urzędnicy policji ziemskiej, pomiędzy którymi znajdował się i znajomy nasz stanowy z karkiem obandażowanym, a przed stołem stał pan Jan... Ostatni tylko co wszedł. Generał na powitanie jego podniósł się lekko i uśmiechnął się grzecznie.

— Wy *pomieszczik* tutejszy?

— Tak jest — odparł pan Jan głosem, w którym czuć było pomieszanie, jakby on sam był winowajcą, schwytanym na gorącym uczynku.

— Hej! — krzyknął generał. — Krzesło!... Proszę pana siadać... *Sadities, pozałujsta...*

Pan Jan usiadł na brzegu podanego mu przez żandarma stołka.

— Gromada wasza zbuntowała się?

— Nie.

Generał na odpowiedź tę zachnął się, jakby przeń prąd elektryczny przeszedł, i spojrzal na pana Jana surowo.

— *Da czto eto!* Wy przecie przeciwko gromadzie waszej coś macie! Co wy przeciwko niej macie?

— Nic...

— Jakto nic?

— Jeżeli co mam, to przeciwko sobie...

— Cóż przeciwko sobie?

— To, żem nie rozumiał...

— Człowiek ten *sumaszedszi* (warjat) — rzekł generał półgłosem, zwracając się z półzapytaniem do stojącego nieopodal sprawnika? — Czy niema czego w tej sprawie przeciwko niemu?

— Niema nic szczególnego... — odpowiedział sprawnik, ramionami ściskając — wasze wysokie prewoschoditielstwo...

— Hej! — skinął na żandarmów. — Przyprowadzać chłopów jednego po drugim...

Pan Jan chciał odejść, generał jednak prosił go, ażeby pozostał, albowiem świadectwo jego będzie może potrzebne; umknął się więc na bok i lepiej nieco na krześle się usadowił.

Rozpoczęły się doprosy.

Winowajców, trzymanyh w stajni pod wartą, było z piętnastu. Przyprowadzano ich jednego po drugim i każdemu jednakowe zadawano pytania, kończące się pytaniami, odnoszącemi się do pana Jana.

— Miała gromada jakie do pomieszczika pretensje?

— Żadnych — odpowiadali chłopci niezmiennie.

— Czy wiedział o buncie waszym?

— Któż nie wiedział?

— Co na to mówił?

— Odradzał... Powiadał, że my nierozumni.

W sposób ten odpowiadał każdy.

Przyszła kolej na Iwasia.

— Byłeś w obozie pod Malowaną?

-- Byłem...

— Byłeś w K...?

— Byłem...

— Tyś, gołąbku, wnuk tego starika, co się na pułkownika z toporem porwał?

— Wnuk rodzony...

— A skąd to ta krew na odzieży twojej? — zapytał generał przeciągle i ze złośliwym akcentem, ukazując palcem na zaschłe plamy na świecie.

Iwaś, odpowiadający dotychczas przytomnie i nieco nawet zuchwale, zmieszał się. Wnet jednak do siebie przyszedł i odparł:

— Alboż to Moskał nie strzelał do narodu, nie zabijał ludzi i krew się nie lała?!

Panu Janowi łzami zaszczyły oczy. Była to krew pana Michała.

— Ty ze starikiem był nieodstępnie? — pytał generał dalej.

— Byłem z nim razem od początku do końca...

— Był i w Kijowie u jego *siatelstwa* — wtrącił pułkownik żandarmerji.

— Słuchajże, — odezwał się generał — mów prawdę, a od kary cię zwolnię i swobodnie puszczę... Kto z Lachów wdawał się z wami?

— Nikt...

— Który był u was w obozie?

— Ja nie widział żadnego...

Generał w materji tej wziął się do Iwasia po mistrzowsku i zasypał go pytaniami, pomiędzy którymi znajdowały się takie, że się zdawało, jakby powiadomiony był o pobycie w obozie pana Michała. Urzędnicy moskiewscy wogóle są sędziami śledczymi znakomitymi. Na tem stoi moralny punkt podpory państwowej. Iwaś jednak złapać się nie dał, pomimo obietnic zwolnienia od kary i łask nawet, jakimi go generał ująć próbował.

— No, niema co — rzekł ostatni. — Masz pięćset nahajek na jutro a do jutra czas do namysłu... Jeżeli się namyślisz i wszystko, jak było, mi opowiesz, to cię w tej chwili wolno puścić każe.

Kazał go odprowadzić i następnego przedstawić.

Podzwaniając łańcuchami, wszedł dziad.

Pan Jan wstał i przybrał postawę uszanowania pełną, gdy się Hryhor na progu ukazał. Nikt na to nie zważał, bo oczy wszystkich z ciekawością zwrócone były na starca, który, gdyby nie kajdany, wyglądałby sam jak sędzia — tyle powagi w postawie jego było.

— No... — odezwał się generał — z tobą ja nie mam do gadania dużo...

— Nie masz — odparł starzec. — Cóżbyś ty mi ciekawego powiedział!...

— Ty, starik, sam zgubił siebie...

— Powiadali mi to oni — podchwycił Hryhor, ukazując oczami na pana Jana — zgóry... Ta ja ich nie posłuchał wtenczas i... nie posłuchałbym teraz. To, co się zaczęło, skończą wnuki, albo prawnuki nasze.

— Ty wiesz, co ciebie czeka?

— Wiem — odrzekł starzec odniechcenia.

— Gdybyś jednak powiedział, który z Lachów, jak i kiedy z wami się wdawał, to jabym się z tobą łagodnie obszedł...

— Gadaj ty rzeczy takie takim, jakiś sam, ale nie mnie. Włos mój biały czysty do trumny pójdzie. „Wasza siła, wasza prawda, ale i na was przyjdzie zła godzina“, jak przyszła była ot na tego złodzieja (tu na stanowego ukazał), któremu ja w przygodzie stanął, a który patrzy się na mnie teraz, jakby mnie zjeść chciał... Zjesz moje ciało, ale duszy mojej nie ugryziesz... Ja, naród!

Przy słowach ostatnich brzęknął dziad kajdanami, wyprostował się i powiódł po Moskalach okiem tak dumnie, jakby on tu był panem i władcą. Oni też — była chwilka od mgnienia źrenicy nie dłuższa — struchleli, a potem się uśmiechać boleśnie zaczęli, a dalej zmienili boleśność w ironję złośliwą, z której przeszli w gniew pyszny. Generał krzyknął, rękę wyciągając:

— Wziąć starika tego precz!... Nahajek tysiąc na dwie ręce!...

Hryhor uśmiechnął się, skinął dobrotliwie głową do pana Jana i wyszedł.

Nazajutrz rano gromada cała, przez kozaków spędzona, asystowała egzekucji, która się odbywała na placu przed cerkwią — na placu tym samym, na którym niegdyś pan Michał spotkał po raz pierwszy Mokrynę na hojdałkach. Wojsko sformowało czworobok próżny na środku. Na środku postawiono na dwóch podpórkach belkę, do której uwiązywano delikwentów. Kozacy na koniach stanowili łańcuch zewnętrzny.

Generał Jafimowicz mocą udzielonej sobie władzy dyskrecjonalnej zastąpić kazał pałki nahajkami — należał bowiem do stronnictwa nahajek. Za panowania cesarza Mikołaja nie było w Rosji stronnictw innych.

Wyprowadzano chłopca jednego po drugim w porządku, w jakim się indagacja odbywała, przywiązywano do belki, dwaj kozacy z nahajkami z dwóch stron stawali i ćwiczyli.

Gromada huczała jednym ustawicznym jękiem, niewiast łkaniem i dzieci kwileniem. Oksana, Nastja i Mokryna tworzyły grupę boleści, wypisanej na twarzach od smutku spłowiałych i w oczach prawie obłąkanych: podtrzymywały się i za ręce się trzymały. A znajdował się tam i pan Jan. Siedział na pieńku wywróconym z głową na kułakach wspartą i drgał od czasu do czasu drganiem konwulsyjnym i patrzył wzrokiem ponurym a osłupiałym.

Porcją najmniejszą było nahajek dwieście. Ekspedjowano skazańca jednego po drugim; tych, co wytrzymywali, wytrącano, omdlałych wyrzucano za szereg żołnierzy.

Grupa komisji stała nieopodal od belki. Wachmistrz żandarmerji czytał z rejestru głośno ilość rąków.

— Iwan Serdeczny! pięćset!

— Hej! — odezwał się głos z grupy. — Cóż ty, namyśliłeś się?

— Namyśliłem się — odrzekł parobek — prosić was o łaskę jedną... Nie przywiązujcie mnie.

— Iwasiu mój! braciszku! sokole! — dało się słyszeć z poza szeregu.

— Che, che! — wtórował temu głos z grupy komisji. — *Wisz! mieszaniec!* Nie wytrzymasz, *gotubecik!*

— Jeżeli nie wytrzymam, przywiążecie mnie.

— Nu... zobaczymy... Nie wiązać!

Iwaś położył się, czapkę wziął w zęby, oczy zamknął i bez wydania jęku najmniejszego wytrzymał razów trzysta kilkadziesiąt. Ciało od kości się odrywało, krew chlupała. Wytrzymał i resztę, ale już bez przytomności. Kiedy go ćwiczone, w gromadzie panowało milczenie głucho. Czekano, zdaje się, na jęk jego, ażeby jęknąć lamentem wielkim. Nie doczekano się. Kozak jeden wziął go za głowę, drugi za nogi, za szereg wynieśli i na ziemię rzucili. Oksana, Nastja i Mokryna nie odrazu skoczyły do niego, bo wszystkie trzy miały ręce wyciągnięte do Hryhora, którego z kajdan rozbierano.

Widok starca sędziwego a poważnego i żołnierzy wzruszył. Niejednemu łyzy grochem się po policzkach toczyły.

Pan Jan wstał, czapkę zdjął i głowę pochylił.

Hryhor oczy wzniósł do nieba, potem niemi po tłumie powiódł i donośnym rzekł głosem:

— „Ot tak, dzieci, znoście mękę moskiewską, jak ja ją znoszę“.

„Brodę do piersi przycisnął“, westchnął, położył się — związane go... i egzekucja ostatnia się rozpoczęła.

Starzec wydawał od czasu do czasu głucho stękania; — gromada wyła płaczem; — pan Jan klęczał, w piersi powoli się bił i powtarzał:

— Moja wina... moja wina... moja wielka bardzo wina...

Po skończonej egzekucji wyrzucono obitego z połowy ciała trupa za szereg.

Cóż się stało z panem Michałem?

Nazajutrz po rozprawie krwawej w miasteczku K. do Motylnicy przyjechał pan Marcin.

Wyskoczył z bryczki, wpadł do dworu i spotkawszy pana Jana, zawołał:

— Ty, Janie, tu?

— Gdzieżbym miał być! — odparł pan Jan, pytaniem zdziwiony.

— Z ludem. Lud powstał przecie...

— Ii... Co to za powstanie!...

— Powstanie przeciw Moskwie... sposobność jedyna zawarcia z ludem przeciwko wrogowi Polski przymierza wieczystego... krwią napisanego!...

Pan Jan wpatrywał się bratu w oczy wzrokiem, w którym malowała się jakby obudzona nagle zgryzota sumienia.

— Do nas — ciągnął pan Marcin — głuche dochodziły wieści... Gdym się jednak dowiedział, że rzecz idzie na serjo, natychmiast się do was wybrałem, raz dla sprawdzenia, powtóre dla przyłożenia ręki. No?... Gadajże na Boga, bo mnie mina twoja i gniewa, i przeraża!... Nie myślę, żebyś był szlachcicem na tyle, ażebyś walkę przeciwko Moskwie odrzucał dlatego, że z chłopskiej pochodzi inicjatywy...

Pan Jan westchnął głęboko.

— Albo, — prawil pan Marcin — żebyś ją odrzucił dlatego, że czeka ją niepowodzenie materialne. Wiem... szlachta uciekła, ale ty nie masz zwyczaju tego... No, Janie... do dzieła!

— Marciniel! — krzyknął pan Jan — już... poniewczasie!

— Co?

— Już po powstaniu...

— Co ty mówisz?

Bracia zamknęli się w kancelarji i pan Jan opowiedział historję ruchu chłopskiego. Z opowiadania jego pokazało się, że współdziałanie szlacheckie, w swoim przyniesione czasie, to jest na tygodni parę przed rozprawą w miasteczku K., mogło być nadać

powstaniu rozmiary kolosalne i, dzięki dywersji, jaką sprawiała wojna wschodnia, doprowadzić do rezultatów doniosłości olbrzymiej. Opowiadanie pana Jana było niejako spowiedzią przed bratem. Pan Marcin nie wytrzymał, żeby nie zakonkludować:

— Inni stchórzyli, ciebie zaślepiło szlachectwo... Ci inni mniej są winni, niż ty...

Słowa te ziarnem bólu zapadły w duszę pana Jana.

— Ha! — stęknął.

I ścichł nagle. I stał się od chwili tej jak winowajca, chodzący wśród ludzi z wyrzutem sumienia.

Pan Marcin nie od niego dowiedział się o losie, jaki spotkał pana Michała. Powiedziały mu o tem bratowa i synowice, i wnet mu na myśl przyszło:

— On tu pozostawać nie może... Chcecie go chyba leczyć dla Moskali?... Jakiś pozór... poszlaka jakaś...

— A cóż!... ach, cóż począć! — zawołała matka, ręce załamując.

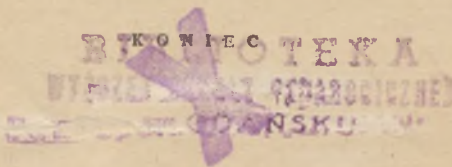
— Ja go zabiorę i zachowam, póki do zdrowia nie przyjdzie... zobaczymy... Jeżeli Moskale śladów jego z chłopami wdawania się nie wytropią, zostanie w kraju, jeżeliby zaś wytropili, wyprawimy go na emigrację... I tam się sprawa Polski obrabia...

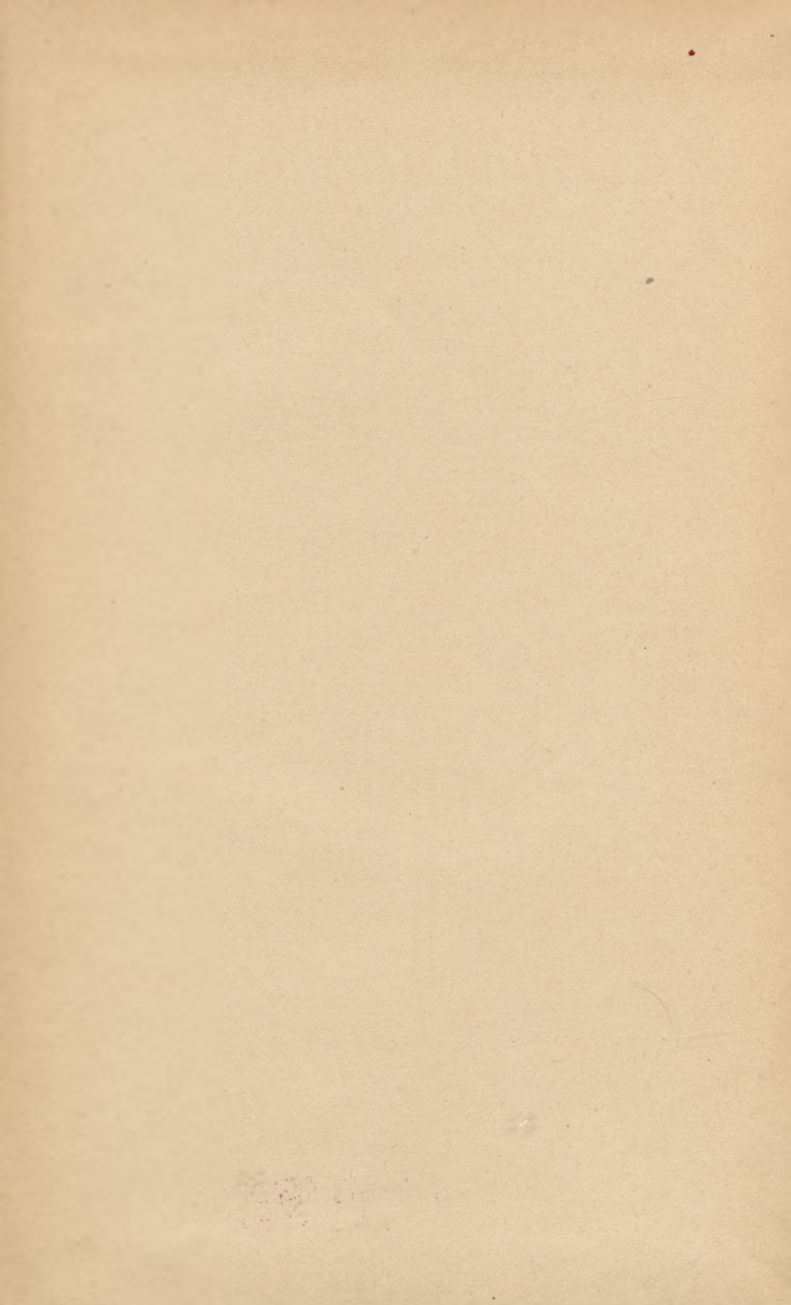
— Ach! bracie!... zbawco! — dziękowała pani Janowa.

Pan Marcin zabrał Michała i zawiózł go wprost do Zakajówki, gdzie go — jak się czytelnik domyśla zapewne, jak najstaranniejsza i jak najtroskliwsza otoczyła opieka.

Pan Jan pozostał na zawsze posepny, ponury, milczący — chodzi często na grób Hryhora i napisał testament, w którym taki czyta się ustęp:

— „A zwłoki moje pogrzebane będą obok zwłok Hryhora Serdecznego“.





Czytelnia II BG
BIBLIOTEKA
UNIwersYTECKA
Gdańsk

Czytelnia
090755/13-14
14
1-2

JEQ Hryhor

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA GDAŃSK	L. 15.10.4.3.2
---------------------------------------	-------------------